

ANDRE NORTON

GALAKTYCZNE PUSTKOWIE

PRZEKŁAD MARTA STARCZEWSKA
TYTUŁ ORYGINAŁU GALACTIC DERELICT

ROZDZIAŁ 1

Gorąco. Z pewnością zanosilo się na upalny dzień. Powinien sprawdzić jeszcze źródło w zaroślach, zanim słońce wypali okolicę na milę wokół niego. Było to jedyne źródło na całej tej skalistej patelni — a może było gdzieś jeszcze coś, o czym nie wiedział?

Travis Fox przesunął się do przodu w siodle, by przyrzeć się dokładnie różowawożółtej, nagiej pustyni, która rozciągała się pomiędzy nim i nikłą, odległą linią zielonego jałowca i piaskowożółtej bylicy. Była to pusta, jałowa ziemia, odpychająca dla każdego, kto nie nawykł do jej niegościnnosci, ziemia, gdzie czas zastygł w monotonne pasmo jednolitych skał i piasku.

Było to niezwykle. Wszędzie na tej planecie starania ludzi sprawiały, że pustynie nawadniano uwolnioną od soli morską wodą. Schludne farmy spychały pradawne piaskowe wydmy w mgłę niepamięci. Rodzaj ludzki szybko wyzwał się z poddaństwa wobec kaprysów pogody i klimatu. Tutaj jednak dzika pustynia pozostała niezmieniona, jakby naród, do którego należała, był tak bogaty, że nie potrzebował ani skrawka ziemi pod uprawę.

Któregoś dnia również ta okolica zostanie wykorzystana w podobny sposób, przenosząc dzieje ludzi takich jak Travis Fox do historii. Przez pięćset, a może nawet tysiąc lat — bo nikt nie potrafił stwierdzić, kiedy pojawił się na tym terytorium pierwszy szczep Apaczów — na tych ruchomych piaskach, w dolinach, kanionach i na równinach panowała niepodzielnie twarda, urodzona na pustyni rasa, mogąca wędrować, walczyć i żyć w tych nie sprzyjających warunkach, którym żaden inny lud nie ośmielał się stawić czoła inaczej, niż za pomocą pracowicie transportowanego wyposażenia. Przodkowie Trávisa Foxa prowadzili w tym kraju wojnę, która trwała prawie czterysta lat.

To źródło w zaroślach... Brązowe palce Trávisa zaczęły odliczać nacięcia na łuku siodła. Dziewiętnaście... dwadzieścia... Było to dwudzieste lato od ostatniej wielkiej suszy, więc jeśli Chato miał rację, to woda w źródle była wynikiem powtarzającego się wybryku natury. Stary człowiek nie pomylił się także w tym roku, przepowiadając niezwykle upalne lato.

Gdyby Travis pojechał prosto i zastał wyschnięte źródło, straciłby większą część dnia, a czas był zbyt cenny. Musieli zapędzić stado do wodopoju. Z drugiej strony, gdyby zawrócił do kanionu Hohokam, a jego domniemania okazałyby się fałszywe, Whelan miałby wszelkie prawa nazwać go głupcem. Whelan uparcie odmawiał uznawania wiedzy Starych. A w tej kwestii to jego brat był głupcem.

Travis roześmiał się cicho. Białoocy — z rozmysłem użył określenia, jakim stary wojownik nazywał odwiecznego wroga — wypowiedział to głośno „Pinda-lick-o-yi”; Białoocy nie wiedzieli wszystkiego. A tylko niektórzy z nich gotowi byli to przyznać.

Potem roześmiał się jeszcze raz, tym razem z siebie i swych własnych myśli. Poskrob trochę pastucha, a pod wysuszoną skórą znajdziesz Apacza. W śmiechu Trávisa pobrzmiwała nuta goryczy. Zwinął łąso w pętlę z większą siłą, niż była potrzebna. Nie miał ochoty pozwolić, by takie myśli zaprzętały mu głowę. Podąży do Hohokam i zachowaj się dzisiaj jak Apacz; niczego tym nie zepsuje, tym bardziej, że i tak inne jego marzenia się rozwiały.

Whelan uważał, że jeśli Apacz będzie żył tak jak Białoocy i odsunie na bok wszystkie stare tradycje, zdobędzie wszystkie ich przewagi. Dla Whelana przeszłość nie niosła ze sobą niczego dobrego, nawet gdyby naśladować Starych, to, co robili i dlaczego to robili — dla niego była to tylko głupia strata czasu. Travis znów poczuł smak rozczarowania. Gorzki smak.

Srokaty koń wybierał drogę pomiędzy kamieniami wzdłuż wyschniętego koryta rzeki. Dziwne, że ziemia teraz tak jałowa, nosiła tyle śladów dawnych strumieni. Rowy nawadniające, używane przez Starych, ciągnęły się na mile, znacząc spalone słońcem połacie ziemi, których od wieków nie tknęła wilgoć. Travis ponaglił swego wierzchowca w drodze pod strone wzgórze i skierował się na zachód. Czuł, że skwar pali mu plecy przez cienkie płótno wyblakłej koszuli.

Wątpił, czy Whelan wiedział o kanionie Hohokam. Była to jedna z rzeczy należących do czasu Starych, opowieść przekazywana przez ludzi takich jak Chato. A teraz istniały dwa rodzaje Apaczów — tacy jak Chato i tacy jak Whelan. Chato zaprzeczał istnieniu Białoockich, żyjąc swym

własnym życiem za zasłoną, którą zaciągnął pomiędzy sobą i światem zewnętrznym, światem białych. A Whelan zaprzeczał istnieniu Apaczów, starając się żyć jak biały.

Kiedyś Travis odkrył inny sposób postępowania, trzecie wyjście — chciał połączyć nauki białych z wiedzą Apaczów. Myślał, że odnalazł tych, którzy podzielą jego pogląd. Lecz nadzieja wyparowała jak woda wylana na rozpaloną skałę. Teraz skłonny był przyznać rację Chatowi. Chato zdawał sobie z tego sprawę i chętnie opowiadał Travisowi o jego własnej, a prawie nie znanej ziemi.

Ojciec Chata — Travis znowu liczył, wodząc palcem po łuku siodła — cóż, ojciec Chata miałby dziś ze sto dwadzieścia lat, gdyby żył. A urodził się w dolinie Hohokam, gdy jego rodzina kryła się przed żołnierzami w niebieskich mundurach.

Chato wiedział o zaginionym kanionie, zaprowadził tam Trávisa, gdy ten był tak mały, że ledwo obejmował konia swymi krótkimi nóżkami. Travis powracał tam kilkakrotnie w ciągu minionych lat. Wabiły go domy w dolinie i przyciągało źródło, które nigdy nie wysycha. Były tam drzewa, które dawały rokrocznie bogaty zbiór orzechów, i trochę karłowatych drzew owocowych, nadal wydających jakieś plony. Kiedyś był to ogród, teraz tylko ukryta oaza.

Travis przedzierał się przez labirynt kanionów noszących niewidoczne dla niewtajemniczonego oka ślady Starych, gdy nagle usłyszał warkot. Instynktownie ściągnął wodze, chociaż wiedział, że i tak kryje go cień skalnej ściany, i spojrzał w niebo.

— Helikopter! — powiedział głośno, wielce zdumiony. Pradawna pustynia całkowicie zajęła jego myśli przez ostatnie kilka godzin, więc widok tak nowoczesnego środka transportu był dla niego prawdziwym zaskoczeniem.

Czy mógłby to być kontrolujący go Whelan? Travis zacisnął usta. Gdy o świcie opuszczał ranczo, prawnuk Chata, Bili Czerwony Koń, pracował nad silnikiem tego pojazdu. Zresztą Whelan nie marnowałby benzyny na patrolowanie pustyni. Ponowne zagrożenie wojenne sprawiło, że racjonowanie benzyny stało się znacznie bardziej rygorystyczne i helikopter trzymało się na wypadek nagłej potrzeby, na co dzień posługując się końmi.

Zagrożenie wojenne... Travis rozmyślał o nim, widząc, jak obca maszyna znika mu z zasięgu wzroku. Od kiedy tylko pamiętał, zewsząd dochodziły złowrogie pomruki i pogrożki: z gazet, z radia, z telewizji. Wybuchy drobnych konfliktów, przycichłe utarczki, gadanie i gadanie bez końca. Potem coś dziwnego stało się w Europie — jakiś duży wybuch na północy. Czerwoni oczywiście nie wyjaśnili, co się stało i spuścili zasłonę tajemnicy. Chodziły pogłoski, że to jakiś nowy rodzaj bomby nie zadziałał tak, jak powinien. Wszystko to mogło być tylko przygrywką do wybuchu wielkiego konfliktu między Wschodem i Zachodem.

Wszystkie VIP-y stwierdziły, że tak pewnie będzie. Zaostrzono regulaminy, nadchodziły zwiastuny kłopotów. Nowe obniżki racji paliwa, napięta atmosfera...

Tutaj, na pustkowiu, łatwo było zapomnieć o całym tym zamieszaniu. Pustynia spalała ludzkie waśnie na popiół. Te wzgórza były tu, zanim pojawili się brązowoskórzy ludzie jego rasy. Prawdopodobnie będą tu stały, choć już wtedy radioaktywne, gdy Białoocy zmiotą zarówno białych, jak i brązowych z powierzchni ziemi.

Widok helikoptera wywołał wspomnienia, których Travis nie lubił. Gdy maszyna skryła się za horyzontem, podążywszy w tym samym kierunku, co on, nadal zastanawiał się, z jakim zadaniem wysłano jej załogę.

Nie zauważył, by helikopter wracał, co wzmocniło jego przekonanie, że nie leciał nim żaden miejscowy ranczer. Gdyby pilot szukał zaginionych zwierząt ze stada, zataczałby kręgi. Poszukiwacze? Nie słyszał jednak nic o ekspedycji rządowej, a przez ostatnie pięć lat roboty poszukiwawcze były ściśle kontrolowane.

Travis znalazł ukryte wejście do kanionu. Gdy koń ostrożnie wybierał sobie drogę, jeździec uważnie badał ślady. Wszystko wskazywało na to, że od dłuższego czasu nie przejeżdżał tędy żaden człowiek. Młasnął językiem i koń przyspieszył kroku. Przejechali już prawie dwie mile tą krętą drogą, gdy Travis zatrzymał konia.

Ostrzeżenie przyniósł jeden wątyły podmuch, który podrażnił jego węch. Nie był to pustynny wiatr, suchy, gorący i pełen pyłu — ten wietrzyk niósł ze sobą zapach jałowca. Wierzchowiec

potrzęsnał łbem i zagryzł wędzidło — pod nimi była woda i nie byli tu sami.

Travis zsunął się z siodła, biorąc ze sobą strzelbę. Jeśli przez ostatnie lata nie zaszły tu duże zmiany, to wejście do ukrytego kanionu pozwalało się ukryć. Sam mógłby zbadać teren obozu, nie będąc zauważonym. Wiedział, że to obóz; dotarł do niego charakterystyczny zapach dymu z ogniska, kawy i smażonego bekonu.

Podejście do upatrzonego punktu obserwacyjnego było łatwe. Teraz z dołu dochodził go zapach sosen, znacznie intensywniejszy pod wpływem promieni słonecznych, i słyszał ćwierkanie ptaków zajętych swymi własnymi sprawami. Poniżej widniał skrawek zieleni z małą sadzawką zasilaną przez źródło. Woda odbijała rozpalony błękit nieba. Pomiędzy sadzawką i rozległą, płytką grotą mieszczącą miasto Starych stał helikopter. Jeden mężczyzna doglądał ognia, a drugi właśnie szedł po wodę.

Travis nie sądził, żeby byli ranczerami. Mieli jednak na sobie zgrzebne odzienie ludzi przebywających na ogół na dworze i z wprawą zabierali się do rozbijania obozu. Zaczął notować w myśli te szczegóły ich ekwipunku, które mógł zobaczyć.

Helikopter był najnowszym modelem. W cieniu, jaki dawała grupka drzew, zauważył śpiwory. Nie widział jednak żadnych narzędzi górniczych, żadnej wskazówki, że był to zespół poszukiwaczy. Mężczyzna wrócił z wodą, postawił ją obok ogniska i usiadł ze skrzyżowanymi nogami koło dużego pakunku, który następnie zaczął rozwijać z płótna. Travis widział, jak wyjmuje coś, co mogło być tylko przenośnym komunikatorem najnowszej generacji.

Operator cierpliwie ustawiał pałeczkę anteny, gdy Travis usłyszał ciche rżenie swego wierzchowca. Pradawny instynkt, którego Travis nawet nie był świadomy, przyprowadził go tutaj. Klęczał ze strzelbą gotową do strzału, a sam był celem innej broni niosącej złowróżbną obietnicę w wylocie lufy wycelowanej precyzyjnie i bezlitośnie w jego wnętrzności.

Znad strzelby, która nawet nie drgnęła, obserwowały go z zimną obojętnością szare oczy, z obojętnością znacznie gorszą niż jakiegokolwiek słowne pogrożki. Travis Fox uważał się za godnego potomka pokoleń najtwardszych wojowników, jacy kiedykolwiek stąpali po tym skrawku ziemi. Mimo to wiedział, że ani on, ani nikt z jemu podobnych nie stał nigdy przedtem twarzą w twarz z kimś podobnym do tego człowieka. A ten mężczyzna był młody, nie starszy niż on sam, tak że zawołana groźba w spojrzeniu nie pasowała ani do gibkiego, szczupłego ciała, ani do spokojnej, chłopięcej twarzy.

— Rzuć to! — mężczyzna wypowiedział swój rozkaz tonem człowieka, który oczekuje posłuchu. I Travis rzeczywiście posłuchał, pozwalając, by strzelba wyśliznęła mu się z rąk i spoczęła na żwirze wzgórza.

— Wstawaj. Szybko. Na dół. — W potoku rozkazów wydanych łagodnym i spokojnym głosem Travis wyczuł narastającą w przedziwny sposób groźbę; wolałby, żeby tamten krzyczał.

Wstał, odwrócił się w kierunku zbocza i zaczął schodzić z podniesionymi rękoma i dłońmi skierowanymi na zewnątrz, na wysokości ramion. Nie wiedział, w co się tu wplątał, ale nie wątpił, że było to zarówno ważne, jak i bardzo niebezpieczne.

Gotujący i mężczyzna przy komunikatorze przysiedli na piętach i obserwowali go spokojnie, gdy się zbliżał, hamując na zboczu obcasami. Przyjrzał się im i stwierdził, że nieco różnili się od białych ranczerów, których znał w okolicy. A kucharz...?

Travis przyjrzał mu się dokładniej, zdumiony przypuszczeniem, że widział tego człowieka, lub jego sobowtóra, w jakichś zupełnie innych okolicznościach.

— Gdzie go znalazłeś, Ross? — zapytał człowiek przy komunikatorze.

— Leżał na górze i się gapił — odpowiedział mężczyzna, który zdemaskował Trávisa.

Kucharz wstał, wytarł ręce kawałkiem płótna i skierował się ku nim. Był najstarszy z trzech przybyszów, bardzo opalony, miał jasnoniebieskie oczy, co stanowiło zadziwiający kontrast z głębokim brązem skóry. Roztaczał wokół siebie aurę władcy, która nie pasowała do jego obecnego zajęcia, lecz kazała Travisowi uważać go za przywódcę grupy. Apacz domyślał się, że jego dalsze losy zależą od reakcji tego człowieka. Tylko dlaczego jakieś blade skrawki wspomnień uparcie nasuwały mu widok głowy kucharza obramowanej czarnym kwadratem?

Obcy nie kwapił się do zadawania pytań. Travis patrzył mu prosto w oczy, wykorzystując własne

oprowadzenie. W tym człowieku także czaiło się niebezpieczeństwo, ta sama kontrolowana siła, która powodowała młodszym, gdy zaskoczył Apacza na wzgórzu.

— Apacz. — Było to raczej stwierdzenie niż pytanie, i dobrze charakteryzowało nieznanego. W dzisiejszych czasach mało było ludzi, którzy zadawali sobie ten trud i mieli potrzebną wiedzę, by jednym rzutem oka odróżnić Apacza od Nawaja, Hopi czy Ute.

— Ranczer? — Tym razem było to pytanie i Travis udzielił prawdziwej odpowiedzi. Rosło w nim przekonanie, że jakakolwiek taktyka wymijająca zastosowana wobec tego szczególnego Białookiego nie zaprowadzi go do niczego poza jego własną klęską.

— Poganiacz w Double A.

Człowiek przy komunikatorze rozwinął mapę. Teraz przesunął palec wskazujący wzdłuż nierównego śladu i skinął głową nie do Trávisa, lecz do przesłuchującego go mężczyzny.

— To najbliższe ranczo stąd na wschód. Ale nie mógł przecież szukać swoich zgub tak daleko na pustyni.

— Dobra woda. — Ten drugi skinieniem głowy wskazał źródło. — Starzy z niego korzystali.

W tym stwierdzeniu kryło się następne pytanie. I Travis nagle usłyszał, że odpowiada na nie.

— Starzy wiedzieli o tym. I nie tylko oni. — Brodą wskazał na ruiny w wielkiej grocie. — Także Ludzie Stąd. Nigdy nie wysychało, nawet w złych latach.

— A teraz jest zły rok. — Obcy potarł dłonią szczękę, a jego oczy nadal były utkwione w Trávisa. — Komplikacja, jakiej nie przewidzieliśmy. Tak więc Double A pędzi tu stada w suche lata?

Travis zorientował się, że mówi całą prawdę, zupełnie wbrew swej woli:

— Jeszcze nie. Niewielu jeźdźców wie teraz o tym. Niewielu chce jeszcze słuchać opowiadań starych ludzi. — Nadal zastanawiał się nad nurtującym go wspomnieniem widoku szczupłej twarzy tego mężczyzny w zupełnie innej sytuacji. Ta czarna plama wokół niej. Rama! Rama obrazu! A ten obraz wisiał nad biurkiem doktora Morgana na uniwersytecie.

— Ale ty słuchasz... — I znowu pochwycił jedno z tych taksujących spojrzeń, tak jak tamto, które odarło go z ranczerskiego odzienia i odkryło pod nim Apacza. A teraz te oczy mogły dobierać się do jego myśli. Gabinet doktora Morgana... portret tego człowieka, ale z piramidą w tle...

— I tak rzeczywiście jest — nieświadomie posłużył się nietypową konstrukcją zdania, usiłując przypomnieć sobie coś więcej.

— Kłopot w tym, kowboju — człowiek przy komunikatorze podniósł się i mówił leniwie — co my teraz mamy z tobą zrobić? Co myślisz o tym, Ashe? Czy wrzucimy go do zamrażarki, na przykład tutaj? — machnął kciukiem w kierunku ruin.

Ashe! Doktor Gordon Ashe! Nareszcie dopasował nazwisko do obcego. A nazwisko nasunęło mu powód, dla którego nieznanemu mógł się tu znajdować. Ashe był archeologiem. Tylko że Travis nie musiał patrzeć na nowoczesny komunikator ani na obóz, by odgadnąć, że nie była to wyprawa, której zadaniem było poszukiwanie szczątków starożytnych cywilizacji. Od razu to wiedział. Co doktor Ashe i jego towarzysze mogli robić w Kanionie Umarłych?

— Możesz opuścić ręce, synu — powiedział doktor Ashe — i ułatwisz sobie życie, jeśli zgodzisz się spokojnie zostać tu przez jakiś czas.

— Jak długo? — odparował Travis.

— Zależy. — Ashe uniknął odpowiedzi.

— Zostawiłem konia na górze. Musi dostać wody.

— Przeprowadź konia, Ross.

Travis odwrócił głowę. Młody człowiek schował swą dziwną broń i wspinał się na zbocze, by teraz pojawić się, prowadząc srokatego. Travis rozsiadł swego wierzchowca i puścił go luzem. Wrócił do obozu i zobaczył, że Ashe czeka na niego.

— Tak więc niewielu ludzi zna to miejsce?

Travis wzruszył ramionami:

— Tylko drugi facet w Double A... on jest bardzo stary. Jego ojciec się tu urodził, dawno temu, gdy Apacze walczyli z armią. Nikt więcej już się tym nie interesuje.

— Czyli nikt nigdy nie kopał w tych ruinach?

— Jeden raz. Trochę.

— Kto?

Travis zsunął kapelusz z czoła.

— Ja — jego odpowiedź była krótka, z nutą wrogości w głosie.

— Ach tak? — Ashe wyciągnął paczkę papierosów, poczęstował go.

Travis wziął jednego bezmyślnie.

— A pan przyjechał tu kopać? — odważył się zadać pytanie.

— Och, można tak powiedzieć — odparł Ashe, lecz gdy spojrzął na zbocze, które przed chwilą opuścili, Travis pomyślał, że jego rozmówca dostrzega za tymi wysuszonymi przez słońce głazami coś bardzo interesującego.

— Myślałem, że interesuje się pan głównie okresem preazteckim. — Travis przykucnął na piętach, wyciągnął z ogniska tłącą się gałązkę i przypalił nią papierosa. Poczul zadowolenie, zauważywszy, że wreszcie zdumiał archeologa swoją uwagą.

— Znasz mnie! — powiedział Ashe. Travis przecząco potrząsnął głową.

— Znam doktora Prentissa Morgana.

— Ach tak, jesteś jednym z tych jego zdolnych chłopaków.

— Nie — zabrzmiało to jak warknięcie, krótkie ostrzeżenie, by dalej nie próbował. Tamten musiał być dostatecznie wrażliwy na takie sygnały, bo zrozumiał to od razu i nie usiłował nic już z niego wyciągnąć dalszymi pytaniami.

— Potrawka gotowa, Ashe? — zapytał mężczyzna przy komunikatorze. Podszedł najmłodszy, którego Ashe nazywał „Ross”, i sięgnął po patelnię. Apacz spojrzął na jego dłoń. Ciało było poznaczone bliznami; Travis raz w życiu widział rany takie jak te — były to ślady po głębokim i bolesnym oparzeniu. Pospiesznie odwrócił wzrok, gdy Ross rozdzielał jedzenie na talerze i dobył swe własne zapasy z juków.

Jedli w milczeniu, milczeniu, które łączyło ich w szczególny sposób. Napięcie, jakie odczuwał w ciągu pierwszych chwil tego spotkania, opadło, a pojawiło się teraz zainteresowanie poczynaniami tych mężczyzn, chęć, by dowiedzieć się o nich czegoś więcej; ciekawość przytłumiła jego poprzednie uczucie — złość ze sposobu, w jaki go pojmano. Ten młody Ross był niezłym tropicielem. Musiał mieć duże doświadczenie w takich zabawach, skoro tak zgrabnie przyłapał Trávisa. Fox bardzo chciał bliżej przyjrzeć się broni tamtego. Był pewien, że nie jest to zwykły rewolwer. A fakt, że Ross miał przy sobie broń gotową do strzału, świadczył, że był przygotowany na wypadek niespodziewanego ataku.

Różnica pomiędzy Ashe'em i Rossem a mężczyzną przy komunikatorze była widoczna i stawała się tym wyraźniejsza, im dłużej Travis ich obserwował. Ashe i Ross mogli być z innego plemienia niż ten trzeci. Ich podobieństwo polegało nie tylko na ciemnej opaleniznie, cichym chodzie, ostrożności i orientacji w terenie. Im dłużej Travis się im przyglądał, gdy byli zajęci zupełnie zwykłymi czynnościami — jedzeniem, a potem porządkami w obozie — tym bardziej umacniał się w przekonaniu, że oni nie przyjechali w to miejsce, by badać ruiny na zboczu, i że byli uwikłani w znacznie poważniejszą i być może śmiertelnie niebezpieczną sprawę.

Nie zadawał żadnych pytań, zadowolony, że może pozwolić tamtym na wykonanie pierwszego ruchu. Nagle komunikator zburzył spokój niepokąźnego obozu. Ostrzegawczy dźwięk ożywił operatora, który wcisnął słuchawki na uszy, a następnie przekazał wiadomość.

— Praca musi zostać przyspieszona. Zaczynają przywozić rzeczy dziś w nocy!

ROZDZIAŁ 2

— I co? — Spojrzenie Rossa prześliznęło się po Travisie i zatrzymało na Ashe'u.

— Ktoś wie, że miałeś tu przyjechać? — zapytał tamten, przyglądając się uważnie poganiaczowi.

— Przyjechałem sprawdzić to źródło. Jeśli nie wrócę na ranczo w jakimś rozsądnym czasie, zaczną mnie szukać. — Travis nie widział powodu, by do tej odpowiedzi dodać jeszcze dwa szczegóły: że Whelan nie będzie się zbytnio niepokoił, jeśli nie wróci w ciągu dwudziestu czterech godzin i że powinien był badać zarośla bardziej na południe.

— Mówisz, że znasz Prentissa Morgana, jak dobrze?

— Przez jakiś czas uczestniczyłem w prowadzonych przez niego zajęciach na Uniwersku.

— Nazwisko?

— Fox. Travis Fox.

Operator komunikatora spojrział na mapę i wtrącił: — Double A należy do jakiegoś Foxa.

— To mój brat. Ale ja tylko pracuję dla niego, to wszystko.

— Grant — Ashe odwrócił się teraz do operatora — oznacz to jako bardzo pilne i wyślij do Kelgarriesa. Poproś, by sprawdził Foxa... gruntownie.

— Możemy go odesłać, gdy nadjedzie pierwszy ładunek, szefie. Przechowają go w kwaterze głównej tak długo, jak będziesz chciał — zaproponował Ross, jakby Travis przestał być człowiekiem i był teraz już tylko irytującym problemem.

Ashe potrzęsła głową.

— Widzisz, Fox, nie chcemy zrobić ci nic złego. To po prostu pech, że napatoczyłeś się tutaj. Prawdę mówiąc, w tej chwili nie możemy zapewnić ci żadnej dodatkowej opieki. Ale jeśli dasz słowo, że nie będziesz próbował zwiać i nie przejdiesz linii wzgórza, po prostu na razie pozwolimy ci tu zostać i damy spokój.

Odejście z tego miejsca było ostatnią rzeczą, na jaką Travis miał ochotę. Jego ciekawość została całkowicie rozbudzona i nie miał zamiaru opuścić obozu, chyba że wyrzucano by go siłą. A to, obiecał sobie w duchu, sprawi im niemały kłopot.

— Zgadzam się.

Lecz Ashe mówił już o czym innym.

— Mówiłeś, że kopaleś tu trochę. Co znalazłeś?

— Zwykle rzeczy: garnki, kilka grotów od strzał. Osada prawdopodobnie jest prekolumbijska. Te góry są pełne takich ruin.

— A czego się spodziewałeś, szefie? — zapytał Ross.

— Cóż, była drobna szansa — odparł tajemniczo Ashe. — Klimat konserwuje takie rzeczy. Znajdowaliśmy kosze, płótna, inne delikatne rzeczy, które przetrwały.

— Stawiałbym raczej na kości i kosze niż na te inne rzeczy. — Ross przyłożył swą poznaczoną bliznami dłoń do piersi i potarł nią, jakby dawna rana nadal mu dokuczała. — Lepiej rozstawmy światła, jeśli chłopaki chcą wpaść do nas dziś w nocy.

Łaciaty wierzchowiec Trávisa nieporuszenie paś się na środku łąki, gdy Ross i Ashe wyznaczyli dwie linie, na których, w różnych odstępach, umieścili małe, plastikowe kanistry. Przyglądający się Travis odgadł, że przygotowywali miejsce do lądowania. Powierzchnia prowizorycznego lotniska była jednak dwa razy większa od tej, jakiej potrzebowałby helikopter podobny do tego, który już tu stał. Następnie Ashe oparł się o drzewo i zaczął przeglądać opasły notes; w tym czasie Ross przyniósł zrolowaną derkę, którą zaraz rozwinął.

W zawiniątku leżało pięć kamiennych płatków, pięknie obrobionych, zbyt długich, by mogły to być groty strzał. Travis rozpoznał te charakterystyczne kształty, te płaskie krawędzie! Znacznie lepsza robota, niż rzemieślników z jego własnego ludu, a jednak o wiele starsza. Trzymał już w swych rękach wyroby podobne do tych i podziwiał kunszt zapomnianego wytwórcy broni, który wyciosując je, powołał do życia. Miały być nasadzone na drzewca oszczepów, którymi rzucano na odległość w czasie polowań na mamuty, wielkie bizona, niedźwiedzie jaskiniowe i lwy alaskańskie.

— Kultura Folsom^{*}, nieprawdaż — Travis pochwycił spojrzenie Rossa w swoją stronę, a także to, że Ashe z uwagą podniósł głowę znad notesu.

Ross podniósł jedno z ostrzy i podał je Travisowi. Ten wziął je delikatnie. Grot był doskonale gładki. Poobracał go w palcach i zastanowił się przez chwilę, niepewny tego, co wiedział.

— Falszywy.

Lecz czy to prawda? Miewał w ręku ostrza z Folsom i niektóre, mimo swego wieku, zachowały się tak doskonale, jak to. W tym ostrzu było jednak coś szczególnego; nie mógł jednak precyzyjnie określić przyczyny swoich wątpliwości.

— Dlaczego tak myślisz? — zainteresował się Ashe.

— Za jego autentyczność ręczył Stefferds. — Ross podniósł kolejny grot. Ale Travis, zamiast mieszać się, usłyszawszy o opinii światowego eksperta na temat prehistorycznych zabytków amerykańskich, pozostał przy swojej własnej ocenie.

— Nie szkodzi.

Ashe skinął na Rossa, który podniósł trzeci kamienny grot, odbierając Travisowi ten, który trzymał dotychczas. Nowe ostrze było na pierwszy rzut oka dokładną kopią poprzedniego. Lecz gdy przejechał palcem wskazującym po delikatnych szorstkościach płaskiej krawędzi. Travis wiedział, że to był prawdziwy zabytek. Tak też powiedział.

— No, no — Ross przyglądał się swemu zbiorowi ostrzy. — Mamy coś nowego — rzucił w przestrzeń.

— Robiono to już przedtem — odparł Ashe. — Daj mu swoją broń.

Przez chwilę wydawało się, że Ross mógłby odmówić i zmarszczył brwi, gdy oddawał strzelbę. Apacz odłożył ostrożnie ostrze z Folsom i dokładnie obejrzał broń. Chociaż w ogólnym zarysie wyglądała jak rewolwer, różniła się znacznie od broni, jaką znał Travis. Wycelował w pień drzewa i spostrzegł, gdy trzymał ją gotową do strzału, jak bardzo była niewygodna w uchwycie, jakby ręka, dla której była zaprojektowana, nie była taka sama jak jego własna.

Poza tym to dziwne uczucie narastające w nim od chwili, gdy wziął tę broń. Nie podobało mu się, było niezwykle...

Travis położył strzelbę koło kamiennych ostrzy, przyglądając się ze zdumieniem obu rodzajom broni. Oba sprawiały wrażenie starości; długi szmat czasu oddzielał go od twórcy zarówno ostrzy, jak i tej niezwyklej strzelby. Jeśli chodzi o ostrze z Folsom, jego odczucie było poprawne. Dlaczego jednak to samo czuł przy strzelbie? Już dawno nauczył się polegać na swoim szóstym zmyśle i jego oczywista pomyłka była bardzo niepokojąca.

— Jak stara jest ta strzelba? — zapytał Ashe.

— Nie może być... — Travis zaprotestował przeciw ocenie wydanej przez jego szósty zmysł — nie wierzę, że jest tak stara, lub starsza niż ten grot!

— Bracie, niezły jesteś — Ross spojrzał na niego z dziwnym wyrazem twarzy. Zabrał broń z powrotem.

— To teraz mamy eksperta w odgadywaniu czasu, szefie.

— Taki talent nie jest niczym szczególnym — odpowiedział Ashe, myśląc o czymś innym. — Widziałem już, jak to działa w innych operacjach.

— Ale przecież strzelba nie może być aż tak stara! — Travis nadal nie zgadzał się z własną oceną. Lewa brew Rossa uniosła się, gdy ten uśmiechnął się dość szyderczo.

— To ty tak mówisz, bracie — stwierdził. — Bierzemy? — skierował do Ashe'a enigmatyczne pytanie. Usłyszawszy je, Ashe przestał marszczyć brwi i uśmiechnął się ciepłym uśmiechem; przez sekundę lub dwie Travis czuł się bardzo zaniepokojony. Rzuciło się w oczy, że ci dwaj stanowili od dawna zgraną drużynę, co automatycznie wyłączało go z ich rozmowy.

— Nie spiesz się, chłopaku — Ashe podniósł się i podszedł do komunikatora. — Jakież wieści stamtąd?

— Wiii, ziuuu i tititata — warknął operator. — Gdy tylko dostroję jedno pasmo, natychmiast wpadamy w inne. Kiedyś mogliby zrobić te zabawki tak, żeby przy obsłudze nie pękały bębny w uszach. Nie, do nas jeszcze nic nie było.

Travis chciał zadawać pytania, wiele pytań. Był jednak pewien, że na większość z nich otrzyma

wymijające odpowiedzi. Próbował dopasować tę dziwną broń do łamigłówki składanej z własnych przypuszczeń, zasłyszanych aluzji i rzeczy, które starał się odgadnąć, stwierdził jednak, że ta strzelba nigdzie tu nie pasuje. Porzucił tę myśl, gdy nadszedł Ashe, usiadł obok niego i zaczął mówić o archeologii. Na początku Travis tylko słuchał, potem zauważył, że tamten coraz bardziej wciągał go w rozmowę, odpowiadał więc na pytania, wydawał opinie i raz czy dwa ośmielił się zaprzeczyć swemu rozmówcy. Wiedza Apaczów, ruiny na wzgórzu, ludzie z Folsom — rozmowa z Ashe'em zataczała szerokie kręgi. Gdy tylko Travis zaczął mówić swobodnie z tłumioną żarliwością kogoś, kto zbyt długo nie mógł się wypowiedzieć, zdał sobie sprawę, że Ashe na pewno sprawdza jego wiedzę.

— To musiało być dość męczące, ten ich tryb życia — zauważył Ross, gdy Travis zakończył opowiadanie o tym, jak użytkowano miejsce ich obecnego obozu w czasach dawnych Apaczów.

— Mieli pecha — zaśmiał się Grant i włożył słuchawki na uszy, bo komunikator znów się ożywił. Grant przytrzymał sobie notatnik na kolanie i zapisywał coś w zawrotnym tempie.

Travis przyglądał się ceniom kładącym się na zboczu. Było już blisko do zachodu słońca i zaczynał się niecierpliwić. Miał uczucie, jakby był w teatrze i czekał na odsłonięcie kurtyny albo jakby siedział z odbezpieczoną strzelbą w rękę i czekał na kłopoty.

Ashe wziął od Granta zabazgraną kartkę i porównał z bazgrołami ze swego notesu. Ross pogryzał długie źdźbło trawy, zrelaksowany, niemal śpiący. Jednak Travis domyślał się, że gdyby zrobił jakikolwiek fałszywy ruch, Ross momentalnie by się ożywił.

— Zdaje się, że w tym kraju kiedyś działało się całkiem dobrze — leniwie zauważył Ross. — To tutaj wygląda jak prawdziwy blok mieszkalny dla około stu, może nawet dwustu osób. A właściwie to jak oni tu mieszkali? To mała dolina.

— Na północny zachód jest druga, widać tam jeszcze rowy nawadniające — odparł Fox. — Mieszkańcy polowali na indyki, jelenie, antylopy, nawet bizona, jeśli mieli szczęście.

— Gdyby dało się zajrzeć do historii, można by się dużo nauczyć...

— Masz na myśli podczerwień Vis-TEX? — zapytał Travis z udawaną niedbałością i odczuł złośliwe zadowolenie widząc, jak spokój tamtego prysnął. Potem zaśmiał się, z gorzką nutką w głosie. — My, Indianie, nie nosimy już koców ani pióropuszy, a niektórzy z nas czytają, oglądają telewizję i nawet chodzą do szkoły. Ale ten Vis-TEX, którego widziałem, nie był zbyt skuteczny. — Zdecydował zaryzykować pytanie: — Zamierzacie wypróbować tu nowy model?

— W pewien sposób, tak.

Travis nie spodziewał się takiej poważnej odpowiedzi. A udzielił jej Ashe, przy czym widoczne było zdumienie Rossa. Apacza zastanowiły różne możliwości, jakie kryły się w tej odpowiedzi.

Fotografowanie przeszłości przy użyciu podczerwieni, ale przeszłości niedalekiej, trwającej od kilku godzin, było dobrze wypróbowywane. Już w późnych latach pięćdziesiątych eksperymenty takie odnosiły sukces. Procedura została doprowadzona do perfekcji, gdy obiekty zaczęły pojawiać się na zdjęciach miejsc, z których zniknęły dwa tygodnie wcześniej. Travis był raz obecny w trakcie prezentacji jednego Vis-TEXa u doktora Morgana. Ale jeśli oni naprawdę mieli nowy model, który mógł robić zdjęcia w prawdziwej historii...! Głęboko wciągnął powietrze i spojrzał na ruiny w grocie przed sobą. Jak ogromne znaczenie miałyby uzyskanie widoków z przeszłości. Potem skrzywił się z rozbawieniem.

— Niezły kawałek historii będzie trzeba szybko napisać na nowo, jeśli macie taką maszynkę, która działa.

— Nie jest to całkiem historia — Ashe wyciągnął papierosy i poczęstował nimi obecnych. — Synu, jesteś teraz częścią tej bajki, chcesz tego czy nie. Nie możemy cię puścić, sytuacja jest zbyt napięta. Tak więc będziesz miał szansę się zaciągnąć.

— Zaciągnąć do czego? — odparował czujnie Travis.

— Do operacji „Folsom Jeden”. — Ashe zapalił papierosa. — W kwaterze głównej sprawdzano cię cały czas. Myślę, że opatrność specjalnie skierowała cię tu, do nas. Dokładnie wszystko się zgadza.

— Czy nie zgadza się zbyt dobrze? — Ross zmarszczył brwi.

— Nie — odparł Ashe — on jest tym, kim powiedział, że jest. Nasz człowiek z Double A złożył

raport, mamy też wiadomości od Morgana. Na pewno nie jest wtyczką.

Jaką wtyczką? — pomyślał Travis. Zdecydowanie wciągano go w coś, chciał jednak wiedzieć w co i dlaczego. Wypowiedział swe rozterki na głos i gdy Ashe się odezwał, stwierdził, że chyba się przesłyszał.

— Przyjechaliśmy tu, żeby zobaczyć świat myśliwych z Folsom.

— To duży bajer, doktorze Ashe. Musicie mieć genialny Vis-Tex, jeśli możecie obejrzeć, co działo się dziesięć tysięcy lat temu.

— Prawdopodobnie dawniej — poprawił go Ashe. — Jeszcze nie wiemy na pewno.

— A dlaczego dzieje się to w takiej tajemnicy? Rzut oka na jakiś prymitywny szczep wędrowny powinien sprowadzić tu radio, prasę i telewizję.

— Nas interesuje coś więcej niż prymitywne szczepy — zauważył Ashe.

— Na przykład to, skąd pochodzi ta broń — poparł go Ross. Znowu pocierał rękę z blizną, a w jego oczach pojawił się ten sam nieprzyjazny wyraz, który Travis zobaczył po raz pierwszy na brzegu kanionu. Wyglądał tak, jakby właśnie ruszał do walki.

— Będziesz musiał na razie wziąć parę rzeczy na wiarę — wtrącił się Ashe. — Jest to bardzo dziwna sprawa i ściśle tajna, jeśli użyjemy języka naszych czasów.

Zjedli kolację i Travis przeprowadził swego wierzchowca do niższego, wąskiego krańca kanionu, tak by był dalej od zaimprovizowanego lotniska. Właśnie zapadał zmrok, gdy wylądował pierwszy helikopter z ładunkiem. Wkrótce Travis znalazł się w łańcuszku ludzi przekazujących pakunki z maszyny do schronu w małym zagajniku. Pracowali z szybkością, która wskazywała, że czas był sprawą najważniejszą w całej tej akcji i Travis zorientował się, że i jemu udzielili się ten pośpiech. Pierwszy helikopter został rozładowany i odleciał chwilę przed wylądowaniem drugiego. Znowu uformował się łańcuch rozładowujących, tym razem musiało być dwóch mężczyzn naraz, by mogli przenosić cięższe pakunki.

Gdy rozładowano czwarty helikopter, który natychmiast odleciał, Trávisa bolały już plecy, a jego ręce były całe pokancerowane. Przyłączyło się do nich czterech innych mężczyzn, przy czym każdy z nich przyleciał innym helikopterem. Prawie nikt nic nie mówił. Wszyscy koncentrowali się na rozładowywaniu i składowaniu wyposażenia. W chwili względnego spokoju Ashe i jeszcze jeden mężczyzna podeszli do Trávisa.

— To właśnie on — Ashe złapał Trávisa za ramię, przyciągając go do przybysza.

Nowo przybyły był wyższy niż doktor Ashe, a gdy spojrzano się w jego oczy, nie było też wątpliwości, kto był wyższy stopniem. Przybysz patrzył Apaczowi prosto w oczy, z siłą, jakiej tamten nie widział przedtem w żadnym spojrzeniu. Po długiej chwili ten wysoki mężczyzna uśmiechnął się tajemniczo.

— Jesteś dla nas pewnym problemem, Fox.

— Albo tą osobą, której nam brakowało — sprostował Ashe. — Fox, to jest major Kelgarries, obecnie nasz dowódca.

— Później porozmawiamy — obiecał Kelgarries. — Dziś w nocy wszyscy jesteśmy raczej zajęci.

— Oczyszczyć lądowisko! — zabrzmiał rozkaz z polanki. — Łądują.

Odeszli z miejsca, gdzie wylądował piąty helikopter. Znowu zawrzała praca. Jak zaobserwował Travis, Kelgarries pracował razem z innymi, przerzucając pudła — to nie był czas na rozmowy.

Siódmy czy ósmy pakunek? Travis próbował je policzyć, wykręcając sztywne palce. Nadal było ciemno, lecz wygaszono pochodnie. Mężczyźni, którzy przedtem pracowali razem, siedzieli teraz przy ognisku, pijąc kawę i żując kanapki, które przyleciały z ostatnim transportem. Nie rozmawiali zbyt wiele i Travis wiedział, że byli tak samo zmęczeni jak on.

— Czas spać, bracie. Dobrze, że to już — powiedział Ross pomiędzy ziewnięciami. — Potrzebujesz czegoś... kocy... czegokolwiek?

Otepiały ze zmęczenia Travis potrzęsął głową.

— Mam śpiwór w jukach.

Zasnął prawie natychmiast, ledwo zdążył wyciągnąć się na wydzielonym sobie miejscu.

W świetle poranka obóz wyglądał jak pobożowisko. Mężczyźni pracowali już, porządkując

wyposażenie, pracując tak, jakby robili coś, w czym mieli już wprawę. Gdy Travis pomagał podnieść duży karton, podniósł głowę i spojrzał na majora.

— Poświęć mi chwilę czasu, Fox. — Zeszli z polany, gdzie wrzała praca.

— Wpakowałeś siebie i nas w niezłą kabałę, młody człowieku. Prawdę mówiąc, nie możemy cię wypuścić, dla twojego własnego dobra, tak samo jak dla naszego. Ta operacja musi pozostać ściśle tajna, a jest paru rzutkich facetów, którzy chcieliby cię podłapać i wyciągnąć od ciebie, ile się da. Więc albo możemy cię zabrać ze sobą, albo zamknąć w odosobnieniu. Doktor Morgan ręczył nam za ciebie.

Travis nastroszył się. O co im teraz chodziło? Wspomnienia zakłuły go jak natrętne komary. Jeśli jednak rozmawiali z Prentissem Morganem, na pewno wiedzieli, co zdarzyło się rok temu i dlaczego tak się stało. Przekonał się, że wiedzieli o tym, gdy Kelgarries mówił dalej:

— Fox, minęły czasy, kiedy można było pozwolić sobie na uprzedzenia rasowe. Wiem o propozycji Hewitta na Uniwersytecie i co się stało, gdy się upierał przy zwolnieniu cię z personelu wyprawy.

Travis wzruszył ramionami.

— Być może słyszał pan już sformułowanie „obywatel drugiej kategorii”, majorze. Jak pan myśli, jak w tym kraju traktowani są Indianie? Dla tych wszystkich gości jesteśmy i zawsze będziemy zgrają brudnych, niedouczonek dzikusów. Nie można walczyć z kimś, kto sam ma całą dostępną broń. Hewitt przyznał Uniwersytetowi pieniądze na wykonanie pewnego ważnego zadania. Wystarczyło jedno jego słowo, żebym w tym nie brał udziału, i było już po ptakach. Gdybym pozwolił doktorowi Morganowi walczyć o utrzymanie mnie w składzie personelu, Hewitt wycofałby swój czek tak szybko, że tarcie spaliłoby papier. Znam Hewitta i wiem, na co jest uczulony. A praca doktora Morgana była ważniejsza... — urwał nagle. Dlaczego, do cholery, opowiadał to wszystkemu majorowi. Przecież Kelgarriesa na pewno nie obchodziło, dlaczego opuścił Uniwersytet i wrócił na ranczo.

— Na szczęście nie ma zbyt wielu takich facetów jak Hewitt. Zapewniam cię zresztą, że nie pochwalamy jego metod. Jeśli zechcesz przyłączyć się do nas po tym, co usłyszałeś od Ashe'a, to będziesz w naszej drużynie. Człowieku — major energicznie uderzył dłonią o swe zakurzone bryczesy — nie obchodzi mnie, czy ktoś jest niebieskim Marsjaninem z dwoma głowami i czterema parami ust, jeśli tylko potrafi te usta trzymać zamknięte i wykonywać swoje zadania! Tu chodzi o pracę, a jak wiemy od Morgana, możesz nam zaoferować coś ciekawego. Jeśli nie chcesz bawić się z nami, wyślemy cię gdzieś dziś wieczorem, powiemy twemu bratu, że właśnie pracujesz dla rządu, i potrzymamy cię w ukryciu przez jakiś czas. Wybacz, ale tak to właśnie musi być.

Travis uśmiechnął się skrycie na tę obietnicę. Przemknęło mu przez głowę, że mógłby wydostać się stąd bez niczyjej pomocy, jeśli tylko chciał. Chciał jednak trochę podrażnić się z majorem.

— Wyprawa z łapanką na człowieka z Folsom... — zaczął, ale Kelgarries, odwróciwszy się, już prawdopodobnie go nie usłyszał. Travis podążył za nim w stronę Ashe'a, który właśnie ustawiał z drewnianych elementów trójnog z uwagą godną cenniejszych i bardziej kruchych przedmiotów. Podniósł głowę, gdy cień Trávisa padł koło niego.

— I co, postanowiłeś skoczyć z nami w przeszłość?

— Naprawdę potraficie zajrzeć w przeszłość?

— Potrafimy nie tylko zagłądać. — Ashe delikatnie dokręcił jakąś śrubkę. — Byliśmy tam.

Travis popatrzył na niego ze zdumieniem. Mógł zgodzić się, że jakiś nowy i znacznie ulepszony Vis-Tex umożliwiał zagłądanie w historię i prehistorię. Ale podróże w czasie? To było coś zupełnie innego!

— To najprawdziwsza prawda. — Ashe skończył już ze śrubkami i przeniósł spojrzenie z trójnogu na Trávisa. Coś w jego zachowaniu przekonywało o prawdziwości tej niesamowitej historii.

— A potem wracamy.

— Po spotkaniu ludzi z Folsom? — zapytał Apacz z niedowierzaniem.

— Po odnalezieniu statku kosmicznego.

ROZDZIAŁ 3

Nie był to sen, nawet bardzo realistyczny sen. Był tu z nim Ashe, jego zwinne palce, brązowa twarz na tle piaskowożółtych ścian urwiska i ruin na nim. Wszystko działo się tu i teraz, a jednak to, co opowiadał mu Ashe, dokładnie i beznamiętnie, wydawało się tworem szalonej wyobraźni.

— ...tak więc odkryliśmy, że Czerwoni podróżowali sobie w czasie i wybierali się coraz dalej w przeszłość. To, co stamtąd wyłowili, nie pasowało logicznie do żadnego fragmentu historii ani prehistorii, jaki znaliśmy lub odtworzyliśmy. Nie wiedzieliśmy jednak, że odkryli szczątki rozbitego statku kosmicznego. Zachował się on w lodach Syberii, wraz z mamutami i innymi wskazówkami, w jakiej epoce należy szukać kosmitów. Poszli tym śladem, budując sobie stacje przerzutowe w różnych epokach. Kiedyś wpadliśmy przez przypadek na ślad jednej z nich. Wtedy Czerwoni porwawszy naszych agentów, sami pokazali nam statek, który plądrowali kilka tysięcy lat wcześniej.

„Ta historia jakoś się klei, w dziwny sposób wszystko do siebie pasuje” pomyślał Travis, odruchowo podając Ashe’owi drobne narzędzie, którego tamten szukał w trawie.

— Ale skąd tam wziął się ten statek? Czyżby jakaś wczesna ziemaska cywilizacja uprawiała podróże kosmiczne?

— Na początku też tak myśleliśmy, ale potem zobaczyliśmy statek. Nie, on na pewno jest z kosmosu — jakiś frachtowiec, który zboczył z galaktycznego kursu i nie mógł wrócić. Albo nasz świat jest jakimś kosmonautycznym zagrożeniem, czymś w rodzaju rafy na morzu, albo były jakieś inne powody przymusowych lądowań. Ze zbudowanej przez Czerwonych stacji do podróży w czasie przywieźliśmy film, który pozwolił nam namierzyć z tuzin innych kosmicznych wraków. Niektóre z nich znajdują się po tej stronie Atlantyku.

— Tutaj chcecie szukać jednego z nich?! Ashe roześmiał się.

— Jak myślisz, co byśmy tu znaleźli po mniej więcej piętnastu tysiącach lat ruchów tektonicznych i wypiętrzeń, a nawet lokalnej aktywności wulkanicznej? Chcemy dorwać ten statek w tak dobrej formie, jak to tylko możliwe.

— Żeby go obejrzyć?

— Bardzo ostrożnie. Jak pogadasz z Rossem Murdockiem, poda ci kilka ważnych powodów do ostrożności. To on był tym agentem, który dostał się do plądrowanego przez Czerwonych statku. Gdy przyłapali go w kabinie sterowniczej, przypadkowo uruchomił system komunikacyjny i przywołał prawdziwych właścicieli pojazdu. Nie byli zbyt zadowoleni, widząc Czerwonych; zniszczyli wszystkie ich bazy na tym poziomie czasowym, a później prześledzili ich drogę do teraźniejszości, niszcząc wszystkie placówki po kolei. Pamiętasz ten „ściśle tajny” wybuch na Bałtyku na początku tego roku? To „kosmiczny patrol”, czy jak oni się tam zwa, ostatecznie wykończył przedsięwzięcie Czerwonych. Z tego wniosek, że kosmici nie wiedzą, że jesteśmy zainteresowani tym samym, co Czerwoni. Tak więc, jeśli odnajdziemy statek, będziemy po nim chodzić na paluszkach.

— Chcecie dostać jego ładunek?

— Też, ale przede wszystkim chcemy wiedzy, którą mieli konstruktorzy tego statku, wiedzy — klucza do kosmosu.

To przemawiało do Tralisa. Człowiek wybierał się do gwiazd już od dwóch pokoleń. Odnosił przy tym nieco drobnych zwycięstw i wiele gorzkich porażek. A teraz? Czymże byłby głupi lot na pusty i nagi Księżyc w porównaniu z wyprawą do dalekich gwiazd?

Ashe trafnie odczytał jego wyraz twarzy i uśmiechnął się.

— Do ciebie to też przemawia?

Apacz nieprzytomnie pokiwał głową, spoglądając w dół wąwozu; próbował uwierzyć, że gdzieś tutaj, schwytny w pułapkę czasu, leży prawdziwy statek kosmiczny i czeka właśnie na nich. Nie mógł jednak nawet wyobrazić sobie, jak wyglądał ten obszar w okresie pluwialnym. Gdy przez większą część roku padały deszcze, grunt uwalniany przez kurczące się lodowce niedaleko na północy musiał być jednym wielkim bagnem.

— Ale dlaczego wybraliście akurat kulturę z Folsom? — z gmatwaniny faktów wybrał akurat ten, żeby o coś zapytać.

— Wysyłaliśmy agentów jako Celtów, Tatarów czy ich odległych przodków, handlarzy z plemienia Beakerów z epoki brązu i w stu innych rolach. Teraz prawdopodobnie musimy przygotować kilku wojowników z Folsom. Jedną z podstawowych zasad tej gry, Fox, mówi, że nie igra się z czasem i nie wprowadza żadnych nowinek ze swojej epoki. Nie można w żaden sposób zasugerować prawdziwej tożsamości naszych agentów. Nie wiem, co mogłoby się stać, gdyby ktoś zamieszał coś w biegu historii, którą znamy, ale mam nadzieję, że nigdy się tego nie dowiemy.

— Myśliwi — rzekł z wolna Travis, nie całkiem świadom, że cokolwiek mówi — mamuty, mastodonty, wilki jaskiniowe, tygrysy szablozębe.

— Dlaczego to wszystko tak cię interesuje?

— Dlaczego? — odpowiedział jak echo Travis i urwał, by samemu się nad tym zastanowić. Dlaczego zareagował na słowa Ashe'a wewnętrzną wizją prehistorycznych myśliwych i ziemi zamieszkałej przez zwierzęta, na jakie jego własny lud nigdy nie polował? A może jego przodkowie polowali na te gatunki? Czyżby myśliwi z Folsom byli jego odległymi przodkami, tak jak Celtowie i Beakerzy, o których wspominał Ashe, byli właśnie jego przodkami? Wiedział tylko, że na słowa Ashe'a zareagował jakimś podświadomym zainteresowaniem, które nadal się utrzymywało. Ugruntowało się w nim pragnienie obejrzenia świata, który w jego własnej epoce znano tylko ze skąpych i często sprzecznych świadectw niesionych przez garść grotów od włóczni, skamieliny, zetlałe kości i ślady pradawnych ognisk.

— Moi przodkowie byli myśliwymi jeszcze długo po tym, jak wasi wybrali inne sposoby życia — odezwał się w końcu, udzielając najlepszej odpowiedzi, jakiej mógł.

— W porządku — w tonie Ashe'a pobrzmiwała nuta zadowolenia. — A teraz podaj mi tamten pręt. — Wrócił do przerwanej pracy i Travis, nieco zdziwiony, zaczął spełniać rolę jego asystenta. Apacz wiedział, że podjął decyzję, jakiej zyczyłby sobie Kelgarries, wiedział, że będzie uczestnikiem całej tej niewiarygodnej wyprawy.

Jedyna rzecz, jakiej był pewien przez następne dwa pracowite dni, to ta, że rzeczywiście walczyli z czasem i pracowali w napięciu. Co prawda nikt nie trudził się objaśnieniem mu, czy to napięcie, które zawisło nad całym przedsięwzięciem, pochodziło od czynników zewnętrznych czy po prostu wynikało ze zmiany trybu działania tu, w bazie. Ale Travis wcale nie chciał się tego dowiadywać. Znacznie ciekawszy i bardziej zajmujący był fakt, że pracował z Rossem Murdockiem. Dorobili sobie odpowiednie drzewca do grotów włóczni i eksperymentowali teraz z ich rzucaniem. Przy użyciu specjalnej techniki można było wyrzucić dwumetrowy oszczep na odległość stu lub więcej metrów i Travis wiedział, że w bezpośredniej walce broń taka ma niesamowitą siłę rażenia. Nic dziwnego, że grupa myśliwych wyposażona w takie włócznie ważyła się polować na mamuty i inne ogromne ssaki swojej ery.

Oprócz włóczni mieli jeszcze kamienne noże podobne do tych znalezionych w pozostałościach po cywilizacji z Folsom. Travis nie wiedział, dlaczego był pewien, że będą używać noży i włóczni i grać rolę wędrownych prehistorycznych myśliwych. A jednak był pewien. Dowiedział się od Rossa, że reszta wyposażenia podróżników w czasie zostanie dostarczona do bazy dopiero wtedy, gdy eksperci przygotują odpowiednie raporty filmowe.

Trzeciego dnia Kelgarries i Ashe wybrali się poza kanion z trzyosobową wyprawą, załadowawszy jeden z helikopterów do granic jego możliwości. Nie było ich prawie tydzień, a po ich powrocie w pośpiechu odesłano kilka rolek filmu. Ashe dołączył do Trávisa i Rossa jeszcze tej samej nocy; legł na posłaniu koło ogniska z westchnieniem ulgi.

— Powiodło się? — chciał wiedzieć Ross. Ashe skinął głową. Miał worki pod oczyma, które nadawały jego rysom zmęczony wygląd.

— Wrak jest tam nadal, wszystko w porządku. Wyśledziliśmy też myśliwych na obrzeżach tego obszaru. Jednak myślę, że możemy działać według planu pierwszego. Ten szczep jest dość mały i nie wygląda, żeby było ich tam więcej. Nasze domysły, że to miejsce jest rzadko zaludnione, są widocznie trafne. Nie będzie konieczne wmieszanie naszych agentów między ludzi ze szczepu, wystarczy, jeśli będą podążali śladem tubylców.

— A kiedy nastąpi przeniesienie w czasie? Ashe spojrział na zegarek.

— Harvey i Logwood przygotowują stację przekaźnikową. Mają na to czterdzieści osiem godzin. Dzisiaj przylecą jeszcze dodatkowe rzeczy z kwatery głównej. Potem nasi ludzie zostaną przetrzuceni. Technicy podażą za nimi, gdy tylko zwiadowcy przekażą sygnał, że wszystko w porządku. W kwaterze głównej analizują właśnie raporty filmowe. Będą mieli dla nas resztę ekwipunku, jak tylko to będzie możliwe.

Travis poruszył się. Kto będzie uczestnikiem wyprawy zwiadowczej w daleką przeszłość? Chciał o to zapytać w nadziei, że będzie jednym z nich. Lecz to, co zdarzyło się rok temu i zniweczyło jego inne plany, wiązało mu teraz język. W końcu Ross wypowiedział to najważniejsze pytanie.

— Kto pobiegnie pierwszy, szefie?

— Ty, ja; jesteśmy na bieżąco. Nasz kolega tutaj, jeśli będzie chciał.

— Naprawdę, mógłbym? — zapytał Travis powoli.

Ashe sięgnął po dzbanek z kawą.

— Fox, jeżeli nie będziesz ganiał sam po lesie ze swoją włócznią, by wypróbować ją na pierwszym mamucie, jaki ci się nawinie, to możesz iść z nami. Głównie dlatego, że wyglądasz odpowiednio albo przynajmniej będziesz tak wyglądał, gdy już się do ciebie zabierzemy. Być może będziesz mógł zaadaptować się tam o wiele łatwiej niż my. Zapytaj Rossa, ile roboty jest na szkoleniu przygotowującym do takiego zadania. Nie mamy czasu do stracenia. Kilka dni musi wystarczyć na szkolenie. Stawiamy raczej na nasze własne możliwości... na ciebie, na Rossa i na mnie. Naucz się jednego — to ja jestem szefem sekcji i wszystkie rozkazy pochodzą ode mnie. No i obowiązuje główna zasada: najważniejsze jest nasze zadanie. Trzymamy się z daleka od tubylców, nie angażujemy się tam w żadne wydarzenia. Jedynym powodem, dla którego się tam wybieramy, jest ochrona ekipy technicznej. Będziemy pilnować, żeby im nie przeszkadzano, gdy będą pracować we wraku. A może to nie być taka łatwa praca.

— Dlaczego? — zapytał Ross.

— Bo ten statek nie wylądował tak szczęśliwie jak tamten, który wtedy łupili Czerwoni. Z filmów, które widzieliśmy, wynika, że przy lądowaniu dość mocno uderzył w ziemię. Być może będziemy musieli go zostawić i odszukać Numer Drugi na naszej liście. Jeśli tylko znajdziemy cokolwiek interesującego na tym statku, będziemy mogli rozwiać wątpliwości komitetu i zyskać poparcie dla dalszych badań i kolejnych wypraw.

— Chyba trzeba będzie zamordować kogoś z komitetu, zanim dostaniemy tę zgodę — stwierdził Ross.

Ashe uśmiechnął się krzywo.

— Chcesz stracić pracę, chłopcze? Jeśli tylko damy im popatrzeć na te miejsca, w których byliśmy, to zaraz nas poprą.

Trzy dni później o wschodzie słońca Ashe, Ross i Travis znaleźli się w małym wąwozie jednej z odnóg kanionu. Działali pod wysoce krytycznym nadzorem drobnego, schludnego mężczyzny, który uważnie obserwował ich przez swe mocne okulary i udzielał zwięzłych instrukcji oschłym, konkretnym tonem. Rozebrawszy się, natarli się centymetr po centymetrze kremem dostarczoną przez instruktora. Pod wpływem tego preparatu ich opalona czy też naturalnie ciemna skóra nabierała tego odcienia brązu, który cechuje ludzi, którzy — niezależnie od pogody — nie noszą zbyt wielu ubrań.

Ashe i Ross włożyli szkła kontaktowe, więc ich oczy stały się tak samo brązowe, jak oczy Trávisa. Ich krótko ostrzyżone włosy ukryto pod perukami ze splecionych, szorstkich, czarnych włosów opadających na ramiona, a z tyłu przypominających końskie grzywy.

Później każdy z tej trójki położył się płasko na plecach i charakteryzator, korzystający z materiałów filmowych dostarczonych z kwatery głównej, wyczarowywał na ich ciałach tatuaże, pokrywając nimi klatkę piersiową, ramiona i policzki. Gdy Travis był charakteryzowany, przyglądał się Ashe'owi, którego już wcześniej poddano zabiegowi. Gdyby nie obserwował wszystkich stadiów tej przemiany, nigdy by nie zgadł, że pod tą dziką maską krył się doktor Gordon Ashe.

— Świetnie, że możemy nosić sandały — powiedział ten sam dzikus, zawiązując na kostkach rzemienie, które mocowały do jego stóp plecionkę z szorstkich niewyprawionych pasków skóry.

Ross właśnie założył swoją parę tego prymitywnego obuwia.

— Miejmy nadzieję, że to się nie rozpadnie, jeśli będziemy musieli wiać, szefie — stwierdził, patrząc z powątpiewaniem na swoje nogi.

Gdy byli już gotowi, stanęli przed ekspertem od charakteryzacji i Kelgarriesem. Major przyniósł jakieś futra i rozdał je ucharakteryzowanym mężczyznom.

— Pilnujcie tego. Robi się zimno tam, dokąd się wybieracie. Dobrze, helikopter już czeka.

Travis zarzucił na ramię skórzany worek i zgarnął trzy włócznie, które zaopatrzył w groty imitujące te znalezione w Folsom. Cała trojka była uzbrojona w ten sam sposób i każdy miał też swój worek z ekwipunkiem.

Helikopter wystartował, unosząc ich daleko od kanionu Hohokam w kierunku szerokiego pasma pustynnej ziemi. Po jakimś czasie wylądowali koło starannie zamaskowanej placówki. Kelgarries wydawał Ashe'owi ostatnie instrukcje.

— Macie jeden dzień ... albo dwa, jeśli to będzie potrzebne. Postarajcie się zatoczyć koło o promieniu około trzech kilometrów. Reszta zależy od was.

Ashe skinął głową.

— W porządku. Zgłosimy się, gdy tylko będziemy pewni, że wszystko jest w porządku.

Ukryty punkt przenośnikowy składał się z czterech ścian bez dachu. Trzej agenci weszli do ciasnego pomieszczenia, zobaczyli, jak zamyka się za nimi ściana, i poczuli, jak obejmuje ich promieniowanie. Travis czuł pieczenie w mięśniach i w kościach, potem ukłucie, przy którym prawie wpadł w panikę, gdy nie mógł zaczerpnąć oddechu, bo czuł, że coś wykręca mu płuca na zewnątrz. Starał się utrzymać na nogach, podpierając się swymi włóczniami. Nastąpiła sekunda lub dwie kompletnej ciemności. Potem Travis zaczerpnął głęboko powietrza i otrząsnął się, jakby wyszedł z rwącego prądu rzeki. Wargi Rossa wykrzywiły się w uśmiechu i swą poznaną bliznami dłonią zrobił gest jeszcze od czasów gladiatorów oznaczający zwycięstwo — podniósł kciuk w górę.

— Koniec drogi, wysiadamy.

Travis rozejrzał się — nadal siedzieli w tym samym pudle. Jednak gdy Ashe podniósł otwieraną ścianę, zamiast stosów pudeł, które widzieli przedtem, leżał przed nimi stos kamieni. Wydostawszy się z pudła i zza głazów, Apacz zobaczył przed sobą już całkiem inny świat.

Nie było już pustyni i nagranych słońcem skał. Przed nimi, aż do dalekich wzgórz rozciągała się równina porośnięta ostrą, sięgającą do pasa trawą. Równinę na północy przecinało jezioro. Travis zobaczył krzaki i karłowate drzewa rosnące w kępach. W oddali, zbyt daleko, by można było stwierdzić, co to za gatunek, Apacz widział wolno poruszające się stado, które najwidoczniej pasło się w okolicy.

Nad głowami świeciło słońce, lecz zimny, nękający wiatr smagał półnagie ciało Trávisa lodowatym biczem. Naciągnął na ramiona skórzane okrycie i stwierdził, że jego towarzysze zrobili to samo. Powietrze było nie tylko zimne, ale również przesycone wilgocią. Poza tym każdy powiew wiatru niósł do jego nozdrzy nowe, obce zapachy, których nie mógł rozpoznać. Ten świat był równie surowy i ponury jak jego własny, lecz całkowicie odmienny.

Ashe pochylił się i odtoczył na bok jeden z pobliskich kamieni, odsłaniając małą skrzynkę. Ze swojego worka wyjął trzy przedmioty wielkości ziaren grochu i dał po jednym każdemu.

— Włóżcie je sobie do lewego ucha — polecił i sam to zrobił. Potem wcisnął przycisk z boku skrzynki. Wtedy w lewym uchu usłyszeli ciche trzaski.

— To będzie pokazywać nam drogę do domu. Działa jak radar i przyprowadzi was z powrotem tutaj.

— Co to jest?

Kłęb dymu rozciągnięty przez północny wiatr w sztandar szarej pary przeleciał nad nimi. Ten rodzaj dymu nie zwiastował pożaru lasu, musiał jednak pochodzić ze spalania czegoś. Ashe podniósł głowę.

— Wulkan — odparł. — Ta część świata jeszcze się nie uformowała do końca. Idziemy teraz na

północny zachód wokół cypla, aż natkniemy się na wrak. — Zaczął biec długimi, spokojnymi susami, które powiedziały Travisowi, że Ashe nie po raz pierwszy grał rolę prymitywnego łowcy.

Trawa ocierała się o ich nogi, pozostawiając mokre, zimne ślady na odsłoniętych udach. Travis stwierdził, że deszcz musiał padać na krótko przed ich przybyciem. Ciężkie chmury kłębiące się na wschodzie ostrzegały, że następna burza może ich złapać jeszcze tej nocy.

Gdy oddalali się od wzgórza, u którego stóp kryła się stacja podróży w czasie, trzaski w słuchawce powoli cichły; zmieniły swą intensywność, gdy Ashe kluczył wokół jeziora. Wszędzie rosła bujna trawa; rzeczywiście był to kraj zwierzyny łownej. Do tej pory nie przechodzili zbyt blisko pasących się zwierząt, nie mogli więc stwierdzić, jakiego były gatunku.

Około pół kilometra od brzegu jeziora znajdował się przedmiot, który nie wyglądał na stworzony przez naturę. Metalowa półkula wbita głęboko w ziemię, w okrągłym boku miała dwa poszarpane otwory. Obiekt ten był otoczony czarnym, szerokim pasem wypalanej ziemi, dopiero porastającej trawą. Tym jednak, co zrobiło na Travisie największe wrażenie, była wielkość wraku. Stwierdził, że najprawdopodobniej widoczna była tylko połowa tego, co na początku było całą kulą. W każdym razie widoczna część była wysoka na co najmniej sześć piętér. Cały ten pojazd bardziej był podobny do luksusowego statku niż transportu powietrznego z jego własnych czasów.

— Ale oberwali! — zauważył Ross. — Mocno się rozpadło przy lądowaniu.

— Albo może oberwali przed lądowaniem. — Ashe oparł się na włócznie i zaczął uważnie oglądać kadłub.

— Co?

— Te dziury mogły powstać przy ostrzale. Pozostawmy to ekspertom. Jednak może to być wrak z gwiazdnej bitwy. Zaraz będzie burza. Zatoczmy koło na zachód stąd i poszukamy schronienia wśród wzgórz. Jeśli pierwsze raporty są prawdziwe, złapie nas deszcz, a tego byśmy nie chcieli.

Krok Ashe'a wydłużył się w trucht, a trucht następnie w bieg. Kierował się w stronę odległych wzgórz, oddalając się od wraku. By dotrzeć do wzgórz, musieli okrążyć część jeziora.

Uważnie wybierali drogę krawędzią bagna, gdy nagle zatrzymało ich przeraźliwe zawodzenie. Travis rozpoznał ten dźwięk: była to oznaka czyjejś nadchodzącej śmierci; to, co usłyszał potem, nie mogło pochodzić z gardzieli żadnego człowieka ani zwierzęcia z jego własnej epoki. To przejmujące, nawołujące wycie dobiegało dokładnie z tego kierunku, w którym podążali. Wyciu odpowiedziało chrząkanie brzmiące tak, jakby dobywało się z pyska olbrzymiej świni. Najgorsze jednak było to, że chrząkanie dobiegało tuż zza ich pleców!

— Na dół! — Travis posłuchał rozkazu Ashe'a, rzucając się w błoto i padając nieco na lewo. Chwilę później trzej agenci już ukryli się w gęstych krzakach. Nie zwracali uwagi na ból, jaki ciemiste gałęzie zarośli sprawiały ich odsłoniętym kończynom; byli pochłonięci przedstawieniem z życia dzikiej przyrody, na które mieli miejsca w pierwszym rzędzie.

Na ziemi leżała masa pokiereszowanego ciała wstrząsana przedśmiertnymi drgawkami, skłębione żółte futro sklezione krwią. Nieco na uboczu kuliło się drugie zwierzę. Travis rozpoznał je, gdy tylko zerknął na jego długie, kręcone kły: tygrys szablozęby. Był nieco dłuższy niż lew z epoki Trávisa, a jego muskularne, silne łapy stanowiły groźbę mogącą odstraszyć o wiele większe zwierzę. Lecz teraz stawiał czoło olbrzymowi... Jego przeciwnik, którego młode zostało zabite, był górą cielska, sięgającą prawie sześciu metrów wysokości. Wsparty na masywnych tylnych łapach i grubym ogonie, atakował tygrysa mocnymi przednimi łapami, a każda z nich była zakończona jednym olbrzymim pazurem. Wąski łeb bestii miotał się we wszystkie strony nad gigantycznym tułowiem.

Odrażający zapach zwierzęcia dobiegł ukrytych w krzakach mężczyzn, gdy drugi olbrzymi leniwiec ruszył do ataku. Tygrys zaczął pluć tak, jak to robią rozwścieczone koty.

ROZDZIAŁ 4

Na ramieniu Trávisa zacisnęła się dłoń Ashe'a, odciągając uwagę Indianina od rozgrywającej się bitwy. Ashe wskazał na zachód i znów go pociągnął. Ross już czołgał się w tamtym kierunku. Wiatr wiał zza ich pleców, dochodził ich więc zwierzęcy fetor, ale nie było niebezpieczeństwa, że bestie ich wywęszą.

— Znikamy! — rozkazał Ashe. — Nie chcemy chyba, żeby ten kot poszedł naszym śladem. Nie poradzi sobie z dwoma dorosłymi leniwcami, więc wkrótce możemy spotkać się z rozczarowanym stołownikiem szukającym łatwiejszej strawy. — Posuwali się naprzód, próbując wywnioskować z parsknięć kota i chrząknięć leniwców, jaki etap osiągnęło właśnie starcie, czy doszło do prawdziwej walki. Travis wiedział, że jeśli tygrys będzie sprytny, uniknie walki. Znajac taktykę lwów górskich ze swej epoki, myślał, że tak właśnie będzie.

— W porządku, teraz pędem! — Ashe skoczył na równe nogi i nadał niezłe tempo temu opętańczemu biegowi przez rozległą równinę, podczas gdy pozostała dwójka podążała za nim. Słońce zniknęło teraz całkiem i panująca pod niskimi chmurami szarość przeszła w zmierzch. Słabe trzaski ich urządzenia naprowadzającego niemal zaniknęły.

Szarobrazowe bryły mięsa obracały w stronę biegnących swe łby z szerokimi rogami. Gdyby ich rogi były zakręcone, a nie proste, mogłyby to być żubry. Gdy do zwierząt doszedł zapach zwiadowców, wstrząsnęły rogatymi łbami i spokojnym galopem ruszyły na północ przez otwartą równinę. Pomiędzy nimi biegły o wiele szybciej i zgrabniej konie z wielkimi łbami, pokryte czarno—białymi pasami, które upodobiały je do zebra. Zdecydowanie był to raj dla myśliwego.

Deszcz nadszedł zza ich pleców, tworząc zasłonę z kropel. Gdy ich dosięgnął, Travis zakrzusił się i nie mógł złapać tchu pod tą ulewą, która smagała go bezlitośnie i przygniatała do ziemi. Mimo tego utrzymywał tempo nadane przez Ashe'a i cała trójka kontynuowała bieg w stronę wzgórz, które teraz ledwo było widać zza mokrej kurtyny.

Zwolnili nieco na wzniesieniu i dwa razy musieli przeskakiwać rwące strumienie niosące ze sobą nadmiar wody padającej na szczyt górski. Krwawe błyskawice co jakiś czas rozświetlały niebo. Przy którymś z kolei błysku Travis został wciągnięty przez Ashe'a do wykrotu zapewniającego choć częściową ochronę.

Skuleni tłoczyli się z Rossem i Ashe'em pod osłoną skał. Nie było to zbyt szczelne schronienie, lecz zawsze lepsze niż żadne.

— Jak długo to może trwać? — jęknął Ross.

— Godzinę albo kilka dni — odparł Ashe bez wielkiego optymizmu. — Miejmy nadzieję, że dopisze nam szczęście.

Ukucnęli, otulając się szczelnie swymi skórzanymi okryciami. Przysunęli się jeden do drugiego, usiłując zachować jak najwięcej ciepła wśród przejmującego zimna i dokuczliwej wilgoci. Prawdopodobnie zdrzemnęli się nieco, bo Travis nagle się ocknął. Potrząsnął głową, poczuł bowiem dojmujący ból w szyi i karku. Wiedział, że deszcz przestał już padać, choć w ich prowizorycznej kryjówce panowała kompletna ciemność.

— Idziemy dalej? — zapytał.

Odpowiedź nie nadeszła jednak od żadnego z towarzyszy, lecz z zewnątrz: usłyszeli rwący bębenki w uszach ryk. Travis wbił paznokcie w drzewce swej włóczni, nie mógł jednak powstrzymać gwałtownych dreszczy, które złapały go, gdy usłyszał ten złowieszczy odgłos.

— Z pewnością, jeśli tylko chcemy dostarczyć naszemu przyjacielowi z zewnątrz nocną przekąskę

— stwierdził Ashe. — Deszcz chyba popsuł komuś polowanie. W okolicy mamy tygrysy szablozębe, lwy alaskańskie, niedźwiedzie jaskiniowe i kilku innych mięsożerców, których nie chciałbym spotkać bez czołgu pod ręką.

— Radosne miejsce — zauważył Ross. — Rzekłbym, że nasz głodny przyjaciel na górze nie ma dziś zbyt dużo szczęścia. Chyba raczej nie uda mu się sięgnąć tu do nas, żeby spróbować dla smaku?

— Gdyby spróbował, będzie mógł posmakować naszych włóczy — odparł Ashe. — Jedyną zaletą tej dziury jest to, że nic tu nie wlezie, jeśli powiemy „Nie!” dostatecznie stanowczo.

Usłyszeli drugi ryk z większej odległości niż pierwszy, co Travis przyjął z ulgą. Któryś z mięsożernych, grasujących dzisiaj w okolicy, nie podążał na pewno ich śladem. Deszcz musiał splukać ich zapach z trawy i z ziemi. Nadal jednak kulili się w swej kryjówce, usiłując zmieniać co jakiś czas ułożenie rąk lub nóg, by ranek nie zastał ich niezdolnymi do ruchu. Pozostali w ukryciu, aż niebo rozjaśniło się w zapowiedzi brzasku.

Travis wyczołgał się z wykrotu, przeciągnął się, by poczuć wszystkie mięśnie, i rzucił kilka dosadnych słów, gdy powiew porannej bryzy o temperaturze około trzech stopni poniżej zera przeszył go do szpiku kości mimo jego prymitywnego okrycia. Stwierdził, że najlepiej przygotować się do życia w plejstocenie, spędzając około miesiąca w zamrażarce, nie mając na sobie nic oprócz krótkich spodenek. Odczuł złośliwą satysfakcję, gdy zauważył, że ani Ross, ani Ashe nie byli bardziej ruchliwi niż on po wyjściu z kryjówki.

Przełknął odżywcze tabletki ze swoich zapasów. Chociaż Travis wiedział o energetycznych zaletach tych małych pastylek, zateśnił nagle za prawdziwym mięsem, gorącym i soczystym, właśnie zdjętym z ognia. A te tabletki wcale nie miały smaku.

— Na górę — rzucił Ashe, wytarłszy usta wierzchem dłoni. Zarzucił worek na ramię i zaczął wybierać najlepszą drogę do wchodzenia. Travis zaczął już piąć się w górę przed nim, klucząc między głazami leżącymi na zboczu.

Gdy zwiadowcy dotarli w końcu na szczyt, odwrócili się, by popatrzeć na jezioro i dolinę. Gładka tafla wody pokrywała około połowy zagłębienia. Travisowi wydało się, że lustrzana powierzchnia sięgała dziś bliżej wraku niż wczoraj po południu. Powiedział to głośno i Ashe przyznał mu rację.

— Woda musi gdzieś spływać, a te deszcze zasilają wszystkie strumienie, płynące na dół. Jeszcze jeden powód, dla którego musimy się pospieszyć. Ruszamy.

Jednak, gdy znów się odwrócili, by iść dalej, Travis zatrzymał się. Wątle promienie słońca, które z trudem przedzierały się przez chmury, nie niosły ze sobą ciepła, lecz rzucały choć trochę światła. Apacz wpatrywał się uważnie w podnóże pagórka z zachodniej strony... Nie, nie mylił się! Mimo, że światło było tak słabe, odbijało się od czegoś w drugiej dolinie. Od wody? Wątpił w to, bo odbity promień był zbyt błyszczący.

Ashe i Ross spojrzeli we wskazanym przezeń kierunku i także ujrzeli błyski.

— Drugi statek? — zasugerował Ross.

— Jeśli tak, to nie zaznaczony na naszych mapach. Rzucimy tam okiem. Zgadza się, to jest za jasne jak na odbicie od wody.

Travis zastanawiał się, czy ktoś przeżył tę katastrofę. Jeśli tak, to czy rozbili tam obóz? Przez ostatnie dni usłyszał dostatecznie dużo, by wiedzieć, że jakiegokolwiek spotkanie z pierwotnymi właścicielami statku może być wysoce niebezpieczne. Jeden z patroli Obcych ścigał już kiedyś Rossa, wywierając na niego pewien rodzaj mentalnej presji, tak że udało mu się wyzwolić spod ich wpływu dopiero wtedy, gdy umyślnie oparzył sobie dłoń i użył bólu, by przeciwstawić się ich usiłowaniom zmuszenia go do poddania się. Załoga statku nie składała się z ludzi i broń oraz moce, jakie mieli do dyspozycji, na razie przekraczały wyobraźnię Ziemi.

Dlatego też szli w ukryciu, sprawnie wykorzystując w tym celu każdy krzak i kamień, każde wzniesienie, w tym większym napięciu, im bardziej zbliżali się do źródła błysków. Kolejny już raz Travis podziwiał umiejętności swych towarzyszy. On sam polował na lwy, które są bardzo czujną zwierzyną, umiał też czytać ślady. Używał wszystkich wiadomości przekazanych mu przez Chata, który znał tajemnice dawnych wojowników. Jednak ta dwójka dorównywała mu w kunszcie, który był uważany za domenę czerwonego, a nie białego człowieka.

Legli wreszcie w kępie drzew, ostrożnie rozsuwając źdźbła trawy, by przyjrzeć się równinie. Na środku doliny widniał drugi kulisty statek. Ten jednak stał cały na powierzchni ziemi i był mały, wręcz miniaturowy w porównaniu z tamtym olbrzymem. Po pierwszych, pobieżnych, oględzinach wydawało się, że pojazd wylądował normalnie, bez uszkodzeń. Na pół uniesiony, skierowany w ich stronę dziobem, ukazywał czeluść włazu, z którego zwisała drabinka. Ktoś przeżył lądowanie i

przybył na Ziemię!

— Szalupa ratunkowa? — głos Ashe'a był cichszy od najcichszego szeptu.

— Nie wygląda jak ta, którą widziałem wtedy — odszepnął Ross. — Tamta była podobna do rakiety.

W przesiece zaświstał wiatr. Pod jego podmuchem drabinka przylgnęła do burty statku. Jakieś ptaki usiłowały poderwać się do lotu, lecz wiatr im to uniemożliwił, więc poruszały się niemrawo, z niezdarną ociężałością. Do trójki ukrytych zwiadowców doleciał z wiatrem ten słodkawy, wywracający wnętrzności zapach, którego nie można było pomylić z żadnym innym, jeśli już raz się go wahało; odór czegoś martwego, ścierva leżącego już od pewnego czasu.

Ashe wstał i przyjrzał się ptakom, potem ruszył do przodu. Dobiegło ich chrząknięcie. Włócznia Travaisa śmignęła w powietrzu i brązowe, czworonożne zwierzę pisnęło, zamachało łapami i upadło na trawę. Większość padlinożernych ptaków zatrzepotała i oddaliła się od swej zdobyczy.

To, co leżało u stóp drabinki, nie robiło przyjemnego wrażenia. Na pierwszy rzut oka trudno było stwierdzić, ile trupów tam leżało. Ashe spróbował dokonać bliższych oględzin, szybko wrócił pobladły i milczący. Ross podniósł skrawek niebieskozielonego materiału.

— To mundury jajogłowych — rozpoznał od razu. — Do końca życia nie zapomnę, jak one wyglądają. Co tu się stało? Jakaś walka?

— Cokolwiek to było, na pewno zdarzyło się jakiś czas temu. — Ashe, pobladły pod opalenizną, powoli dobierał słowa. — Skoro nikt ich nie pochował, przypuszczam, że nikt z załogi nie przeżył.

— Wchodzimy? — zapytał Travis, kładąc rękę na drabince.

— Tak, ale nie dotykajcie niczego. Szczególnie żadnych przyrządów ani urządzeń.

Ross zaśmiał się z ledwo wyczuwalną nutą hysterii.

— Tego nie trzeba mi przypominać, szefie. Pan przodem, proszę uprzejmie.

Podążyli za Ashe'em po drabince i weszli przez właz. W niewielkiej odległości od włazu znajdowały się drugie drzwi, dwa razy grubsze i z większymi zawiasami. Były także uchylone. Ashe pchnął je i znaleźli się w szybie, z którego prowadziła druga drabinka, czy też schody.

Travis podświadomie oczekiwał ciemności, bo nigdzie nie było żadnych okien, które mogłyby wpuścić światło dzienne. Jednak niebieskawe światło sączyło się ze ścian wokół nich; wszędzie panowało również przyjemne ciepło.

— Statek nadal żyje — stwierdził Ross — a jeśli nie został uszkodzony...

— Jeśli tak jest — łagodnie dokończył Ashe — to dokonaliśmy prawdziwego odkrycia. Nigdy nie oczekiwaliśmy czegoś podobnego. — Zaczął wspinać się na wewnętrzną drabinę.

Dotarli na platformę, na której ujrzeni troje drzwi, wszystkie zamknięte. Ross usiłował otworzyć każde z nich, lecz żadne nie ustąpiły.

— Na klucz? — zapytał Travis.

— Być może albo po prostu nie umiemy wcisnąć właściwego przycisku. Idziemy na górę? Jeśli ten statek jest podobny do tamtego, kabina pilotów jest na samej górze.

— Zajrzyjmy tam, ale żadnych eksperymentów, pamiętaj!

— Nie zapomnę — Ross pogładził dłoń pokrytą bliznami.

Kolejna drabinka przywiodła ich do otworu w podłodze półkolistej kabiny zajmującej cały szczyt statku. Zanim jeszcze weszli do środka, wiedzieli już, że śmierć dotarła tam przed nimi.

Było tylko jedno ciało, powyginane i powykręcane na siedzeniu zwisającym z sufitu. Przed sztywnym ciałem ubranym w niebieskozielony materiał widniał pulpity pełen przycisków, dźwigni i ekranów.

— Pilot zginął na posterunku. — Ashe podszedł i pochylił się nad ciałem. — Nie widzę żadnej rany. Mogła to być jakaś epidemia, która zaatakowała całą załogę. Lekarze na pewno do tego dojdą.

Nie zostali, by dalej oglądać statek; było to zbyt ważne odkrycie. Koniecznie trzeba powiadomić Kelgarriesa i jego przełożonych o drugim statku. Ashe jednak podjął pewne środki ostrożności: wciągnął drabinę do środka i opuścił się na dół po linie.

— Kto mógłby tędy wejść? — dociekał Ross.

— Lepiej się zabezpieczyć. Wiemy, że w tej okolicy są gdzieś tubylcy. Mogą uważać każdy nieznaną obiekt za tabu, równie dobrze jednak mogą być na tyle dociekliwi, by próbować tu

grzebać. A ja nie chciałbym, żeby któryś z nich dotknął urządzenia przywołującego naszych jajogłowych przyjaciół lub kogokolwiek innego. Teraz biegniemy do stacji przeniósłkowej!

Słońce świeciło mocniej niż o poranku. Powietrze stawało się nieco cieplejsze, a także wilgotniejsze, bo przygięta deszczem trawa oddawała teraz swój bagaż. Ich droga powrotna przypominała bieg przez rzekę porośniętą śliskimi wodorostami owijającymi się wokół ich nóg; dobrze, że chociaż podłoże pod nogami było twarde. Biegący pokonali wzgórze, minęli swoją nocną kryjówkę, przebiegli równinę i pognali skrajem polanki, na której padlinożercy posilali się wczorajszą ofiarą, tygrysem szablozębym.

Gdy wybiegli na otwartą przestrzeń, Ashe zwolnił tempo i machnął ręką, dając rozkaz zatrzymania się. Stado żubropodobnych koni, które spłoszyli poprzedniej nocy, biegło, przecinając im drogę. Teraz zwierzęta najwidoczniej uciekały przed jakimś zagrożeniem. Czyżby znowu tygrys? Żubry nie wyglądały na zwierzęta, którym łatwo byłoby stawić czoła; zdawało się, że potrafią o siebie zadbać.

Gdy jednak wiatr przyniósł wysokie, odległe dźwięki, które ucho Trávisa natychmiast zidentyfikowało jako krzyki pochodzące z ludzkich gardzieli, Apacz domyślił się, że to myśliwi wyruszyli na polowanie. Prymitywni łowcy spłoszyli stado, by móc wyłapać słabsze sztuki.

Zwiadowcy przypadli do ziemi, gdy rosnące z każdą chwilą stado przecięło drogę, którą musieli obrać, by dotrzeć do stacji. Zanim zajęli swe pozycje, czołówka stada, złożona raczej z rączych koni niż flegmatycznych żubrów, przebiegła już przed nimi. Teraz mężczyźni spostrzegli innych myśliwych, którzy korzystali z ogólnego chaosu, by sięgnąć po swoją zdobycz. Pięć ciemnych sylwetek wyrwało się ze swego schronienia pięćdziesiąt metrów od nich i przemknęło w stronę cwałującego na skraju stada wyrosniętego cielaka.

— Wilki jaskiniowe — stwierdził Ashe.

Były to masywne, wielkogłowe zwierzęta biegnące z zamkniętymi pyskami, z wprawą zdradzającą nie byle jakich ekspertów w łowach. Dwa wilki skoczyły, by chwycić za głowę cielęcia, reszta rzuciła się, by poprzegryzać ścięgna na tylnych nogach zwierzęcia, co uczyniłoby je łatwym łupem.

— Yyyyyyyyyjaaaaaaaghhh!

Mały dramat rozgrywający się tak blisko nich zaabsorbował Trávisa do tego stopnia, że zapomniał, co go spowodowało. Na razie nie mieli szansy zobaczyć hałaśliwych sprawców całego zamieszania. W tej chwili jednak koń zatoczył się na walczącego z wilkami żubra. Wielka głowa konia opadła aż do pęcin i krwawa piana z pyska potoczyła się na stratowaną trawę. Głęboko w jego boku tkwiła włócznia. Zwierzę próbowało jeszcze podnieść głowę, zachwiało się i runęło na ziemię.

Jeden z wilków natychmiast przeniósł uwagę na nową ofiarę. Odbiegł truchcikiem od cielęcia i węsząc z uwagą, zbliżył się do jeszcze żywego konia, by rzucić mu się do gardła z ochryplym charkotem. Wilk posilał się właśnie, gdy nadszedł myśliwy, by zareagować na tak bezczelną kradzież.

Druga włócznia, lżejsza, lecz równie celnie wymierzona i równie śmiertelna jak poprzednia, świsnęła w powietrzu i trafiła wilka pod prawą łopatką. Zwierzę wykonało jeszcze konwulsyjny skok i upadło opodal martwego konia. W tym czasie inne włócznie przecięły powietrze, zabijając towarzyszy wilka i ostatecznie także młodego żubra, którego napastowały drapieżniki.

Większość uciekającego stada już przebiegła. Na ziemi leżały jeszcze inne zwierzęta. Trzej zwiadowcy przywarli do ziemi, nie mogąc wycofać się bez groźby zwrócenia na siebie uwagi myśliwych, którzy właśnie nadchodzili, by zabrać swą zdobycz.

Było ich około dwudziestu; mężczyźni średniego wzrostu, ciemnoskórzy, o czarnych, postrzępionych włosach, dokładnie takich, jak peruki agentów. Ich ubiór składał się ze skórzanych okryć trzymających się na spotniałych ciałach dzięki prymitywnie splatanym pasom oraz ze skórzanych sandałów. Przyjrząwszy się im, Travis mógł się przekonać, jak dobrą robotę wykonał charakterystyczny; ich makijaż dokładnie upodabniał ich do łowców z Folsom.

Za mężczyznami ciągnęły kobiety i dzieci, które zatrzymały się, by oprawić zdobycz. Było ich więcej niż myśliwych. Nie można było stwierdzić, czy był to już cały szczepek czy też nie. Mężczyźni

chrapliwie pokrzykiwali do siebie, a ci dwaj, którzy zabili wilki, wydawali się specjalnie zadowoleni. Jeden z nich przysiadł na piętach, rozwarł paszczę wilka, który zabił konia, i krytycznie obejrzał jego kły. Jako że jeden naszyjnik z podobnych trofeów już wisiał na jego piersi, było jasne, że chciałby dołączyć do niego następny.

Ręka Ashe'a opadła na ramię Trávisa.

— Z powrotem — szepnął bezgłośnie. Zaczęli wracać, kryjąc się w trawie, aż dotarli na skraj trzęsawiska w zakolu jeziora. Odtąd posuwali się dalej pokryci szlamem; muchy i inne owady atakowały ich z nienasyconym apetytem. Oddalali się od miejsca polowania, wykorzystując całą swą wiedzę o maskowaniu się, zadowoleni, że tubylcy mieli tak wiele mięsa, które ich zajmowało.

Kępy wierzbopodobnych drzew zapewniały im teraz nieco lepszą osłonę, pod którą mogli pozwolić sobie na bieg. W końcu Ashe ukrył się w krzakach, ciężko dysząc. Travis rzucił się na ziemię czując, że jego płuca są jednym wielkim bólem; Ross upadł pomiędzy nich obu.

— Już prawie by nas mieli — wysapał Ross pomiędzy nierównymi oddechami. — Przy tej robocie nigdy się człowiek nie nudzi...

Travis uniósł głowę i poszukał punktów orientacyjnych. Gdy natknęli się na polowanie, zmierzali do stacji przekaźnika, później jednak musieli zboczyć na północ, by nie wpaść na tubylców. Teraz więc powinni skierować się na południowy wschód. Ashe uklęknął i spojrzał tam, gdzie pośrodku równiny spoczywał wrak.

— Patrzcie!

Przysunęli się do niego i zobaczyli grupę myśliwych zgromadzonych wokół wraku. Jeden z nich dźgnął włócznią burtę statku.

— Nie boją się nieznanego — podsumował Travis.

— Znaczy to, że musimy pospieszyć się z tym mniejszym. Jeśli go odkryją, mogą próbować go badać. Mamy coraz mniej czasu.

— Między nami a przekaźnikiem jest tylko otwarta przestrzeń. — Travis powiedział to, o czym i tak wszyscy wiedzieli. Biegając do odległych skał, byłiby całkowicie odsłonięci i każdy tubylec mógłby ich zobaczyć, gdyby tylko spojrzał w tamtą stronę.

Ashe spojrzał na niego z namysłem.

— Myślisz, że dałbyś radę dotrzeć tam niedostrzeżony?

Travis spojrzał na swą trasę, próbując zapamiętać każdy szczegół mogący stanowić zasłonę przed niepowołanym spojrzeniem.

— Mogę spróbować. — To było wszystko, co powiedział.

ROZDZIAŁ 5

Zmierzał na południe ku wzniesieniu, gdzie widniał stos kamieni maskujących urządzenie. Skulona sylwetka podkradła się do niego, odsłaniając zęby. Potem wilk odbiegł w kierunku najbliższego martwego zwierzęcia, z którego kobiety wykroiły jedynie najsmakowitsze kęski; drapieżnik zajął się oględzinami łupu, o który nie musiał walczyć.

Splószone konie i żubry uciekały na zachód i Travis sądził, że już nie natknie się na żadnego z nich, gdy usłyszał przed sobą parsknięcie. Niewielkie stadko przebiegło przez kępę krzaków i nagle Travis ujrzał przed sobą żubrzycę. W jej łopatce sterczała wbita aż po drzewce włócznia. Nie była to zbyt niebezpieczna rana, lecz ból rozjuszył zwierzę, tak że mogło stać się bardzo groźne.

W takim wypadku nawet gospodarska krowa mogłaby być niebezpieczna dla pieszego, co dopiero żubr, o wiele większy i silniejszy. Jedynie otaczające krzaki ocaliły Trávisa od śmierci przy pierwszym spotkaniu. Żubrzyca zaryczała i ruszyła, atakując z niespodziewaną prędkością. Rzucił się w lewo w gwałtownej ucieczce i znalazł się w kolczastych zaroślach. W tym czasie zwierzę przemknęło obok niego tak blisko, że szorstka sierść otarła się o jego wyciągnięte ramię.

Ryk zwierzęcia rozbrzmiał po raz drugi, gdy Travis gorączkowo szukał swej najcieńszej włóczni. Żubrzyca zatrzymała się, wydzierając połacie trawiastej ziemi ostrymi kopytami. Nagle włócznia w grzbiecie zwierzęcia zahaczyła się o jedno z niskich drzew. Znow zaryczała, rzucając się w przód, by uwolnić się od włóczni i w końcu drzewce ustąpiło, łamiąc się z trzaskiem; z rany zwierzęcia trysnęła krew, która zaraz wsiąkała w obfite, splątane futro.

To nieco ją przystopowało. Travis miał czas, by wstać i przygotować włócznię. Nie mógł znaleźć dobrego celu w wielkim łbie, który gnał w jego stronę. Rozhuśtał swój worek na przytrzymującym go rzemieniu i rzucił krowie w pysk. Sztuczka podziiała. Żubrzyca zaatakowała nie Trávisa, lecz przedmiot, który ją podrażnił. A wtedy Travis wbił w nią włócznię z całą siłą, na jaką go było stać.

Masa zwierzęcia i impet, z jakim szarżowało, wydarły mu drzewce z ręki. Żubr zwałił się na ziemię kaszłąc i upadł na bok. Travis przeskoczył nad zadem krowy, obawiając się, czy odgłosy walki nie zwabiły myśliwych.

Przedzierał się przez krzaki; większość drogi musiał pokonywać czołgając się. Wreszcie ukucnął koło stosu głazów, zdyszany, nie zważając na krwawiące zadrapania na ramionach i ukąszenia na brodzie i szyi.

Obejrzawszy się za siebie, Travis stwierdził, że postąpił bardzo mądrze, opuszczając miejsce swej walki tak szybko. Trzech myśliwych biegło przez równinę w stronę krzaków i szykowało swe włócznie. Poruszali się jednak z ostrożnością wskazującą, że nie pierwszy raz będą podchodzić ranionego marudera ze splószonego stada.

Doszedłszy do krzaków, myśliwi zapuścili się w gąszcz. Kilka sekund później zdumiony krzyk oznajmił Travisowi, że spostrzeżono jego zdobycz. Potem długie zawodzenie odpowiedziało z jakiegoś miejsca na wzgórzu nad kryjówką Apacza; Indianin poczuł się nieswojo.

Włócznia, którą pozostawił w ciele zwierzęcia... wyglądała podobnie do tamtych, ale czy zwiedzie ich na tyle, by uwierzyli, że krowa padła z ręki któregoś z nich? Czy ci ludzie też mieli system znakowania swej broni, tak jak robił to jego lud w swych myśliwskich czasach? Czy będą próbowali go wyśledzić?

Przemknął się do skalnego schronienia. Urządzenie alarmowe stało obok radaru, który wysyłał swoje brzęczenie. Sięgnął po przełącznik i poruszył nim kilka razy w górę i w dół tak, jak nauczono go dzień wcześniej. Tam, skąd przyszedł, pod koniec dwudziestego wieku na pustyni sygnał ten zostanie zapisany przez inne urządzenie, które natychmiast przekaże Kelgarriesowi konieczność szybkiego kontaktu ze zwiadowcami.

Travis wychylił się zza skał i rozejrzał z niepokojem. Rozpłaszczył się za ogromnym głazem i nasłuchiwał, odbierał sygnały wszystkimi, wyćwiczonymi podczas życia w surowych warunkach, zmysłami. Kamienny nóż znalazł się w jego dłoni, gdy tylko usłyszał ostrzegawczy szmer. Jego druga ręka wyciągnęła się, by pochwycić zwieszające się nad nim brązowe, muskularne ramię.

Zapach krwi i tłuszczu uderzył go w nozdrza, gdy starli się piersią w pierś. Obcy bluznął w niego potokiem niezrozumiałej mowy. Travis wznosił dłoń trzymającą nóż; nie po to, by zabić, lecz by tylko uderzyć tamtego w szczękę. Uderzenie zarzuciło głowę obcego na przygarbione ramiona.

Gdy oddalili się nieco od siebie. Travaisa załapała fala bólu. Wymierzył kolejny cios w szczękę i podniósł kolano, przygotowując nóż do kolejnego ciosu. Nie była to uczciwa walka, jeśli stosować reguły cywilizowanego świata, lecz Travis chciał szybko obezwładnić przeciwnika bez rozlewu krwi. Zatokczył się w stronę łowcy i szykował się do rozstrzygającego ciosu, gdy druga postać wyskoczyła zza skał i uderzyła tubylca w tył głowy, co powaliło go na ziemię, bezwładnego i nieprzytomnego.

Ross nie marnował czasu na wyjaśnienia.

— Pomóż mi go ukryć! Szybko!

Jakoś zmieścili się w stacji przekaźnika, wciągawszy łowcę między siebie. Ross szybko i sprawnie związał pojmanemu kostki i nadgarstki, następnie zakneblował go kawałkiem skóry.

Travis obejrzał zakrwawioną ranę na swojej klatce piersiowej i stwierdził, że nie była zbyt groźna; potem spojrzął na Ashe'a, który właśnie przybył.

— Wyglądasz, jakbyś służył dziś za cel strzelniczy — Ashe odepchnął ręce Travaisa, by samemu uważnie obejrzeć ranę. — Przeżyjesz — dodał, grzebiąc w swoim worku. W końcu wydobyl zeń szkatułkę z pigułkami. Jedną z nich rozgniół na dłoni i wtarł zawartość w ranę, drugą kazał połknąć swemu pacjentowi.

— Gdzie tak oberwałeś?

Travis opowiedział o swej przygodzie z żubrzcą.

— Po prostu jeden z pechowych wypadków, jakich należy się od czasu do czasu spodziewać — wzruszył ramionami Ashe. — Teraz będziemy się jeszcze martwić o tego faceta — obrzucił jeńca obojętnym spojrzeniem.

— Co z nim zrobimy? — Murdock zmarszczył nos z niechęcią. — Założymy zoo?

— Nadałeś wiadomość? — zapytał Ashe. Travis skinął twierdząco głową.

— Przesiedzimy więc tutaj do zmierzchu, potem wyniesiemy faceta, przetniemy mu więzy i zostawimy w pobliżu któregoś z ich koczowisk. To najlepsze, co możemy zrobić. Niestety szczerp zmierza na zachód...

— Na zachód! — Travis pomyślał o drugim statku kosmicznym.

— A co będzie, jeśli wejdą na statek? — Ross zdawał się podzielać jego obawy. — Mam przeczucie, że to nie będzie szczęśliwie układająca się akcja. Kłopoty zwałają się nam na głowy od samego początku. Powinniśmy jednak pilnować tamtego statku...

— A co moglibyśmy zrobić, żeby im przeszkodzić? — dociekał Travis. Był w minorowym nastroju, skłonny wierzyć we wszystkie złowieszcze przepowiednie.

— Mamy nadzieję, że łowcy podążą za stadem — odrzekł Ashe. — Żywność jest głównym problemem takiego szczepu i postarają się utrzymać to źródło zaopatrzenia tak długo, jak tylko się da. Ale przydałoby się popilnować statku. Będę musiał złożyć raport Kelgarriesowi. Myślę, że możecie zaprowadzić naszego przyjaciela we właściwe miejsce, a potem ruszycie na wzgórza pomiędzy dolinami. W ten sposób będziecie mogli dać nam znać, gdyby łowcy nadciągali w tę stronę; schowamy wtedy naszych ludzi.

Ross westchnął.

— W porządku, szefie. Kiedy mamy wyruszyć?

— O zmierzchu. Nie trzeba się prosić o kłopoty. Gdy zapadną ciemności, wyruszą drapieźniki.

— Drapieźniki! — uśmiechnął się krzywo Ross.

— Cóż za łagodne określenie! Nie zamierzam spotkać się w ciemności z trzyipółmetrowym lwem!

— Księżyc będzie dziś wieczorem — poprawił Travis łagodnie i usadowił się, jak tylko mógł wygodnie, by odpocząć jeszcze przed kolejnym zadaniem.

Nie tylko księżyc oświetlał im drogę w nocy. Zachmurzone niebo płonęło ogniem jednego lub kilku wulkanów. Powietrze miało metaliczny posmak, który Ashe przypisał odległemu wybuchowi. Udało im się jakoś postawić jeńca na nogi i prowadzili go między sobą. Zdawał się jeszcze na wpół

oszołomiony i osunął się z powrotem na ziemię, gdy Travis poszedł do przodu, żeby zbadać sytuację w miejscu, gdzie widzieli grupę tubylców przy ognisku.

Mężczyźni i kobiety pochłaniali mięso, które wyciągnęli z ognia jeszcze na pół surowe. Zapach tego pożywienia dosięgnął Trávisa i napełnił go pragnieniem, by wskoczyć w środek tej gromady i porwać dla siebie jedno lub dwa smakowite żeberka. Koncentraty, oczywiście, utrzymywały bilans energetyczny i dostarczały jego ciału składników odżywczych, nie były jednak w stanie zastąpić uczy, w którą się właśnie wpatrywał.

Obawiając się, że apetyt zwycięży nad ostrożnością, zawrócił do Rossa i powiedział, że łowcy nie wystawili żadnych straży, które mogłyby zniweczyć ich prościutki plan. Przyciągnęli więc jeńca na skraj zarośli, rozcięli więzy i zdjęli knebel, a potem leciutko go popchnęli. Potem ruszyli biegiem, by wydostać się spoza zasięgu spojrzenia lub włóczni.

Jeśli jakiś tubylec ścigał ich, najwidoczniej nie podążył właściwym tropem. Bezpiecznie dotarli do wzgórza.

— Ale z nas głupcy — zauważył Ross, gdy pokonali ostatnie wzniesienie i znaleźli w miarę rozsądną kryjówkę pod skalnym nawisem. Nie była to prawdziwa jaskinia, ale w razie ataku musieliby bronić dostępu tylko z jednej strony.

— Komu przy zdrowych zmysłach chciałoby się galopować za nami w tych ciemnościach?

— W ciemnościach? — zaprotestował Travis, obejmując przyciągnięte do piersi kolana rękoma i patrząc na północ. Jego podejrzenia co do wulkanu zostały teraz wzmocnione przez czerwien nieba i obecność wyziewów w powietrzu przyniesionym stamtąd przez wiatr. Było to wspaniałe widowisko, lecz nie dawało widzom poczucia bezpieczeństwa. Jedyne, co dawało mu jaką taką pewność, to odległość pomiędzy złowieszczą górą a wzgórzem, na którym obecnie przebywali.

Ross nie odpowiedział. Ponieważ to Travis miał pierwszą wartę, jego towarzysz zawinął się w swoje okrycie i spał.

Noc miała się już ku końcowi, gdy Travis się obudził i w świetle nadchodzącego poranka zobaczył cienką warstwę szarego kurzu pokrywającą jego skórę i skały wokół. W tej właśnie chwili w twarz buchnęła mu siarka, co sprawiło, że zakaszłał ochryple.

— Coś się dzieje na dole? — zaskrzypiał.

Ross potrząsnął przecząco głową i podsunął mu bukłak z wodą. Mały statek spoczywał spokojnie pod nimi i jedyna zmiana w porównaniu z dniem wczorajszym to to, że padlinożercy wokół włazu nie byli już dziś tak ruchliwi.

— Jacy oni są... ci przybysze z kosmosu? — zapytał nagle Travis.

Ross zadrzał, co niepomierne zdziwiło Apacza, który uważał swego towarzysza za niemal pozbawionego nerwów.

— Czysty koszmar, mówię ci, zawsze o tym pamiętaj! Widziałem oba ich gatunki: jajogłowych, którzy noszą te niebieskie mundury, i gości z futrzanymi twarzami i szpiczastymi uszami. Mogą przypominać wyglądem ludzi, ale to nie są ludzie! Wierz mi, ktokolwiek z nimi zadrze, zostanie starty na proch i pył, jak w młynku.

— Zastanawiam się, skąd mogą pochodzić. — Travis podniósł głowę. Dało się zauważyć kilka gwiazd, mdłych punkcików na porannym niebie. Musiał wysilić wyobraźnię, by myśleć o gwiazdach jako o słońcach oświetlających światy tak realne jak ziemia pod jego stopami.

Ross zamachał ręką w kierunku gwiazd.

— Wybierz sobie którąś z nich, Fox. Ci, którzy nas tutaj wysłali, myślą, że jest to cała federacja różnych światów, która tworzyła wtedy Zjednoczone Coś Tam... — zamrugał oczyma i zaśmiał się. — O rany! Powiedziałem „wtedy”, a miałem na myśli „teraz”. Te podróże w czasie strasznie dezorientują.

— A gdyby ktoś z nas doleciał do nich tym statkiem...?

— Myślę, że szybko by tego pożałował.

— A gdyby wystartować z naszych czasów... czy wtedy też natknęlibyśmy się na Obcych?

Ross bawił się rzemieniami spinającymi jego worek z zapasami.

— To jest trudne pytanie i nikt nie będzie wiedział na pewno, dopóki sam tego nie sprawdzi. Dwanaście czy piętnaście tysięcy lat to dość długo.

Czy znasz jakąś cywilizację, która przetrwała choć ułamek tego czasu? Od pomalowanych myśliwych do ery atomowej. A tam mogło to się potoczyć w przeciwnym kierunku: od atomu do myśliwych albo do zupełnej pustki w obecnej chwili.

— Nie chciałbyś wybrać się tam i sprawdzić?

— Z tymi gośćmi w niebieskich mundurkach spotkałem się tylko przelotnie — uśmiechnął się Ross. — Gdybym tylko miał pewność, że nie ma ich na którejś z gwiazd, mógłbym powiedzieć „tak”. Nie chciałbym spotkać się z nimi na ich rodzinnej planecie, nie jestem też wyspecjalizowanym kosmonautą. Ale pomysł wyprawy w kosmos i tak mnie ciągnie... Oho, mamy towarzystwo!

W dolinie od północnej strony dało się zobaczyć pewne poruszenie. Postacie wynurzające się powoli i dostojnie zza drzew nie były jednak myśliwymi. Ross zagwizdał z cicha przez zęby, chciwie przyglądając się nadciągającym stworom. Travis podzielał jego zainteresowanie.

Widok stada żubrów, pasiastych koni czy osaczonego tygrysa szablozębego nie był tak oszałamiający, jak to, co teraz ujrzeli. Nawet zwykły słoń z ich epoki mógł wywołać w człowieku uczucie strachu przez majestat swych ruchów i otaczającą go aurę siły i odwagi. Ci natomiast jego przodkowie byli jeszcze więksi, przez co wywołali w obu zwiadowcach niemal paraliżujące uczucie zdumienia.

— Mamuty!

Wysokie olbrzymy o grubej sierści, ogromnych łopatkach i garbatych grzbietach, idąc, wywoływały wrażenie karłowacenia krajobrazu. Trzy z nich sięgały trzech i pół metra wysokości. Majestatycznie niosły ciężar swych kręconych kłów, kołysząc trąbami w rytm swych niespiesznych kroków. Były to najwspanialsze zwierzęta, jakie Travis kiedykolwiek widział. Przyglądając się im, nie mógł uwierzyć, iż myśliwi, których widział kilka godzin temu, wyprawiali się na taką zwierzynę jedynie z włóczykami. Mieli jednak na to dowody; rozsypane tu i ówdzie ogromne kości z tkwiącymi w nich grotami włóczy.

— Jeden... drugi... trzeci — Ross liczył, wstrzymując oddech ze zdumienia — i jedno młode.

— Słoniątko — roześmiał się Travis. Jednak nawet to młode było na tyle ogromne, że nie chciałby przed nim stanąć bez nowoczesnej strzelby.

— Pięć... sześć... Rodzinka? — zastanawiał się Ross.

— Być może. Chyba że podróżują stadami?

— Zapytaj naszych ekspertów. Ooooch, patrz na to drzewo!

Przewodnik dostojnego pochodzenia oparł się łbem o gruby pień drzewa, popchnął je delikatnie i drzewo złamało się. Słoniątko rzuciło się na obalone drzewo z piskiem, który dobiegł do zwiadowców, i zaczęło buszować w jego koronie, grzebiąc trąbą w liściach, podczas gdy starsi patrzyli na nie z pobłażliwością.

Ross odgarnął z oczu włosy peruki.

— Możemy mieć problemy, jeśli nie będą chciały się stąd ruszyć. Nie wyobrażam sobie naszej załogi pracującej tutaj, gdy te olbrzymy będą w pobliżu.

— Gdybyś chciał je spłoszyć, nie daj sobie przeszkodzić — stwierdził ironicznie Travis. — Mogę bić się z upartymi żubrami, ale nie będę łapać mamutów na łąso!

— Może im się zachcieć skakać nad statkiem...

— Rzeczywiście — zgodził się Travis. — A co możemy zrobić, żeby je do tego zniechęcić?

W tej chwili jednak mamucia rodzinka wydawała się zadowolona z pobytu w swym krańcu doliny, oddalonym co najmniej pół kilometra od statku. Po godzinnej obserwacji Ross poprawił rzemienie sandałów i zebrał włóczyki.

— Pobiegnę złożyć raport. Może te olbrzymy wystraszą myśliwych z okolicy statku.

— Albo zwabia ich tutaj — Travis pozostał pesymistą. — Trafisz tu z powrotem?

Ross uśmiechnął się pod nosem.

— Ten szlak powoli staje się autostradą. Będziemy potrzebowali kilku gliniarzy do kierowania ruchem. Dobra, trzymaj się, na razie... — zniknął ze swojego punktu obserwacyjnego, kolejny raz prezentując umiejętność natychmiastowego wtapiania się w otoczenie, umiejętność, która nadal jeszcze zdumiewała Travisa u białego człowieka.

Po odejściu Rossa Travis wciąż obserwował mamuty, leżąc i podpierając głowę ramieniem. Jednocześnie zastanawiał się, co tak bardzo wyróżnia Ashe'a i Rossa spośród znanych mu przedstawicieli białej rasy. Podobnie jak w ich towarzystwie czuł się przy doktorze Morganie — nie przeszkadzała mu różnica koloru skóry. Dla Prentissa Morgana rasa czy kolor skóry były niczym, jedyne, co się liczyło, to entuzjazm dla wykonywanej pracy. Morgan przebił się przez ochronny pancerz, jakim otoczył się Travis, i wyprowadził go na szersze wody. Potem, gdy ten nowy świat okazał się wrogi, Travis został zraniony o wiele boleśniej — tak, jak dzieje się to z delikatnymi stworzeniami pozbawionymi swej skorupy. Uciekł wtedy do swojego dawnego świata, pozostawiając nawet przyjaciół.

Oczekiwał teraz, że rozpali się tłący się w nim płomień gniewu. Czuł jeszcze wściekłość i żal, lecz były to stłumione uczucia przypominające leniwy dym wulkanu zamiast groźnego ognia. Rzeczywiście, pustynia, na którą wyruszył tydzień temu w poszukiwaniu wody, została pogrzebana przez czas... Zauważył nagle jakieś poruszenie...

Mamuty ruszyły się, największy z nich kroczył z przodu z podniesioną trąbą; ryczał tak, że Travis miał wrażenie, że pękają mu bębniaki w uszach. Był to zupełnie inny dźwięk niż wycie tygrysa szablozębego czy chrząkanie leniwca sposobiącego się do ataku. Ryk mamuta był najbardziej przeraźliwym odgłosem, jaki kiedykolwiek słyszał.

Mamut zaryczał drugi raz. Czyżby zbliżał się tygrys szablozęby lub lew alaskański? Jakie zwierzę było na tyle potężne lub na tyle zdesperowane, by spłoszyć tę chodzącą górę? Człowiek?

Jeśli był to myśliwy w ukryciu, to zwierzęta nie mogły go zauważyć. Mamut przeszedł krawędzią lasu, zwałił kolejne drzewo, zaczął odłamywać ulistnione gałęzie i łapczywie je pożerać. Kryzys minął.

Godzinę później Ross doprowadził grupę ludzi do kryjówki Trávisa. Kelgarries i czterech innych w ciemnozielono-brązowych wtapiających się w tło kombinezonach wdrapało się na punkt obserwacyjny i każdy rzucił okiem na dolinę.

— A więc to jest nasz stateczek. — Twarz majora rozjaśniła się z radości. — Co z nim zrobimy?

Lecz jeden z fachowców spoglądał w innym kierunku.

— Hej, to są mamuty! — wykrzyknął.

Ludzie, którzy przybyli wraz z nim, spojrzeli we wskazaną stronę.

— Jasne — ton majora ucinął wszelkie dyskusje. — Spójrz na statek, Wilson. Jeśli nic mu się nie stało, może moglibyśmy zabrać go stąd w całości?

Jeden z mężczyzn niechętnie odwrócił wzrok od mamuciej rodziny. Przyjrzał się statkowi przez lornetkę.

— Dużo roboty. Jedyne większy transfer, jaki pamiętam, to kadłub łodzi podwodnej...

— Wiem! Ale to było dwa lata temu, a eksperymenty Crawforda dowiodły, że bez straty mocy można przesyłać o wiele większe obiekty. Gdybyśmy mogli zabrać go stąd bez demontażu, wyprzedzilibyśmy nasze plany o pięć lat! Wiesz, co by to oznaczało?!

— A kto zejdzie tam i zamontuje przenośnik, gdy te przerośnięte słonie będą się na niego gapić? Musimy mieć wolną przestrzeń i żadnych intruzów. To zbyt delikatna praca, żeby ryzykować.

— Aha — jeden z jego podwładnych przytaknął nieartykułowanym dźwiękiem i ponownie szkła lornetki skierowały się na północ. — A jak chcesz przegonić te mamuty? Będiesz krzyczał „A sioo-oo!”?

— Podejrzewam, że będzie to zadanie dla zwiadowców — ten zrezygnowany komentarz pochodził od Ashe'a, który właśnie do nich dołączył. — Cóż, przyznaję, że na razie nie mam żadnego genialnego pomysłu, jak przekonać mamuty, żeby się przeszły na dłuższy spacer.

W milczeniu przyglądali się włóczącym się zwierzętom. Problem mamutów w miejscu pracy nie został uwzględniony w żadnym podręczniku ani na żadnym szkoleniu.

ROZDZIAŁ 6

— Tutaj potrzebne jest pole minowe — odezwał się w końcu Ross. — Takie, jak to dookoła kwatery głównej.

— Pole minowe? — powtórzył mężczyzna nazwany przez Kelgarriesa Wilsonem. — Pole minowe!

— Wymyśliłeś coś? — zapytał major.

— Nie całkiem pole minowe — wyjaśnił Wilson. — Moglibyśmy oczywiście odgrodzić się od tych zwierzątek minami, ale gdyby wyleciały w powietrze, statek wyleciałby wraz z nimi. Możemy jednak zamontować barierę ultradźwiękową...

— Tak, dookoła statku! — Major znów się ożywił. — Ile czasu może ci to zająć?

— Musielibyśmy przytargać tu mnóstwo sprzętu. Powiedzmy dzień, może dwa. Ale jest to jedyna rzecz, która przychodzi mi do głowy.

— W porządku. Dostaniesz wszystko, o co prosisz, i to w podwójnych ilościach — obiecał Kelgarries. Wilson zaśmiał się zgryźliwie.

— Aha, rzeczywiście. Bez wymówek z powodu nadmiernych kosztów? Pamiętaj, nie zamierzam podpisać żadnego zamówienia, jeśli przez następne dwa lata będę go musiał bronić do ostatniej kropli krwi przed jakąś nieopierzoną komisją.

— Jeśli nam się to uda — odparł Kelgarries sugestywnie — nigdy nie będziemy musieli się z niczego przed nikim usprawiedliwiać! Człowieku, jeśli przeprowadzisz ten statek nienaruszony, zwrócą się nam koszta całego projektu, nawet od chwili, gdy był on tylko pobożnym życzeniem nabazgranym na starej kopercie. Tak, to będzie wielki sukces!

Był to początek burzliwego okresu w życiu Trávisa, okresu, którego nigdy potem nie był w stanie uporządkować sobie w pamięci. Razem z Ashe'em i Rossem patrolował rozległe obszary wzgórz i doliny, obserwując obóz wędrownych myśliwych, zwracając uwagę na przeciągające tamtędy stada zwierząt. Przez dwa dni ludzie miotali się tam i z powrotem, następnie wzniesli w dolinie, gdzie stał mniejszy statek, drugą stację podróży w czasie.

Bariera ultradźwiękowa Wilsona — niewidoczna, aczkolwiek szarpiąca nerwy ściana z sygnałów o wysokiej częstotliwości — otaczała już statek. Mimo że impulsy nie były uchwytnie dla ludzkich uszu, dały się jednak odczuć każdemu, kto usiłował przekroczyć barierę. Mamucia rodzina wycofała się do lasku, z którego nadsięgnęła. Ludzie pracujący nad statkiem nie wiedzieli, czy jej odejście było rezultatem wibracji, czy też nie, ale przynajmniej zwierzęta dały im spokój.

Jednocześnie zamontowano inne nadajniki sygnałów o wysokiej częstotliwości na każdej ścieżce prowadzącej do doliny, chroniąc ją przed intruzami. Kelgarries i jego przełożeni przeznaczyli na tę operację wszelkie fundusze i zasoby, jakie mieli do dyspozycji.

Rusztowanie nad statkiem rosło tak szybko, jak tylko można było dopasowywać do siebie jego elementy. Travis przyglądając się ostrożnemu montażowi, widział, jak ta ciężka i wymagająca precyzji praca postępuje naprzód. Z usłyszanych mimochodem rozmów dowiedział się, że montują tu nowy model przenośnika czasowego, tak duży jak nigdy dotąd. Gdyby operacja się udała, kula statku kosmicznego zostałaby przetransportowana w całości do czasów współczesnych Travisowi i poddana szczegółowym badaniom.

Oprócz tego grupka ekspertów nie tylko poddała statek dokładnym oględzinom, uważając, by nie włączyć przypadkiem żadnych urządzeń, ale także wnikliwie obejrzała szczątki, które pozostały po załodze statku. Lekarze usiłowali wykryć przyczynę masowej zagłady załogi. Końcowe orzeczenie brzmiało: nagły atak jakiejś zarazy lub zatrucie żywności, nie znaleziono bowiem żadnych ran.

Trzy lub cztery dni później padający ze zmęczenia Travis przywłókł się ze zwiadu na południu i skulił się przy ogniu podsycanym przez załogę na wzgórzach okalających dolinę. Metaliczny smak w powietrzu drapał w gardle przy głębszym oddechu. Przez ostatnie dwa dni aktywność wulkanu wzrastała coraz bardziej. Kilka nocy wcześniej obudził ich fascynujący pokaz fajerwerków — na szczęście daleko od nich — w czasie którego chyba połowa góry wyleciała w powietrze. Dwa razy

spadł ulewny deszcz i parne powietrze przypominało klimat tropikalny. Travis cieszyłby się ogromnie, gdyby rusztowanie było już gotowe i gdyby mogli się wszyscy wynieść z tego gotującego się miejsca.

— Widziałeś coś? — Ross odrzucił koc, którym się wcześniej przykrył i zakaszał, gdy przesiąknięta siarką bryza owiała ich wzgórze.

— Chyba jaki es wędrówki — Travis rozpoczął raport. — To wielkie stado żubrów jest już kawał drogi stąd na południe, a myśliwi idą za nimi.

— Widocznie nie spodobały im się te fajerwerki — Ross skinął głową w stronę wulkanu na północy — i wcale im się nie dziwię. Dzisiaj pali się tam kawał lasu.

— Widziałeś dziś mamuty?

— Nie, tu ich nie było, zresztą poszedłem na północny wschód.

— Jak długo jeszcze może potrwać, zanim oni skończą tę robotę? — Travis wstał i spojrzął na statek w dole. Lepka mgła opadała w dolinę i psuła widoczność. Mimo tego załoga pracowała nieprzerwanie na rusztowaniu, spiesząc się, by wykończyć wreszcie szkielet wokół statku.

— Zapytaj kogoś z naszych wielkich mózgow. Reszta załogi... łapiduchy skończyły swoje ceregiele dziś po południu. Przeniesiono ich z powrotem godzinę temu. Wydaje mi się, że jutro będą już gotowi, żeby odpalić cały ten sprzęt. Najwyższy czas. Mam dziwne przeczucia...

— Być może całkiem słusznie. — Ashe wynurzył się z mgły. — Od północy nadciągają kłopoty... — zakaszał i Travis nagle zauważył, że Ashe nie ma peruki. Zobaczył też długi czerwony ślad, który mógł powstać tylko od oparzenia, ciągnący się przez ramię Ashe'a i krzyżujący się z wcześniejszą blizną. Ross także to zauważył; skoczył na równe nogi i odwrócił Ashe'a w stronę ognia, by móc dokładnie obejrzeć oparzenia.

— Coś ty robił? Bawiłeś się w strażaka?! — w głosie Rossa brzmiała troska.

— Źle oceniłem prędkość spalania się świeżego drewna w dobrych warunkach. Wczoraj wybuchł i odleciał wierzchołek góry i wkrótce możemy mieć powtórkę. Przenosimy się z obozowiskiem w dół, bliżej przekaźnika. Poza tym możemy mieć gości...

— Myśliwi? Widziałem, jak szli na południe... Ashe jednak potrząsnął przecząco głową.

— Nie, ale chyba przedobrzyliśmy z tą barierą. Zamknęliśmy mamuty w małej dolinie na północy. Jeśli to piekło, którego oczekuję, rozpęta się, nasze bariery ich nie zatrzymają, a przedarcie się przez taką przeszkodę tylko bardziej je rozwścieczy. Mogą po prostu szarżować dokładnie w naszą stronę. Kelgarries będzie musiał odpalić swój wielki przekaźnik, i to szybko, jeśli tylko coś się zacznie dziać.

Zwiadowcy zeszli na dno doliny akurat w chwili, gdy technicy biegli w stronę przekaźnika. W tym momencie świat oszalał. Płomienie... ogłuszający hałas... grzmoty na północy... wielki słup ognia sięgający aż do pułapu chmur... Trávisa zbiło z nóg w chwili, gdy ziemia zadrżała. Ujrzał, jak rusztowanie niebezpiecznie chwieje się nad statkiem, usłyszał krzyki i nawoływania.

— ...Trzęsienie ziemi... — te dwa słowa dobiegły go z ogólnego zgiełku. Wybuchy wulkanu łączyły się na ogół z trzęsieniami ziemi. Oszołomiony Travis spojrzął na rusztowanie, podświadomie oczekując, że za chwilę runie na kopułę statku. Rzeczywiście, chwiało się, lecz wcale nie miało zamiaru się przewracać.

W gęstniejącej mgle Kelgarries kierował ludzi do przekaźnika. Travis wiedział, że powinien przyłączyć się do nich, ale był po prostu zbyt obezwładniony tym, co się działo, by w ogóle się ruszyć. Dym i mgła stawały się coraz gęstsze, skądś dobiegł go wołający o pomoc głos. Porwawszy się na nogi, ruszył w kierunku, skąd usłyszał krzyk.

Ashe leżał na ziemi. Ross pochylał się nad nim, usiłując postawić go na nogi. Gdy nadszedł Travis, owiał ich dym i wszyscy zanieśli się chrapliwym kaszlem. Trávisa pierwszy raz w życiu zawiódł zmysł orientacji. W którą stronę do przekaźnika? Lekki popiół unosił się w powietrzu i opadał na ziemię — równie dobrze mogła złapać ich burza śnieżna, widoczność byłaby wtedy taka sama.

Travis usłyszał narastający krzyk przerażenia. Czarny kształt, o wiele większy niż jakikolwiek potwór z koszmarne go snu, pojawił się w jego zawężonym polu widzenia. Mamuty szarżowały przez dolinę tak, jak Ashe się tego obawiał.

— Spadamy stąd! — Ross pociągnął Ashe'a na prawo. Teraz starszy mężczyzna znalazł się pomiędzy nimi i szedł chwiejnie.

Przeszli wzdłuż ściany z prętów rusztowania i przecisnęli się do statku. Za nimi zaryczał mamut. Mieli marne szansę na przedostanie się do przekaźnika dla personelu i Ashe zdawał sobie z tego sprawę; oswobodził się z uchwytu przyjaciół i zaczął przesuwac się wzdłuż statku, opierając się jedną ręką o jego burtę.

Travis domyślił się, o co mu chodzi; szukał drabinki prowadzącej do włazu, by móc schronić się w środku. Usłyszał wołanie Ashe'a i zobaczył, że tamten trzyma już ręką drabinkę.

Ross pomógł Ashe'owi wejść i podążył za nim, podczas gdy Travis usiłował przytrzymać drabinkę nieruchomo. Sam zaczął się wspinać dopiero, gdy ujrzał Ashe'a gramolącego się przez właz. Usłyszał kolejny ryk mamuta i zdziwił się, że zwierzęta nie wbiegły jeszcze w rusztowanie. Wreszcie i on wszedł przez właz i leżał teraz dysząc i kaszląc.

— Zamykaj! — Travis poczuł szarpnięcie, gdy ktoś przepchnął się obok niego. Zewnętrzne drzwi zatrzasnęły się z brzękiem. Teraz z mgły pozostało już tylko trochę oparów, a głucha cisza zastąpiła zgiełk.

Travis wziął głęboki oddech, na który nie mógł sobie wcześniej pozwolić. Niebieskawe światło sączące się ze ścian straciło nieco na intensywności, ale nie było jeszcze tak słabe, by nie mógł wyraźnie widzieć Ashe'a. Spoczywał, ramionami wsparty o ścianę. Na jego czole, nie osłoniętym już przez perukę, widniał ogromny siniak. Ross wynurzył się z włazu.

— Trochę tu ciasno — stwierdził. — Spróbujmy przenieść się kawałek dalej.

Weszli przez wewnętrzne drzwi i Murdock zamknął je dokładnie za nimi.

— Tutaj — Ross pokazał na najbliższe drzwi. Zamki, które były zamknięte w czasie ich pierwszej wizyty na statku, zostały otwarte przez techników. W kabinie znajdował się mebel będący skrzyżowaniem koi z hamakiem — był przypięty do ściany, jak również do sufitu. Przeprowadzili oszołomionego nadal Ashe'a do koi i ułożyli go na niej. Travis zdążył pobieżnie rozejrzeć się po kabinie, gdy z góry schodów usłyszeli gniewny głos.

— Hej! Kto jest na dole? Co się tam dzieje? Weszli do kabiny sterowniczej. Naprzeciwko nich stał żyłasty młody człowiek w kombinezonie technika, który patrzył na nich szeroko otwartymi ze zdumienia oczyma.

— Kim jesteście? — zapytał, cofając się i unosząc pięści, by przygotować się do odparcia spodziewanego ataku.

Travis zdumiał się niepomierne, zrozumiał jednak reakcję technika, gdy ujrzał swoje odbicie w panelu kontrolnym: brudny, w trzech czwartych nagi dzikus. Wygląd Rossa przypominał jego własny — obaj musieli wyglądać jak krajowcy. Murdock uniósł ręce do swej pokrytej popiołem peruki i zdarł ją z głowy, Travis powtórzył ten gest. Technik uspokoił się.

— Jesteście zwiadowcami — zabrzmiało prawie jak oskarżenie. — Co się tam dzieje?

— Ogólny chaos. — Ross usiadł ciężko w jednym z foteli zwisających z sufitu. Travis oparł się o ścianę. Tu, w tej cichej kabinie trudno było uwierzyć w katastrofę i rozgardiasz na zewnątrz. — Właśnie jesteśmy świadkami wybuchu wulkanu — mówił dalej — i właśnie szarżują mamuty...

Technik spojrział na schody.

— Musimy dostać się do przekaźnika dla personelu.

Travis złapał go za ramię.

— Żadnego wychodzenia ze statku. Nic nawet nie zobaczysz, w powietrzu wisi gęsty dym.

— Jak daleko jesteście z pracą nad przeniesieniem statku w nasze czasy? — zapytał Ross.

— O ile wiem, wszystko jest już przygotowane — odparł technik i szybko dodał: — Myślicie, że będą chcieli przerzucić statek teraz... z nami w środku?

— Jest taka możliwość, ale to tylko przypuszczenie... Jeśli rusztowanie przetrwało atak mamutów i trzęsienie ziemi... — głos Rossa zdradzał ogromne zmęczenie. — Poczekamy i zobaczymy.

— Coś możemy zobaczyć już teraz. — Technik podszedł do panelu kontrolnego i wyciągnął rękę w stronę jednego z przycisków.

Ross wyskoczył jak strzała ze swego fotela. Uderzył w technika, zwalając go na podłogę, jednak

tamten zdążył już przycisnąć guzik. Z panelu uniósł się ekran, zamrugał i nagle nad głową zdumionego i wściekłego technika ujrzeli unoszącą się parę i popiół w dolinie, jakby wyglądali przez okno.

— Głupcze! — Ross stanął nad technikiem i Travis ujrział w jego wzroku tę samą groźbę, co przy ich pierwszym spotkaniu, tym razem jednak skierowaną w kogo innego. — Nie dotykaj tu niczego!

— Mądrala z ciebie, co? — twarz technika poczerwieniała, zacisnął pięści. — Wiem, co robię...

— Spójrzcie! — krzyk Trávisa powstrzymał ich od bójki.

Nadal utrzymywała się mgła. Można było zobaczyć jednak coś jeszcze. Była to szachownica zielonożółtych świetlnych linii o natężeniu równym natężeniu błyskawicy, lecz nie niosły ze sobą dzikości piorunów. Wzór z kratek rósł szybko, dominując nad szarością popiołu.

— Rusztowanie! — technik wyrwał się Rossowi. Wsparł się rękoma o jeden z foteli i chciwie patrzył na ekran. — Włączyli zasilanie. Będą próbowali nas przepchnąć do naszej epoki!

Rusztowanie świeciło coraz intensywniej. Nie mogli już mu się przyglądać, bo blask kłuł w oczy. Statek zatrzęsł się. Kolejne trzęsienie ziemi czy coś innego? Zanim Travis zdążył cokolwiek pomyśleć, doznał takiego splotu wrażeń, że nigdy nie potrafiłby ich nazwać ani opisać. Zdawało mu się, że jego umysł i ciało zaczęły ze sobą walczyć. Zabrakło mu powietrza. Chwilowe złe samopoczucie, jakiego doświadczył przy transferze przenośnikiem dla personelu, było niczym w porównaniu z tym koszmarem. Próbował znaleźć coś stabilnego w tym rozplywającym się świetle.

Teraz leżał na podłodze. Nad nim zwisał ekran z widokiem na zewnątrz. Powoli uniósł głowę. Czuł się, jakby go ktoś pobił. Na ekranie jednak nie było już widać padającego jak śnieg popiołu. Wszędzie było niebiesko — metaliczny błękit, który znał tak dobrze i za którym tak tęsknił, oznaczał bezpieczeństwo. Znowu się zachwiał, wyciągając rękę w kierunku upragnionego błękitu. Lecz nadal miał uczucie niestabilności sytuacji.

— Zaczekaj! — Palce technika chwyciły jego nadgarstek silnym, obezwładniającym uchwytem. Odciągnął Trávisa od ekranu i spróbował wepchnąć go w jeden z foteli. Ross stał za nimi, zaciskając rękę na krawędzi panelu kontrolnego, aż uwidoczniły się wszystkie blizny na jego dłoni. Na jego twarzy nie malował się już gniew — był teraz skupiony i niespokojny.

— Co się dzieje? — zapytał ostro. Technik wydał zdecydowane rozkazy:

— Na fotele! Przypnijcie się! Jeśli dzieje się to, co podejrzewam... — wepchnął Rossa w najbliższe siedzenie, a ten posłuchał polecenia, jakby wcale nie zamierzał bić się z technikiem kilka chwil wcześniej.

— Przeszliśmy już chyba do właściwej epoki? — Travis nadal przyglądał się temu wspaniałemu, znajomemu niebu.

— Tak, przeszliśmy... ciekawe tylko, jak długo tu zostaniemy... — Technik zatoczył się na trzeci fotel, na ten, na którym kilka dni wcześniej siedział martwy pilot. Gwałtownie usiadł, czy też upadł, na miejsce.

— O co ci chodzi? — oczy Rossa zwały się i ponownie nabrały złowrogiego wyrazu.

— Energia, która nas tu przeniosła z powrotem, zamieszała coś w maszynie statku. Nie czujesz tych wibracji? Podejrzewam, że statek przygotowuje się do startu!

— Co? — Travis już wstawał ze swego fotela. Technik wychylił się w jego stronę i szybkim ruchem wepchnął Apacza z powrotem w głąb fotela.

— Żadnych wspaniałych pomysłów, żeby się stąd zmywać, chłopcze! Tylko popatrz!

Travis spojrzał w kierunku wskazywanym przez technika. Schody, którymi weszli do kabiny sterowniczej, były teraz zasłonięte pokrywą luku.

— Wszystkie maszyny już działają — kontynuował technik — chyba będziemy niedługo startować.

— Nie możemy! — zaczął Travis i zadrzał, uświadomiwszy sobie bezsensowność protestu w chwili, gdy go sformułował.

— Nie możesz nic zrobić? — zapytał Ross, już całkiem opanowany.

Technik zaśmiał się, zakaszłał i skinął ręką w kierunku panelu kontrolnego.

— Niby co miałbym zrobić? — rzekł ponuro. — Wiem, do czego tu służą trzy małe przyciski.

Nigdy nie odważyliśmy się na żadne eksperymenty bez demontażu całej instalacji i przesłedzenia wszystkich przewodów. Nie mogę niczego zatrzymać ani uruchomić. I dlatego lecimy na księżyc albo gdzieś indziej, czy nam się to podoba czy nie.

— Czy ci goście na zewnątrz nie mogą nic zrobić? — Travis wyciągnął rękę w stronę upragnionego błękitu. Nie wiedział nic o maszynach, obce mu były prawa mechaniki. Miał tylko nadzieję, że ktoś gdzieś jakoś zdoła położyć kres temu koszmarnemu wydarzeniu.

Technik spojrział na niego i znów zaśmiał się ponuro.

— Mogą tylko szybko stąd zwiewać. Przy naszym starcie może nastąpić taki wybuch, że całe mnóstwo tych sympatycznych kolegów wybierze się na lepszy świat.

Wibracje, które Travis odczuł, ocknąwszy się po podróży w czasie, wzmogły się znacznie. Dawało się je wyczuć nie tylko w drzeniu ścian i podłogi, lecz nawet w powietrzu, które wciągał łapczywie prędkimi, płytkimi wdechami. Straszliwa bezradność przyprawiała go o mdłości, wysuszała wargi i rwała wnętrzości straszliwym bólem.

— Jak długo?... — usłyszał, jak Ross usiłuje wyartykułować pytanie i zobaczył, że technik potrząsa głową.

— Twoje domysły są tak samo dobre jak moje.

— Ale dlaczego? Jak? — chrapliwie zapytał Travis.

— Pilot, ten, którego znaleźli w tej kabinie... — technik szturchnął krawędź panelu kontrolnego — być może przed wypadkiem zaprogramował automatycznego pilota. Potem podróż w czasie... ta cała energia spowodowała uruchomienie systemu... Ale ja tylko tak się domyślam.

— Na lot dokąd nastawił automatycznego pilota? — mimo swego opanowania Ross miał trudności z formułowaniem zdań, cały czas oblizywał nerwowo wargi, jakby wyschły mu na pieprz.

— Może z powrotem do domu. Odlatujemy, chłopaki, zapnijcie pasy!

Travis zaplątał się w pasy fotela, wreszcie przeciągnął je niezgrabnie i przypiął się. On także poczuł jeszcze większe nasilenie się wibracji.

Potem jakaś ręka, tak wielka i potężna jak noga mamuta, wcisnęła go w fotel. Pod ciężarem jego ciała fotel rozłożył się w chwiejną leżankę. Tak go przymocowano, że nie był w stanie odetchnąć, pomyśleć, poczuć czegokolwiek i w ten sposób jakoś zniósł ból w całym ciele, drastyczną reakcją na gwałtowność startu. Przez moment przed jego oczyma widniał jeszcze błękitny skrawek nieba, lecz potem widział już tylko ciemność.

ROZDZIAŁ 7

Travis powoli odzyskiwał przytomność. Czuł ból w całym ciele, zdawało mu się, że jest cały posiniaczony od środka. Dość długo trwało, zanim zdołał pozbierać myśli. Poczłł nieświeży smak krwi, gdy próbował przełknąć ślinę, nie mógł też skupić wzroku w jednym punkcie. Niegdyś błękitny ekran był teraz całkowicie czarny. Gdy usiłował się poruszyć, siedzenie–leżanka pod nim gwałtownie się poruszyło, mimo że nie wykonywał gwałtownych ruchów. Powoli i ostrożnie podniósł się, odpychając się obiema rękami.

Na drugiej leżance leżał Ross Murdock, dolna połowa jego twarzy była zalana krwią, miał zamknięte oczy i skórę pozieleniałą pod opalenizną i brudem. Technik nie był też w lepszym stanie. Pod nimi i wokół nich panowała absolutna cisza, ustały też wibracje. Travis rozplątał pas przypinający go do koi i spróbował wstać.

Próba ta przyniosła katastrofalne skutki. Dzięki swym wysiłkom wydostał się wprawdzie z fotela, ale jego stopy nie dotknęły podłogi. Zamiast tego wystrzelił z leżanki i uderzył w krawędź panelu kontrolnego z siłą, która wywołała kolejny przypływ bólu. Przerażony trzymał się mocno panelu i dotarł w ten sposób do technika. Próbował ocucić tamtego; jego metody stawały się coraz brutalniejsze, gdy nie widział żadnych oznak powracającej przytomności.

Ostatecznie mężczyzna jęknął, odwrócił głowę i otworzył oczy. Gdy technikowi powróciła świadomość, w oczach jego odbiło się zdumienie i strach.

— Co... co się dzieje? — bełkotał. — Jesteś ranny?

Travis przeciągnął ręką po ustach i szyi, obejrzał dłoń i zobaczył, że jest pokryta krwią. Wyglądał chyba co najmniej tak koszmarnie jak Ross.

— Nie mogę chodzić — wypowiedział swój najaktualniejszy problem — tylko... pływam...

— Pływasz? — powtórzył technik, potem uniósł się i odpiął pasy. — A więc już po wszystkim! Jesteśmy w kosmosie! To stan nieważkości. Nie ma już grawitacji.

Różne fragmenty przeczytanych artykułów popularnonaukowych poskładały się teraz w głowie Trávisa w logiczną całość. Nie ma ciężenia, nie ma dołu i góry, nie ma ciężaru... Mdlilo go, głowa bolała nieziemsko, ale trzymając się panelu przeszedł, koło technika i dotarł do Rossa. Murdock już się ruszał, a gdy Travis położył rękę na jego fotelu, jęknął i przesunął palcami po piersi, jakby szukając tam bolącego miejsca. Travis delikatnie chwycił go za zakrwawioną szyję i powoli potrząsnął jego głową; Ross otworzył oczy.

— ...dokładnie tak, jak mówiłem, wylecieliśmy w kosmos! — Case Renfry, technik, otrząsnął się z gradu pytań, jakim zarzucili go zwiadowcy. — Słuchajcie, chłopaki, zostałem zaangażowany do tego projektu, żeby pomóc w ocenie skali zniszczeń. Nie umiem prowadzić żadnego statku kosmicznego, a tego szczególnie, widocznie musi tu gdzieś być automatyczny pilot.

— Zaprogramowany przez nieżyjącą już załogę. Prawdopodobnie wrócimy teraz do ich bazy — przepowiedział ponuro Travis.

— Zapominasz o jednej rzeczy. — Ross usiadł ostrożnie, mocno trzymając się pasów bezpieczeństwa. — Baza, do której chciał wrócić ten pilot, znajduje się około dwunastu tysięcy lat wstecz od naszej epoki. Przerzucili nas przez czas, zanim wylecieliśmy...

— A nie moglibyśmy wrócić do domu? — Travis ponownie zapytał technika.

— Nie dotknąłbym żadnego przycisku na tym panelu za żadne skarby — ostrzegł Renfry, kręcąc głową. — Jeśli kieruje nami automatyczny pilot, najlepsze, co możemy zrobić, to nie zgubić naszego portu przeznaczenia.

— Mamy tylko kilka zmartwień — wytknął Travis — woda, powietrze, żywność...

— Tak, powietrze — podjął Ross z zimnym spokojem. — Jak długo jesteśmy już w drodze? — Zmęczony Renfry uśmiechnął się krzywo.

— Twoje domysły są tak samo słuszne, jak moje. Myślę, że z dostawą powietrza nie będzie problemu. Mają tu sekcję odświeżania powietrza i Stefferds stwierdził, że działa ona doskonale. W maszynowni mają jakieś glony, które utrzymują powietrze w porządku. Można tam zajrzeć, jeśli chcecie, w każdym razie nie da się zanieczyścić tego powietrza. A ci goście oddychali mniej więcej

tą samą mieszanką, co my. Co do jedzenia i wody... cóż, musimy poszukać. Trzy gęby do wykarmienia...

— Cztery! Jest jeszcze Ashe! — Ross zapomniał, gdzie się znajduje i usiłował zeskoczyć z fotela, co się skończyło wspaniałym lotem; w końcu Renfry przytrzymał go, gdy stanował już tylko bezradną płataninę rąk i nóg.

— Spokojnie, chłopcze, tylko spokojnie. Jak będziesz tak nurkował, to naciśniesz jakiś głupi guziczek i może się nam zacząć powodzić o wiele gorzej niż teraz. Kto to jest Ashe?

— Nasz szef sekcji. Ulokowaliśmy go w kabinie na dole, był nieprzytomny.

Travis usiłował dostać się na schody prowadzące do środka kuli. Złe wymierzył jednak odległość, odbił się i odczuł ulgę, gdy zacisnął palce na barierce wjazdu. Otwarli luk i niezgrabnie zeszli w kierunku, który Travis z przyzwyczajenia, a wbrew świadectwu własnego wzroku, określał jako „dół”.

Zejście w kierunku wnętrza statku wymagało zręczności, która przyprawiała ich udęczone i posiniaczone ciała o niewymowne męki. Lecz gdy w końcu dotarli do właściwej kabiny, znaleźli Ashe'a leżącego spokojnie w koi, tak jak go zostawili. Jedynie jego spokojna twarz wynurzała się spod grubej warstwy galaretowatej substancji, która wypełniała wnętrze koi.

— Wszystko będzie w porządku. Tę galaretkę trzymają w szalupach ratunkowych, żeby móc latać rannych; kiedyś uratowało mi to życie — rzekł Ross — wspaniałe lekarstwo na wszystko.

— Skąd wiesz aż tyle? — zaczął Renfry i za chwilę dodał, wpatrując się badawczo w Rossa: — Ach, to ty jesteś tym facetem, który był z Czerwonymi!

— Aha. Ale chciałbym wiedzieć trochę więcej o tym statku. Jedzenie, woda...

Wyruszyli obejrzyć statek; natychmiast przekonali się, że przystosowanie się do nieważkości będzie bardzo trudne, byli jednak zdecydowani dowiedzieć się jak najwięcej o swym położeniu. Technik obejrzał już cały statek i teraz pokazał im sekcję odświeżania powietrza, maszynownię i pomieszczenia załogi. Dokładnie zbadali miejsce, które mogło być tylko połączeniem mesy i kambuza. Była to ciasna kabina, w której nie mogłoby przebywać jednocześnie więcej niż czterech ludzi — lub istot człecopodobnych.

Travis zmarszczył brwi na widok zamkniętych pojemników poustawianych równo na półkach. Wyciągnął jedną puszkę, potrząsnął nią koło ucha i usłyszał bulgot mogący oznaczać tylko jedno: w środku był jakiś płyn. Ten dźwięk sprawił, że musiał oblizać zeschnięte wargi; nie pamiętał, kiedy ostatni raz mógł napić się do woli.

— Tu jest woda, jeśli chcesz się napić — Renfry wyciągnął z kąta ziemską manierkę — mieliśmy na burcie cztery takie i korzystaliśmy z nich podczas pracy.

Travis sięgnął po metalowy pojemnik, lecz ostatecznie nawet go nie otworzył.

— Nadal mamy cztery? — Chyba najlepiej z całej czwórki zdawał sobie sprawę z wartości wody i tragedii z powodu jej braku.

Renfry wyciągnął wszystkie pojemniki, potrząsając każdym.

— Trzy są chyba pełne. W tym jest połowa, może trochę mniej.

— Będziemy musieli racjonować wodę.

— Jasne — zgodził się technik. — Myślę, że znajdziemy też trochę tabletek koncentratu odżywczego. A wy nie macie żadnych?

— Ashe chyba miał ze sobą swój worek? — Travis zapytał Rossa.

— Tak. I chyba dobrze by było poszukać teraz tych wszystkich tabletek.

Travis przyjrzał się obcemu pojemnikowi, który zabulgotał. W tej chwili dużo by dał za możliwość otwarcia przykrywki, wypicia zawartości i zaspokojenia głodu i pragnienia.

— Być może będziemy musieli spróbować i tego — Renfry wziął pojemnik i włożył go na właściwe miejsce na półce.

— Myślę, że będziemy musieli spróbować wielu rzeczy, zanim ta wycieczka się skończy, o ile to w ogóle nastąpi. Jak na razie chciałbym spróbować kąpieli lub przynajmniej solidnego mycia — Ross krytycznie przyjrzał się swemu podrapanemu, półnagiemu i bardzo brudnemu ciału i skrzywił się z niesmakiem.

— Akurat to ci mogę załatwić. Chodź. Renfry znów zabawił się w przewodnika i zaprowadził

ich do maleńkiej wnęki za mesą.

— Stajesz tutaj, być może powinieneś trzymać się tego — wskazał na sterczące tu i ówdzie pręty — w każdym razie postaw stopy na tej płytce i naciśnij to kółko w ścianie.

— I co wtedy? Upiekę się czy ugotuję? — zapytał Travis podejrzliwie.

— Nie... to naprawdę działa. Sprawdzaliśmy to na świnie morskiej. A potem Harvey Bush skorzystał z tego urządzenia po tym, jak wyrzucił na siebie całą bańkę benzyny. To coś w rodzaju prysznic.

Ross szarpnął za sznurki przytrzymujące jego pożałowania godne okrycie i zdjął sandały; rzucało go od ściany do ściany.

— W porządku. Chcę spróbować — postawił stopy na płytce, chwycił pręt i przycisnął kółko. Spod płytki w podłodze wypełzła mgła, owiała jego nogi i powoli się wznosiła. Renfry zamknął drzwi.

— Ej, przecież on się tam zagazuje! — zaprotestował Travis.

— Wszystko w porządku! — głos Rossa dobiegł ich jakby z oddali. — Właściwie to jest lepiej niż w porządku!

Gdy kilka minut później wyszedł z zaparowanej wnęki, nie było na nim śladu brudu i czuł się odprężony. Poza tym wszystkie zadrapania, przedtem czerwone i piekące, były teraz tylko różowymi kreseczkami. Ross uśmiechał się.

— Wszystkie wygody i pełna obsługa. Nie wiem, co to jest, ale zdiera wierzchnią warstwę skóry i jeszcze sprawia, że ci się to podoba. To pierwsza fajna rzecz, jaką znaleźliśmy w tej pułapce na myszy.

Travis rozebrał się nieco wolniej niż Ross. Nie uśmiechała mu się perspektywa zamknięcia w tej parnej klitce, lecz nie podobał mu się też obecny stan jego ciała. Z mieszanymi uczuciami stanął na właściwej płytce i wcisnął kółko, wstrzymując oddech, gdy gaz nappełniał pomieszczenie.

Poczuł, że właściwie to nie był gaz; była to nieco mniej lotna substancja. Miał raczej wrażenie, że zanurzył się w pianistych bąbelkach, które tarły o jego skórę równomiernie jak szorstki ręcznik. Uśmiechnął się i, odprężony, zamknął oczy, zanurzył głowę. Czuł na twarzy łagodne muśnięcia, które usuwały pieczenie zadrapań, ból siniaków i stłuczeń.

Gdy bąbelki opadły, Travis wynurzył się spod „prysznic” i natknął się na całkiem odmienionego Rossa. Murdock naciągał właśnie na siebie górną część obcisłego, niebieskozielonego uniformu opinającego każdy mięsień. Dolna część stroju była połączona z butami podbitymi grubą gąbką chroniącą stopy przy każdym kroku. Ross podniósł z podłogi drugie niebieskozielone zawiniątko i rzucił je Apaczowi.

— Najlepsze życzenia od byłych lokatorów — powiedział. — Nigdy nie podejrzewałem, że jeszcze kiedyś będę miał ochotę to założyć.

— Ich mundury? — Travis przypomniał sobie martwego pilota. — Co to jest? Jedwab? — Potarł ręką o śliski materiał, którego nie mógł zaklasyfikować. Zafascynowała go gra kolorów: niebieski, zielony, liliowy. Zmieniały się wraz z każdym ruchem materiału.

— Tak. Z jednej strony jest całkiem niezły; izoluje od zimna i gorąca, ale z drugiej strony — mogą cię namierzyć.

Travis przerwał w połowie zakładania uniformu.

— Namierzyć?

— Cóż, znaleźli mnie po trzydziestokilometrowej ucieczce przez dość trudny teren tylko dlatego, że miałem na sobie coś takiego. Próbowali też oddziaływać na mój umysł właśnie przez te ciuchy. Kiedyś poszedłem spać i obudziłem się w drodze do tych sympatycznych kolegów.

Travis spojrział na niego ze zdumieniem, ale było widać, że Ross mówi to wszystko jak najbardziej serio. Apacz popatrzył znowu na jedwabny mundur i poczuł nagłą ochotę, by go z siebie zdrzeć. Jednak Ross, mimo tego, co mówił, zapinał już zatrzaski swego uniformu.

— Gdyby działa się to we właściwej epoce, nie dotknąłbym tych szmat dwudziestometrowym drągiem — mówił Ross, uśmiechając się leciutko — ale ponieważ jesteśmy o kilka tysięcy lat od czasu, w którym przebywają ich prawowici właściciele, zaryzykuję. Jak powiedziałem, te ciuchy mają kilka zalet.

Travis zapiął swoje zatraski. Materiał był przyjemny w dotyku, gładki, jakby ciepły i prawie tak kojący jak pienne bąbelki, które szorowały i relaksowały jego zmęczone ciało. Zaryzykuje i będzie nosił ten mundur; był przecież nieskończenie przyjemniejszy niż skórzane okrycie, które zrzucił.

Powoli uczyli poruszać się w stanie nieważkości. Najlepszy sposób przemieszczania się przypominał pływanie, odkryli też dużo wygodnych uchwytów, które pomagały w utrzymaniu właściwego kierunku. Gdyby byli w stanie zapomnieć, że statek unosił ich w nieznaną, ich obecne miejsce pobytu byłoby całkiem przyjemne. Gdy godzinę później cała czwórka zebrała się w kabinie sterowniczej, starali się podejść do swej sytuacji z całym spokojem i obiektywizmem, na jaki mogli się zdobyć.

Ashe, już całkiem przytomny i rzeński po leczeniu przy pomocy żelu Obcych, objął dowództwo bez niczyich sprzeciwów, ale to na Renfry'ego spoglądano z największą nadzieją. Technik miał jednak bardzo małe możliwości.

— Pilot musiał nastawić urządzenia sterowe na powrotny kurs do domu chwilę przedtem, zanim umarł. Tak się domyślam. W obecnej chwili jest to jedyne sensowne wytłumaczenie. Gdy prowadziliśmy badania na statku, mój szef, pracując na podstawie nagrań z rosyjskiej kwatery głównej, rozszyfrował trzy urządzenia: ekran pokazujący, co dzieje się na zewnątrz — objaśniał Renfry, stukając w ekran, który pokazywał kiedyś, przez kilka bezcennych chwil, błękit pustynnego nieba. — Poza tym wewnętrzny system komunikacyjny statku. I trzecie... to! — poruszył dźwignią z lewej strony. Na panelu zamrugały trzy światelka i z sufitu dobiegł ich dźwięk, który mógł być ostrzeżeniem w nieznanym języku.

— A co to jest? — Ashe przyglądał się światelkom z zainteresowaniem.

— Armaty! Otwarliśmy właśnie cztery otwory strzelnicze i w każdym sterczy gotowa do strzału lufa. Nasz szef przypuszcza, że to był... jest... mały wojskowy statek zwiadowczy albo patrol policyjny. — Renfry pociągnął dźwignię z powrotem i światła zgasły.

— Znadto nam to nie pomoże — stwierdził Ross. — A co z szansą na powrót do domu?

Renfry wzruszył ramionami.

— Jak na razie nie widzę żadnej. Szczerze mówiąc, bałbym się ruszać którykolwiek z tych przycisków podczas lotu. Istnieje zbyt duże ryzyko, że zatrzymamy się gdzieś w kosmosie i nie będziemy się mogli ruszyć ani w te, ani we wte.

— To brzmi rozsądnie. Więc po prostu będziemy musieli poczekać, dokąd zawiezie nas ta twoja kupa złomu?

Renfry skinął głową twierdząco, zaprotestował jednak po chwili:

— Ale to nie jest moja kupa złomu, szefie. To wszystko jest o wiele bardziej zaawansowane technicznie i dalekie od naszych planów. Być może, gdybym miał czas i gdybyśmy stali bezpiecznie na ziemi, mógłbym spróbować dojść, jak pracują te wszystkie maszyny, ale to, co nimi steruje, to osobny problem.

— Wysokoenergetyczne paliwo?

— Nawet tego nie jestem w stanie stwierdzić. Maszyny są całkowicie zaplombowane. Ta plomba może okazać się metatrwałą tarczą, nie odważyliśmy się węszyć aż tak głęboko.

— A port docelowy może znajdować się gdziekolwiek we wszechświecie — rozmyślał głośno Ashe. — Mieli z pewnością jakieś sposoby na pokonywanie dużych odległości, nie mogli przecież podróżować przez wieki.

Renfry przyglądał się panelowi kontrolnemu z wyrazem krańcowego rozdrażnienia.

— Mogli sobie mieć każdy gadżet, jaki tylko zdołałby wymyślić najbardziej obłąkany autor s-f, i tak nie będziemy wiedzieli, do czego służy, zanim nie zobaczymy, jak działa albo nie przekonamy się, że nie działa.

— Cóż za wspaniała perspektywa. — Ashe podniósł się z ostrożnością charakterystyczną dla nie przyzwyczajonych do nieważkości. — Myślę, że powinniśmy dokonać teraz dokładnych oględzin reszty naszego latającego domu.

Były tu trzy kabiny mieszkalne, a w każdej po dwie koje. Po eksperymentach z przyciskami na ścianach dotarli do szafek z osobistymi rzeczami załogi. Travis nie miał ochoty na przeglądanie

półek z cudzymi rzeczami, jednakże każdy znaleziony drobiazg mógł być wskazówką i kwestią życia i śmierci dla obecnych pasażerów statku. Otworzył w końcu małe wgłębienie w jednej z szafek i coś błysnęło obiecująco. Podniósł ostrożnie ten przedmiot i przyjrzał mu się uważnie: był to prostokąt z jakiegoś gładkiego tworzywa przypominającego szkło. Był mlecznobiały i nie miał na sobie żadnych wzorów, gdy wziął go do ręki. Jednak podekscytowanie znaleziskiem opadło, gdy z ciekawością odwrócił przedmiot. Malutkie żółto pobłyskujące kamyczki tworzyły ramkę obramowującą czystą biel zamiast jakiegoś zdjęcia czy czegoś podobnego.

Zdjęcie! Gdyby trzymał w ręku zdjęcie lub jego odpowiednik u Obcych, co by ono przedstawiało? Jakież odległe miejsce? Rodzinę? Dom? Przyjaciół? Przyglądał się pustej powierzchni prostokąta. Pustej? A jednak coś na niej było! Płytką pokrywała się kolorami, kontury stawały się wyraźniejsze.

Zdumiony, niemal wystraszony Travis przyglądał się tej przemianie.

Teraz rzeczywiście miał w ręce coś na kształt zdjęcia. Był to widok, który znał. Którego znał bardzo dobrze — rozciągającą się pustynię i góry na horyzoncie. Przecież to wyglądało jak widok na Wąwóz Czerwonego Konia! Chciał wyrzucić tę rzecz ze wstrętem. Jak jakiś kosmita żyjący dwa tysiące lat temu mógłby mieć ze sobą widok miejsca znanego Travisowi jako dom? To było nie do wiary!

— Co się dzieje, synu? — Dotyk ręki Ashe'a na ramieniu, tak samo jak jego ciepły głos przywróciły Trávisa do rzeczywistości.

— Zdjęcie... — wymamrotał — zdjęcie mojego domu... tutaj.

— Co? — Ashe podszedł bliżej, wydał z siebie cichy okrzyk zdumienia i wyjął płytkę ze spoconych dłoni Trávisa. Młodszy mężczyzna wytarł zwilgotniałe dłonie o mundur, próbując zetrzeć z nich również dotyk tego dziwnego zdjęcia.

Gdy jednak przyglądał się widocznej tam pustyni, i on krzyknął zdumiony. Obraz blakł, powracał do początkowej bieli. Kontury wzgórz i urwisk zniknęły. Ukazywała się inna scena, kolory wypełzały z bieli, kontury się wyostrzały.

Teraz nie była to pustynia, lecz grupa wysokich, zielonych drzew, w których Travis rozpoznał sosny. Pod nimi widać było szarobiałą piasek i fale rozbijające swe spienione grzywy o poszarpane skały. Ponad niespokojną wodą zawisły białe ptaki.

— Safeharbor! — Ashe usiadł gwałtownie na koi, obraz trząsł się wraz z jego drżącymi rękoma. — To plaża koło mojego domu w Maine, w Maine, mówię wam! Safeharbor, stan Maine! Ale skąd to się tu wzięło? — Na twarzy malowało mu się tak bezkresne zdumienie, jakiego jeszcze u niego nie widzieli.

— To pokazało mi mój dom — rzekł powoli Travis — a teraz tobie inny widok. Może człowiekowi, który mieszkał przed nami w tej kabinie pokazywało jego dom. Znalazłem jakiś magiczny przedmiot. Ale to nie jest magia, którą wykorzystywała wasza biała rasa, ani ta, której używali moi przodkowie.

Myśl, że ten tajemniczy przedmiot tak samo zdumiał białego człowieka, jak i jego samego, w pewien sposób go uspokoiła. Ashe uniósł głowę znad widoku plaży i spojrzał Travisowi w oczy. Potem powoli skinął głową.

— Co prawda tylko zgadujesz, ale założyłbym się o dużą stawkę, że twoje domysły są bliskie prawdy. Cóż oni potrafili, ci ludzie... jakie wspaniałe rzeczy! Musimy dowiedzieć się o nich jak najwięcej, podążać za nimi!

Travis zaśmiał się niepewnie. — Właśnie za nimi podążamy, doktorze Ashe. Co do dowiadywania się... zobaczymy, jak nam to wyjdzie.

ROZDZIAŁ 8

Postać podążała brzegiem wąskiego korytarza, jej gołe stopy miękko dotykały podłogi. W pozbawionym czasu wnętrzu statku, gdzie noc nie różni się od dnia, Travis od dawna oczekiwał na ten szczególny moment. Jego brązowe ręce, obecnie zbyt chude, zabawiały się klamrą paska. Odczuwał dręczący ból.

Podzielili swój zapas wody oraz tabletki odżywcze na surowe racje. Ale jutro — albo w czasie następnego przebudzenia, które umownie nazwą „jutrem” — będą już mieli o jedną porcję mniej. Travis był zupełnie świadom tego bezdyskusyjnego faktu, ale również i tego, co Ross powiedział, kiedy omawiali potrzebę wypróbowania zapasów żywności Obcych.

— To pewne, że Renfry nie będzie twoim testerem — Ross wykazał mu oczywistość. — Jeżeli kiedykolwiek uda nam się odpalić to stare pudło, by powrócić do domu, to właśnie on tego dokona. Szeffie — zwrócił się do Ashe’a — ty jesteś tu największym mózgiem, tylko ty mu możesz pomóc. Może gdzieś w tym przeklętym znalezisku znajduje się instrukcja obsługi albo komplet „Zrób to sam”, których tylko ty potrafiłbyś użyć.

Wszystkie rzeczy, jakie znaleźli w kabinach, taszczyli do Ashe’a w nadziei, że ze swoim archeologicznym treningiem w penetrowaniu wiekowych tajemnic, mogłoby zrozumieć ich zastosowanie.

— Problem ten spada na ochotnika, czyli na mnie — dokończył Ross.

Travis milczał, ale również snuł swoje plany. Śledził tok rozumowania Rossa, ale jego wnioski były odmienne od wniosków Murdocka. Z czworga ludzi na pokładzie nie Murdock, lecz on był najbardziej zbędną osobą. Na dodatek historia jego plemienia udowodniła, że Apacze posiadają najbardziej wytrzymały system trawienny. Byli zdolni przetrwać na terenach, gdzie inne rasy przymierały głodem. Tak więc postanowił zrealizować swój własny projekt.

Gdy wszyscy jeszcze spali, przytaszczył z szafki pierwszy pojemnik, ten, który chlupał, gdy nim potrząsali. Przełknął dwa duże kęsy lepkiej, słodkiej substancji o konsystencji gulaszu. Mimo że smak nie należał do rewelacyjnych, Travis nie odczuwał żadnych dolegliwości. Następnie wybrał małą okrągłą puszkę, odciął szybko pokrywkę, nasłuchując odgłosów na korytarzu.

Pozostawił Rossa śpiącego w małej kabinie, którą dzielili, zajrzał również do Renfry’ego i Ashe’a, zanim przystąpił do degustacji. Czasu było niewiele, a musiał odczekać odpowiednią chwilę pomiędzy próbami.

Travis chciał się napić, lecz miał świadomość, że woda jest ostatnią rzeczą, której miałoby mu zabraknąć. Przyłożył manierkę do ust, jednak zdrowy rozsądek powstrzymał go. Wybrał następną próbkę i zaczął z zaciekawieniem przyglądać się zawartości puszki.

Brązowa galaretka, poruszająca się nieznacznie przy ruchu puszki, odbijała światło. Używając brzegu pokrywki jako prowizorycznej łyżki, Travis władował porcję do ust. Pomimo że nie smakował mu tłuszcz, który czuł na języku, przełknął i wziął jeszcze trochę. Trzecia próbka — sześcienne pudełko. Wyczekiwał. Gdyby udało mu się dowieść, że w pięciu czy sześciu pojemnikach znajduje się żywność, mogłoby im to wystarczyć na podróż.

Nie wrócił do swojej kabiny. Magnetyczne dna pojemników przyłgnęły do powierzchni stołu, tak jak jego stopy do powierzchni podłogi, gdy stawał je zdecydowanie. Wszystko przystosowane było do braku grawitacji i do rzeczywistych warunków lotu kosmicznego. Ale Travis z trudem ukrywał niechęć do samego statku, będącego ich więzieniem. Jedyne samotność dawała mu nieco komfortu, gdyż tylko wtedy mógł pozwolić sobie na chwilę relaksu i odprężenia od ciągłego stresu.

Podobało mu się ryzyko podróży w czasie. Świat prehistoryczny był dziki i otwarty, mógł go jednak zrozumieć. A statek był inny. Był jakby pociągiem śmierci; ciągłe siedzenie w jego małych kabinach, wąskich korytarzach dawało poczucie wyobcowania i budziło strach bardziej dotkliwy niż ten, jaki mógłby odczuwać człowiek, na którego szarżuje z pełną prędkością mamut.

Kiedyś wydawało mu się, że chciałby wiedzieć więcej o Starych. Chciał badać tajemnice, które mogły być odcyfrowane z potłuczonych kawałków ceramiki albo rysunków rytych na ścianach jaskiń. Starzy byli mu dużo bardziej bliscy niż ludzie, którzy zbudowali ten pojazd. Na chwilę

połączyła się jego klaustrofobia; tracąc panowanie nad sobą, chciał walić pięściami o ściany, by wybić drogę na zewnątrz tej skorupy i wydostać się do światła, powietrza i wolności.

Jednak na zewnątrz tych ścian było nie światło, nie powietrze, lecz próżnia... tajemnicza hiperprzestrzeń wypełniająca nicość pomiędzy gwiazdami. Travis próbował wyzbyć się lęku związanego z tym wyobrażeniem. Nie mógł stawić czoła obrazowi rakiety zawieszanej w pustce, gdzie najprawdopodobniej nie było nawet maleńkich promyczków światła wskazującego pozycje gwiazd, gdzie nie było nic pewnego ani stałego.

Podróżnicy mogli jedynie mieć nadzieję, że kiedyś dotrą do macierzystego portu, na który umierający Obcy nastawił automatycznego pilota. Ale ten kurs został ustawiony może dwanaście tysięcy lat temu, lub dawniej. Do jakiego portu dotrą, czekając za ścianą czasu? Dwanaście, piętnaście tysięcy lat...

To zbyt wielkie liczby, by mogły być pojęte przez zwyczajnego człowieka. W tym czasie na Ziemi nie zostały zbudowane jeszcze pierwsze wioski z domami o glinianych ścianach, ani jedno ziarno zboża nie zostało posiane, by zmienić człowieka z wędrownego myśliwego w osadnika mającego dom i ziemię. Czym byli wtedy Apacze albo biały człowiek? Wędrujący myśliwi zręcznie posługiwali się dzidami i nożem, potrafiąc zrobić z nich pożytek. Wtedy właśnie Obcy produkowali statki, podróżując w przestrzeni nie tylko w obrębie pojedynczego systemu planetarnego, ale również od gwiazdy do gwiazdy!

Travis starał się myśleć tylko o przyszłości, lecz jego myśli ciągle błądziły w przeszłości, nie mogąc się od niej oderwać. Pragnął stanąć w słońcu, by wiatr burzył mu włosy... tak, tęsknił nawet za pustynnym wiatrem gorącym i niosącym tony piachu. Ta tęsknota była tak dotkliwa jak ból. Ból!

Dotknął brzucha, gdy chwyciły go ostre bóle, które nie zrodziły się z tęsknoty za domem. Skurcz był fizyczny i bardzo rzeczywisty. Skulił się, chcąc złagodzić żar pełzający w jego wnętrznościach, kiedy pomieszczenie przesłoniła mu mgła. Przeszywający ból minął. Apacz wyprostował się, zanim powrócił następny atak. Tak, to było to. Za drugim razem nie dopisało mu szczęście przy wyborze jedzenia Obcych.

Jakoś podniósł się na nogi, słał się wsparty o stół, kiedy dopadła go trzecia fala bólu. Ból zelżał wkrótce, pozostawiając jego ręce i twarz pokryte potem. Lecz zanim następny spazm przeszył jego ciało, zdążył pokonać połowę korytarza i dotarł do schronienia, którego szukał; właśnie wtedy jego nadwężony żołądek zbuntował się.

Travis nigdy by nie uwierzył, że dwa kęsy tłustawej galaretki mogą tak człowieka osłabić. Dociągnął swoje wycieńczone ciało z powrotem do mesy i opadł bezwładnie na krzesło. Bardziej niż cegokolwiek innego potrzebował wody, by zmyć plugawy smak z ust i ulżyć piekącemu bólowi gardła. Manierki ustawione w przeciwnym rogu pomieszczenia wydawały się drwić z tego, że nie śmie ich użyć, wiedząc jak mało tego drogiego płynu pozostało.

Przez chwilę cieszył się, że wyzwolił się od bólu. Przysunął puszkę galaretki bliżej siebie, to będzie musiało być oznakowane jako trujące. Jedynie dwa pojemniki zostały sprawdzone, lecz ile jeszcze z nich dowiedzie swojej niezdatności do spożycia?

Pozostało jedynie pięć tabletek koncentratu, licząc tę, którą schował tamtego dnia. Nic nie rozmnoży tych pięciu w dziesięć ani w setkę. Jeżeli mieli przetrwać tę podróż, której długości nikt nie był w stanie przewidzieć, musieli użyć tej żywności. Travis usiłował opanować drżenie rąk, gdy starał się otworzyć wieczko sześciennego pudełka. Może zbyt szybko brał następną próbkę po katastrofalnym efekcie poprzedniej. Wiedział jednak, że jeżeli nie zrobi tego tu i teraz, może nie zdoła zmusić się do trzeciej próby później.

Wieczko puściło, odsłaniając wnętrze wypełnione suchymi czerwonymi kwadracikami. Przypominały one w dotyku coś jakby chleb czy twarde ciastka. Podniósł pudełko, by powąchać zawartość. Zapach wydał mu się lekko znajomy. Meksykańskie naleśniki, cienkie jak papierek oraz chipsy nabywały w smażeniu aromatu nie odbiegającego od tego. Ciastka obudziły przyjemne wspomnienia, więc Travis ugryzł jedno bardziej ochoczo niż zamierzał jeszcze moment wcześniej.

Specyfik chrobotał mu w zębach jak chleb kukurydziany, wydawało mu się, że i smak jest podobny, pomimo tak niezwykłego koloru. Przeżuł i połknął. Powoli pieczenie, jakie pozostawiła po sobie galaretka, zaczęło ustępować. Smak był tak dobry, że zaryzykował wzięcie paru

dotychczasowych małych kęsów; skończył pierwsze ciastko i zjadł następne. Na koniec, gdy trzymał pudełko w ręce, ogarnęła go senność, jego oczy bezwolnie się zamykały, a spracowane ciało domagało się odpoczynku.

Jechał konno. W oddali widać było wjazd do Kanionu Czerwonego Konia. W powietrzu unosił się zapach jałowca. Ptak wzleciał — jego oczy podążyły za tym lotem wolności. Orzeł! Ptak siły, wznoszący się wysoko na bezchmurnym niebie. Lecz nagle niebo przestało być błękitne; nie ciemność nocy była tego przyczyną. Pociemniało, dostrzec można było jedynie gwiazdy. Zaczęły powiększać powoli swoje rozmiary. Travis czuł, jak wciąga go ciemność usiana gwiazdami...

Apacz otworzył oczy, powieki ciążyły mu jak z ołowiu. Spojrzał nieprzytomnie na stojącą przed nim niebieską postać. Nachyliła się ku niemu szczupła, pociągła twarz o zapadniętych policzkach i podkrążonych oczach.

— Ross! — Apacz podniósł głowę, krzywiąc się z powodu bolesnego zeszywnienia karku.

Ten drugi usiadł z przeciwnej strony stołu i zaczął spoglądać na przemian to na Trávisa, to na baterię pojemników.

— Tak więc robisz to! — powiedział oskarżycielskim tonem, z nutą wyrzutu.

— Sam powiedziałaś, że jest to robota dla najbardziej zbędnego.

— Próbujesz zostać cichym bohaterem? — oskarżenie zabrzmiało dotkliwie.

— Niezupełnie. — Travis wsparł brodę na pięści i spojrzał na stojące przed nim pojemniki. — Jak dotąd wypróbowałem jedynie trzy, dokładnie trzy.

Powieki Rossa przymknęły się na moment. Odzyskał swoje zwykłe opanowanie, chociaż Travis nie miał wątpliwości, że zżera go zawiść.

— Z jakim wynikiem?

— Numer jeden — Travis wskazał odpowiednią puszkę — koszmarnie słodkie, rodzaj gulaszu, lecz mimo paskudnego smaku da się zjeść. To jest numer dwa. — Popukał w pojemnik z brązową galaretką. — Powiedziałbym, że nadaje się do pozbycia się stada wilków. To — potrząsnął puszką z czerwonymi ciasteczkami — jest całkiem do rzeczy.

— Jak długo na tym jedziesz?

— Wypróbowałem to podczas ostatniego czasu spania.

— Trucizna, co? — Ross podniósł puszkę galaretki, badając jej wnętrze.

— Jeżeli nią nie jest, to przynajmniej cholernie ją przypomina — odburknął Travis z lekka dotknięty takimi insynuacjami.

Ross postawił puszkę.

— Wierzę ci na słowo. A to co za numer?

Wstał i podszedł do szafki, odwrócił się trzymając płytki, okrągły pojemnik. Sposób jego zamknięcia nie należał do banalnych, lecz gdy w końcu został otwarty, ich oczom pokazały się małe kulki w żółtym sosie.

— Czy wiesz, że to może być fasolka — zauważył Ross. — Jeszcze nigdy nie widziałem frachtowca, gdzie fasolka nie pojawiałaby się w menu. Sprawdźmy, jak smakuje.

Wziął pełną łyżkę i przeżuł dokładnie.

— Fasolka... nie, to raczej ma smak kapusty. Zbyt nie żałowali przypraw, ale nie jest wcale zła.

Travis zauważył, że skrycie pragnie, by ta potrawa zaszkodziła Rossowi, może nie tak mocno jak galaretka, którą sam zjadł, bo tego nie życzyłby nikomu, ale chociaż tyle, by Murdock poczuł, że nie jest to miłe zajęcie.

— Czekasz, aż mi się wnętrzności od tego poskręcają? — Ross zaśmiał się szyderczo.

Travis zarumienił się, wypieki wystąpiły mu na policzkach, zrozumiał, że jego myśli zostały ujawnione. Znalezione sucharki odstawił na bok. Zabrał się do przeszukiwania przyniesionych produktów. Wziął naczynie o prowokującym kształcie wysokiego cylindra, w którym coś chlupało, gdy nim wstrząsał.

— Niestety chodzą parami — odrzekł Ross. — Jak to pachnie?

Travis zachęcony znalezieniem chleba, pełen nadziei powąchał otwór w szyjce. Zdjął pokrywkę i jedynie swojemu refleksowi zawdzięczał, że wytryskająca piana nie znalazła się na jego twarzy.

— Może masz mydło w spray'u — skomentował Ross sarkastycznie. — Poliz to, masz w końcu tylko jeden żołądek, który możesz stracić dla ojczyzny.

Travis, tak podpuszczony, skosztował, podejrzliwie spodziewając się czegoś całkowicie paskudnego. Ku swojemu zdumieniu to nie tylko było słodkie, ale w odróżnieniu od gulaszu miało też wyraźny smak. Odświeżało i zaspokajało pragnienie wody. Połknął kęs i usiadł, oczekując z niepokojem na wybuch w żołądku.

— W porządku? — dopytywał się Ross. — No cóż, nie można ciągle mieć pecha.

— Pech nie ma z tym żadnego związku. — Travis zatrzymał wylewającą się beużytecznie pianę. — Ciągłe jeszcze żyjemy i nasza podróż nadal trwa.

— Podróżowanie nie jest takie złe. Gdybyśmy tylko wiedzieli, dokąd lecimy, byłoby to nie tylko użyteczne, ale również uspokajające. A może przeciwnie?

— Świat budowniczych tego statku nie mógł się zbytnio różnić od naszego — Travis powtórzył konkluzję, do której doszedł wcześniej Ashe. — Możemy bez problemu oddychać ich powietrzem, to dlaczego nie moglibyśmy spożywać ich żywności.

— Dwanaście tysięcy lat... Czy wiesz, że gdy wymawiam te słowa, nie ma to dla mnie realnego znaczenia?

Wrogość Rossa zniknęła albo zdołał ją zręcznie ukryć.

— Wymawiasz słowa, ale nie udaje ci się wysilić na tyle wyobraźni, by zrozumieć ich znaczenie. Łapiesz, o czym mówię? — zapytał wyzywająco.

Travis, w którym te słowa otwały ledwo zabliznioną ranę, poczekał chwilę, aż ochłonie, zanim odpowiedział:

— Z grubsza. Spędziłem cztery lata na Uniwersytecie Stanowym. Nie zawsze jesteśmy tak dojrzały, by udało nam się wszystko pojąć.

Ross podniósł wzrok, jego szare oczy wyrażały zakłopotanie.

— Nie rozumiałem tego w ten sposób, bo właśnie dlatego wszystko to ma jakąś wartość.

Uśmiechnął się i po raz pierwszy jego głos nie uderzał wyższością czy też sarkazmem.

— Chciałbyś dowiedzieć się prawdy, co? Sam musiałem nadrobić braki w edukacji. Dostałem się do Projektu cięższą drogą, nie przez uniwersytet. Ale ty studiowałeś to, co lubisz — archeologię — czy tak?

— Owszem.

— Tak więc, co dwanaście tysięcy lat znaczy dla ciebie? W końcu podróżujesz w dawne czasy na co dzień.

— To jednak kawał drogi taki wypad do epoki jaskiniowej.

— Rzeczywiście, było to, zanim postawiono piramidy w Egipcie, zanim ludzie nauczyli się czytać i pisać. Doprawdy, przez dwanaście tysięcy lat ci niebiescy chłopcy mieli gwiazdy na wyłączność. Mogę się jednak założyć, że nie starali się tego wykorzystać. Nie było takiej cywilizacji, która by zdołała przetrwać tak długo. Wspięli się wysoko i następnie — pstryknął palcami — padają, by ktoś inny mógł przejąć władzę. Tak więc, gdy dotrzemy wreszcie do tego portu, do którego zmierzamy, albo niczego nie znajdziemy, albo ktoś będzie na nas czekał. Możesz postawić na obie ewentualności, gdyż każda ma szansę wygrać, lecz nasze akcje pójdą w górę, gdy trafimy na pustkę.

Travis zmuszony był zaakceptować logikę tego rozumowania.

Zakładając, że port ten już nie istnieje, stanąwszy na nieznanym terenie, z której już nie wzleca, gdyż nie potrafią kierować statkiem, będą banitami przez resztę swojego życia, skazanymi na egzystencję w przestrzeni, która nie została naniesiona na mapy przez ich ziomków.

— Jeszcze nie jesteśmy martwi — odrzekł Travis. Ross zaśmiał się:

— Pomimo wszystkich naszych prób? Chyba nie. Jak długo człowiek żyje, tak długo stawiać będzie opór. Lecz dobrze byłoby wiedzieć, jak długo jeszcze mamy pozostać zamknięci w tej puszczy.

Zwykle obecna w jego głosie nuta wyższości znikła, jakby jego starannie pielęgnowana samowystarczalność zaczynała się walić.

W sumie eksperymenty z żywnością zakończyły się częściowym sukcesem. Sucharom Travis

przyczepił etykietkę „zboże”; pianka i kapuściana „fasolka” Rossa mogły zostać strawione przez wnętrzości człowieka bez większych trudności. Dodali do tej listy lepką pastę, o konsystencji dżemu i smaku zbliżonym do boczku, oraz kilka innych, w tym substancję przypominającą ciasto, dającą się zjeść, pomimo długo pozostającego w ustach kwaśnego posmaku. Niemalø ryzykując, Travis skosztował wody z zapasów Obcych. Chociaż płyn miał metaliczny smak, którym pijący rozkoszować się nie mógł, to jednak sama woda szkodliwa nie była.

Wszystkich zajęły eksperymenty. Młodzi członkowie tej mimowolnej załogi stali się użyteczni w ostrożnych doświadczeniach przeprowadzonych przez Ashe’a i Renfry’ego. Sfrustrowany technik próbował bowiem odkryć przeznaczenie tych przyrządów, których nie bał się dotknąć.

Pewnego ranka Travis siedział obok niego, starając się mu pomóc, gdy nagle przenikliwy buczone zakłócił zwykłą ciszę. To warczenie z pewnością było ostrzeżeniem. Renfry chwycił niewielki mikrofon komunikatora.

— Przypiąć się! — rozkazał ochryłym z podniecenia głosem. — Włączył się tutaj alarm dźwiękowy, najprawdopodobniej zbliżamy się do lądowania. Zapiąć pasy!

Travis chwycił pasy bezpieczeństwa swojego fotela. Poniżej nich reszta najprawdopodobniej wciskała się w koje. Wibracje powtórzyły się. Upewniło go to w przekonaniu, że się nie mylił. Statek nie leciał już siłą inercji; zaczął ożywać.

Pochłonał ich przyprawiający o mdłości wir. W końcu Travis wyprostował się wygodnie i rozejrzał dookoła, przelotnie spoglądając na ekran, który dotychczas nie pokazywał nic. I wtedy coś na nim dostrzegł, obiekt, który wydawał mu się znajomy.

— To jest jakaś gwiazda!

Punkt płonący żółtym światłem był latarnią rozświetlającą ciemności kosmosu.

— Słońce — poprawił go Renfry. — Udało nam się zrobić wielki przeskoc. Teraz wchodzimy w układ...

Żółto-czerwony blask powoli zniknął z wizjera. Travis miał wrażenie, że pojazd powoli zatacza łuk. Przed sobą ujrzął o wiele mniejszy, nieruchomy obiekt — planetę!

— Coś mi mówi, chłopcze — rozbrzmiał cichy i niepewny głos Renfry’ego — że to tam właśnie lecimy.

— Ziemia? — ciepła fala nadziei przetoczyła się przez Trávisa.

— Możliwe, że ziemia, ale nie nasza.

ROZDZIAŁ 9

— Schodzimy do lądowania — głos Renfry'ego, cienki i ochryply, przerwał ciszę w sterówce.

Jego ręce przesunęły się do panelu dźwigni i przycisków położonych przed nim i spoczęły tam bezradnie. Pomimo, że nie miał nic do roboty przy tym lądowaniu, wydawało się, jakby wielki wysiłek odebrał mu siły.

— Port macierzysty? — wykrztusił Travis przez wyschnięte wargi. Lądowanie nie było tak bolesne dla zmysłów i ciała jak start z ich ojczystego świata, lecz mimo to nie należało do przyjemnych. Albo ciała Obcych były bardziej dostosowane do prędkości ich statków, albo zdołali oni jakoś przywyknąć do takich przeciążeń.

— Skąd mam wiedzieć? — odburknął mu ze złością Renfry.

Wizjer — ich okno na świat zewnętrzny — znów ukazywał wizerunek nieba, ale nie normalnego nieba o niebieskiej poświacie, którą Travis znał i pragnął ujrzeć ponownie. Ten błękit wpadał w zieleń o zabarwieniu turkusów wydobywanych w górach. Było w tym coś zimnego i nieprzyjemnego zarazem.

Jedyną skazę w otaczającej ich pustce stanowiła połyskująca metalicznie konstrukcja. Gładkość dawno już zniknęła z jej czerwonej powierzchni. Bez wątplenia była to ruina.

Travis odpiął pasy, stając niepewnie na nogach; jego ciało znowu niezgrabnie musiało się przystosować do powrotu grawitacji. Tak, jak do niedawna nienawidził tego statku i chciał się z niego wydostać, tak teraz nie miał wcale ochoty znaleźć się pod tym turkusowym niebem i badać ruinę widoczną na ekranie. Wiedział jednak, że muszą to zrobić.

W końcu wszyscy zgromadzili się przy słuzie;

Renfry zapiął skafander, podchodząc do zewnętrznych drzwi, po czym odwrócił się do pozostałych.

— Hełmy uszczelnione? — Jego głos zagrzmiął głucho w hełmie opinającym głowę i opartym na ramionach Trávisa.

Ashe odnalazł je wcześniej i przetestował, przygotowując na tę chwilę, kiedy ośmielił się zaatakować nieznane. Przezroczyste hełmy nie posiadały kłępujących zbiorników tlenu i pracowały na zasadzie, której Renfry nie był w stanie wyjaśnić. Najwidoczniej jednak Obcy ich używali, więc teraz i oni musieli zawierzyć ich skuteczności.

Wewnętrzne drzwi słuzy zostały zamknięte i otworzyli zewnętrzną pokrywę statku. Renfry kopnął drabinkę zejściową i odwrócił się tyłem, by po niej zejść.

Pod nimi rozciągała się biała powierzchnia podzielona na segmenty ciągami konstrukcji z matowego, czerwonego materiału. Przestrzeń w środku każdego z nich oznaczona była czarnymi koncentrycznymi okręgami. Prawie żadna z czerwonych budowli nie była kompletna, zaś lądowisko — o ile nim było — miało sterylną atmosferę miejsca od dawna opuszczonego.

— Inny statek — Ashe wskazał ręką, a jego głos dobiegł Trávisa przez komunikator.

Rzeczywiście ujrzeli drugą metalową kulę przypominającą ich statek. Stała sobie spokojnie wewnątrz jednej z metalowych konstrukcji jakieś trzysta metrów dalej. Potem Travis zobaczył następną. Nigdzie jednak nie zauważyli śladu życia. Travis poczuł na odsłoniętych rękach delikatny powiew wiatru.

Zeszli z drabinki i stali pod swym własnym statkiem, niepewni, co robić dalej.

— Czekaj! — Renfry zwrócił się do Ashe'a. — Coś tam się rusza! W statku znaleźli wcześniej broń, teraz więc wyciągnęli te dziwne strzelby, takie same jak ta, którą Ross pokazywał Travisowi przy ich pierwszym spotkaniu. U stóp najbliższej im metalowej wieży coś sunęło w ich stronę. Travis zadrzał, przyjrawszy się ruszającemu się zwojowi. Wąż? Wąż, tak długi, że gdy głową już niemal ich dosięga, ogonem nie ruszył się jeszcze spod odległej wieży... Wycelował w wijące się monstrum. Renfry jednak podbił mu rękę i wtedy Apacz dostrzegł to, co technik zauważył już wcześniej: wąż nie był zbudowany z żywej materii, lecz z tworzywa.

Ujrzeli jeszcze jakieś poruszenie w drzwiach, z których wypelzł wąż. Nowe dziwadło nadchodziło, trzęsąc się i zatrzymując co chwilę, jakby czuło się zmuszone do posuwania się

naprzód mimo swej wyraźnej niechęci. Stworzenie nieco przypominało człowieka, gdyż przemieszczało się na dwóch nogach. Miało jednak cztery ramiona, teraz skrzyżowane na korpusie, a zamiast głowy sterczała jakby łodyga, przypominająca antenę komunikatora.

Chwiejny chód obcego wskazywał na ogólne zużycie i zniszczenie. Czterej Ziemianie odstąpili od statku, robiąc miejsce dziwnym przybyszom z wieży.

— Roboty! — powiedział nagle Ross. — To są roboty! Ale co chcą zrobić?

— Dolać paliwa — to Ashe, a nie Renfry odpowiedział na jego pytanie.

— Właśnie! — Technik przepchnął się między nimi. — Ale czy będą mieli paliwo po tak długim czasie?

— Trzymajcie kciuki, żeby coś dla nas mieli — na pozór obojętnie odezwał się Ashe. — Byłoby lepiej nie sterczeć tutaj; wracajmy na statek. — Groźba, że statek mógłby odlecieć bez nich, przyprowadziła ich o lekki atak paniki i rzucili się biegiem w kierunku drabinki. Renfry pozostał przy otwartym włazie, relacjonując zachowanie robotów.

— Ta żywa rura chyba podłączyła się do nas. Nie widzę, co robi ten drugi... wędrowniczek, może tylko stoi i pilnuje, czy nie ma żadnej awarii. Coś leci przez tę rurę! Można to zresztą zobaczyć! Dają nam to, co mieliśmy dostać!

— Stacja paliwowa — Ashe spojrzał na szachownicę lądowisk — przyjrzyjcie się jej rozmiarom. Musiała być zaprojektowana na setki czy tysiące statków. Nie mogli ich przecież wszystkich tankować równocześnie, musieli więc mieć całkiem niezłą flotę... — urwał i wziął oddech — flotę o niewyobrażalnych rozmiarach. Mieliśmy rację, ich cywilizacja rozciąga się na całą galaktykę, a może nawet na dwie...

Travis przyglądał się wieży, z której nadeszły roboty.

— Wygląda na to, że nikogo tu nie było od dłuższego czasu — zauważył.

— Maszyny będą działać, dopóki nie stracą mocy — odpowiedział Renfry — nasz wędrowniczek już jest bliski wyczerpania. Nadaliśmy pewien sygnał, bo wylądowaliśmy we właściwym miejscu. Zaktywizowaliśmy roboty i wykonały swoje zadanie, może ostatnie zadanie. Jak dawno temu pracowały ostatni raz? Być może przez dłuższy czas — z tych dwunastu tysięcy lat, o których ciągle mówicie — powoli umierało tu imperium. Nie próbowałbym jednak oceniać, jak dawno temu tankował tu jakiś statek; ci kosmici znali się na maszynach, a ich stopy metali przewyższają nasze najnowsze osiągnięcia.

— Chciałbym obejrzeć wnętrze takiej wieży — w zamyśleniu powiedział Ashe — może prowadzili jakieś zapiski, mieli coś, co pomogłoby nam to wszystko zrozumieć.

Renfry potrząsnął głową.

— Nie próbowałbym tego. Moglibyśmy wystartować przed twoim powrotem. Aha, wędrowniczek wraca, przygotujcie się do odlotu.

Zamknęli właz i drugie drzwi. Renfry z przyzwyczajenia udał się do kabiny sterowniczej, inni położyli się w swoich kojach. Czekali jakiś czas, a potem statek wystartował. Tym razem nie stracili przytomności i wytrzymali aż do chwili, gdy nieprzyjemne sensacje w ich organizmach ustały.

— I co teraz? — Kilka godzin później stłoczyli się wszyscy w mesie, by odbyć raczej jałową dyskusję na temat przyszłości. Nikt nie mógł zaoferować nic oprócz niepewnych domysłów, nikt nie kwapił się odpowiedzieć na pytanie Renfry'ego.

— Kiedyś czytałem książkę — ton Rossa zdradzał zakłopotanie, jakby przyznawał się do jakiejś gafy — o jakimś holenderskim kapitanie, który się zawziął, że przepłynie koło Cape Horn, wiecie, w czasach tych starych żaglowców. Wezwał wtedy diabła, żeby mu pomógł i potem nigdy nie wrócił do domu... pływał po morzu aż do śmierci i po śmierci też.

— Latający Holender — domyślił się Ashe.

— My przynajmniej nie wołaliśmy żadnego diabła — uśmiechnął się krzywo Renfry.

— Na pewno? — Travis pomyślał głośno, nie zdając sobie sprawy z tego, że inni go słyszą, dopóki wszyscy nie spojrzeli nań zdziwieni.

— A cóż jest według ciebie tym diabłem? — ponaglił go Ashe.

— Próbowaliśmy wyciągnąć z tego statku jakąś wiedzę... coś, co nam się nie należy... —

zająknął się, usiłując ubrać w słowa myśli tłukące mu się po głowie.

— Myślisz, że ktoś sobie na nas ostrzy zęby? — podsumował Ashe. — Gdyby się temu bliżej przyjrzeć, możesz mieć rację. Zakazany owoc poznania. Taki pogląd usiłowano nam zaszczepiać od bardzo dawna, więc nawet teraz mamy nieczyste sumienia.

— Usiłowano... — powtórzył Ross z namysłem — usiłowano...

— Usiłowano! — jak echo zabrzmiał głos Tralisa, którego właśnie jakby coś oświeciło.

— Kto usiłowwał?

Potem, rozejrzawszy się po statku, który był zarówno ich środkiem transportu, jak i więzieniem, dodał cicho:

— Ci faceci?

— Oni nie chcieli, żebyśmy o nich wiedzieli — Rossowi w pośpiechu płatał się język. — Pamiętacie, co zrobili z bazami Czerwonych? Wyśledzili i zniszczyli je w każdej epoce, a założymy, że spotkali się z prymitywnymi cywilizacjami i wpoili im ten pomysł o szatańskim pochodzeniu wiedzy albo dali im raz taką nauczkę, że pamięć o niej przeszła na wszystkie dalsze pokolenia...

— Jest jeszcze parę innych ciekawych historii podobnych do twojej o Holendrze, Ross. — Ashe wiercił się w niewygodnym fotelu. Żadne z siedzeń nie było dokładnie przystosowane do ludzkich wymiarów. — Prometeusz i ogień... facet, który odważył się ukraść bogom ogień i cierpiał za to wieczne męki, mimo że jego kumple skorzystali na tej kradzieży. Tak, są pewne przesłanki do tej teorii, chociaż mocno naciągane... — ożywił się nagle. — Może... może to my sprawdzimy ją na pewno!?

— Stacja paliwowa wyglądała na nie używaną od dawna — zauważył Travis — być może nic już nie zostało z ich imperium.

— Cóż, nie dotarliśmy jeszcze do portu macierzystego. — Renfry wstał i przeciągnął się. — Jeśli tam dolecimy, przepraszam, kiedy tam dolecimy, mamy szansę na powrót pod warunkiem, że... — zastukał palcami w ścianę — pod warunkiem, że będziemy mieć więcej szczęścia niż rozumu.

— Jak możemy wrócić? — zapytał Ashe.

— Urządzenia sterujące zaprogramowano chyba przy pomocy taśmy, na której nagrano trasę lotu. Gdy wylądujemy na dobre i będę mógł się zabrać do pracy, być może uda się przewinać ją z powrotem. Ale od naszej Ziemi dzieli nas jeszcze parę miliardów „jeśli” i „gdyby”, a liczyć możemy tylko na wyjątkowe szczęście.

— Może dałoby się zrobić coś jeszcze... — Ashe zamyślił się — gdybyśmy choć trochę rozumieli ich język... na pewno któreś z tych nagrań, które znaleźliśmy, dotyczą obsługi tego statku i jego pilotażu...

— A skąd weźmiesz jakąś milutką lektorę, co ci poda pierwsze dwieście słówek? Nie mamy z nimi żadnego wspólnego dziedzictwa językowego!

— Travis pozostał sceptyczny.

— A czy matematyka nie powinna być taka sama, niezależnie od języka? — zastanawiał się Ross.

— Wiecie, dwa i dwa zawsze daje cztery, i tak dalej?

— Proszę uprzejmie, znajdź na tych taśmach, które przepuszczaliśmy przez czytnik, jakiegokolwiek ślady cyfr używanych na Ziemi — Renfry powrócił do swego zwykłego pesymizmu. — W każdym razie nie dotknę tych maszyn nawet małym palcem, dopóki będziemy w kosmosie.

W kosmosie — jak długo mieli tu jeszcze podróżować? Drugi etap tej podróży donikąd wydawał im się, nie wiedzieć czemu, znacznie gorszy niż pierwszy. Wszyscy byli dotychczas w głębi duszy przekonani, że pierwszy postój będzie też ostatnim, jednakże krótka przerwa na tankowanie sugerowała znacznie dłuższą podróż. Jedyńm sposobem odmierzania czasu był zegarek Renfry'ego. Dni Ashe odmierzał, licząc mijające godziny. Od chwili opuszczenia portu paliwowego minął tydzień i dwa dni.

Z prostej konieczności zająć się czymkolwiek łamali sobie głowy nad sekretami statku. Ashe po mistrzowsku opanował już sztukę obsługi małego czytnika, który odtwarzał zapis z metalowych taśm i otwierał przed nimi nie jeden świat, lecz całe ich mnóstwo. Śpiewna mowa, odtwarzana wraz

z obrazami, pozostawała niezrozumiała dla Ziemiaków, ale za to obrazy... i to jakie obrazy! Trójwymiarowe, kolorowe, zapewniały okno na świat niepojętej, złożonej cywilizacji rozciągającej się na niezliczone gwiazdy. Przeróżne rasy i kultury, tylko średnio jedna trzecia z nich przypominała wyglądem ludzi — czy to na pewno były autentyczne materiały? Czy, być może, oglądali fikcję stworzoną dla rozrywki w czasie długich godzin podróży kosmicznych? A może były to raporty z jakichś wykonanych zadań? Mogli wysuwać dowolne hipotezy na temat treści nagrań.

— Jeśli to był statek policyjny i to są zapisy autentycznych spraw, to rzeczywiście mieli drobne problemy — stwierdził Ross. Oglądał właśnie zajadłą bitwę w podmokłej dżungli. Wroga reprezentowały białe ziemnowodne stworzenia, które mogły wysuwać części swych ciał na dowolną odległość, co pozwalało im zawsze dosięgnąć przeciwnika.

— Chociaż z drugiej strony — kontynuował Ross — może to być tylko historyjka, która zabawiała naszych dzielnych gliniarzy. Skądże mamy wiedzieć?

— Znalazłem coś dziś rano — Ashe grzebał w pojemniku z metalowymi krążkami — coś, co może zainteresować was nieco bardziej — wyjął z czytnika taśmę z bitwą w dżungli i włożył inną.

Ujrzeni szare niebo z nisko wiszącymi chmurami, pod którymi rozpościerało się coś, co mogło być jedynie pocziwym, ziemskim śniegiem. Kilka postaci weszło w kadr i ujrzeni znajome niebieskie mundury Jajogłowych, które wyraźnie odznaczały się na jasnoszarym śniegu.

— Coś ci to przypomina? — Ashe zwrócił się do Rossa. Murdock wychylił się do przodu i przyglądał się „filmowi” z taką uwagą, że pozostała dwójka również zaczęła obserwować całą scenę o wiele uważniej.

Było tam czterech łysych humanoidów w niebieskich mundurach. Nie mieli na sobie żadnych wierzchnich okryć i Travis przypomniał sobie uwagę Rossa o izolacyjnych właściwościach dziwnego materiału. Na głowach mieli przejrzyste, jakże teraz już znajome hełmy i poruszali się w tempie wskazującym, że uważają, gdzie stawiają nogi.

Taśma mrugnęła, przynosząc zmianę scenerii. Teraz oglądali ten sam krajobraz oczami jednego z odzianych na niebiesko wędrowców. Przed nimi widniało kolejne zejście. Zaburzona perspektywa nie przeszkodziła widzom w dostrzeżeniu najważniejszych elementów filmu. Widzieli szeroką, wyrównaną połąć, gdzie na pół zagrzebany w śniegu spoczywał jeden z największych frachtowców Obcych.

— To niemożliwe! — krzyk Rossa wyrażał krańcowe zaskoczenie.

— Patrz dalej — rozkazał Ashe.

W oddali wokół srebrnej półkuli poruszały się czarne punkciki. Wydeptały już w śniegu wyraźne ścieżki.

— Placówka Czerwonych do podróży w czasie! — Ross prawie udławiłby się z podniecenia. — Ten statek sfilmowali na pewno w czasie nalotu na Czerwonych! — Coś zatrzeszczało i ekran zgasł.

— A gdzie reszta? — zapytał Ross.

— Widziałeś całość. Jeśli nakręcili coś jeszcze, to nie na tej rolce — Ashe bawił się kolorową etykietką przyklejoną do kontenera z rolkami. — Nie ma tu więcej żadnych podobnych etykiet — zauważył ze smutkiem.

— Ciekawe, czy Czerwoni jakoś się później pozbięli. Jeśli to właśnie Jajogłowi wytknęli całą ich kadrę, to być może oni z kolei wymordowali załogę naszego statku. Broń chemiczna, te sprawy... — Ross bawił się przełącznikiem projektora. — Myślę, że nigdy nie będziemy wiedzieli na pewno.

Nagle usłyszeli, jak w ciszę statku wdziera się przestraszony głos Renfry'ego, który trzymał dobrowolnie wartę w kabinie kontrolnej:

— Chyba znowu będziemy lądować, chłopaki. Zapnijcie się dobrze! Zaraz będzie cholernie trzęsło!

Pospieżyli do swoich koi. Travis naciągnął siatkę ochronną. Gdzie wylądują tym razem? Kolejny zamieszkały przez roboty przystanek czy port docelowy, do którego tak chcieli dotrzeć? Przygotował się na rwące wnętrza przejście z hiperprzestrzeni do normalnej prędkości, mając

nadzieję, że tym razem zniesie to nieco łagodniej.

Odczuli jednak pewne sensacje, gdy statek zaczął gwałtownie hamować.

— Słońce przed nami — otwarłszy oczy, Travis dosłyszał głos Renfry'ego przez komunikator — jedna, dwie, cztery planety. Zdaje się, że zmierzamy do drugiej planety układu.

Znowu oczekiwanie. Weszli w atmosferę, poczuli, że powraca grawitacja. Statkiem zatrzęsły wibracje. Chwilę później usiedli na ziemi z drobnym wstrząsem, jakby to lądowanie nie było aż tak dobrze kontrolowane jak poprzednie.

— Dzieje się coś dziwnego... — głos Renfry'ego rozdarł ciszę, lecz technik nagle urwał, jakby to, co ujrzał, odebrało mu głos.

Wspięli się do sterówki i patrzyli na ekran ukazujący im kolejną planetę. Musiała to być noc, ale noc ożywiona czerwoną poświatą, jakby jakiś wielki pożar rozświetlał niebo wściekłym ogniem.

— Dom? — tym razem to Ross zadał to pytanie. Renfry, pochłonięty oglądanym obrazem, odpowiedział zdawkowo:

— Nie wiem, po prostu nie wiem.

— Spróbujemy rzucić okiem z władu — Ashe objął komendę.

— Może to wulkan — Travis zastanawiał się nad pochodzeniem czerwonej poświaty.

— Nie, chyba nie... takie światło widziałem w życiu tylko raz.

— Wiem, o czym myślisz. — Ross był już na drabince. — Zorza polarna!

ROZDZIAŁ 10

Niezwykła architektura stacji paliwowej nie zatarła się jeszcze w ich pamięci, jednak scena, którą osłupiały Travis ujrzał za zewnętrznymi drzwiami, przywodziła na myśl najbardziej fantastyczne sny jego dzieciństwa.

Języki migotliwej czerwieni pełzały po widnokregu, kryjąc ponad ćwierć horyzontu i wznosząc się wysoko w niebo. Gwiazdy niknęły w tej nieziemskiej poświacie i nawet księżyc ledwo przeświecał przez kurtynę krwawego blasku — księżyc, który swą wielkością co najmniej trzykrotnie przekraczał rozmiary ziemskiego satelity.

Wokół statku rozpościerała się pomarszczona, pokryta pęcherzami, niegdyś gładka powierzchnia. W powietrzu rozlegały się ciche trzaski, które jednak nie były spowodowane wiatrem, a najwidoczniej nagromadzoną w nieruchomym powietrzu elektrycznością. Krwawa poświata, która początkowo wydawała się tak jaskrawa, ledwo rozświetlała krajobraz, nadając mu upiorny, złowieszczy wygląd.

— Wszystko w porządku — Renfry ostrożnie ściągnął swój hełm. Idąc w jego ślady pozostali również oswobodzili głowy. Powietrze było suche, pozbawione wilgoci jak pustyński wiatr.

— Jakies budynki... tam. — Wszystkie głowy zwróciły się we wskazanym przez Rossa kierunku.

W odróżnieniu od wież na stacji paliwowej, które były wprawdzie zniszczone, jednak wznosiły się prosto w niebo, te budowle — albo budowla — wtapiały się w ziemię i nawet najwyższe elementy niewiele wystawały ponad otoczenie. W czerwonej poświacie Travis nie mógł nigdzie dostrzec najmniejszego śladu świata roślinnego. W porcie paliwowym jałowość była oczywista, ale tutaj brak flory dał się łatwo zauważyć i sprawiał dziwne wrażenie.

Żaden z nich nie zamierzał wyruszać na badania pod tym dziwnym ognistym niebem; z kolei nic nie poruszyło się w stronę statku. Jeśli miała to być kolejna przerwa w ich podróży, przeznaczona na sprawdzenie stanu ich środka transportu, najwidoczniej mechaniczni kontrolerzy zdążyli już się popsuć. W końcu Ziemianie wycofali się do statku i zamknęli luk. Zdecydowali oczekiwać dnia.

— Pustynia... — Travis powiedział to do siebie, ale Ashe spojrział na niego z zaciekawieniem.

— Sądysz? Tam na zewnątrz?

— Czuje się to w powietrzu — wyjaśnił Travis. — Człowiek uczy się ją rozpoznawać, gdy spędza tam większość swojego życia.

— Czy to koniec podróży? — Ross ponownie spytał Renfry'ego.

— Nie wiem. — Wrócili z powrotem do kabiny kontrolnej. Technik stał przed głównym panelem sterowniczym, marszcząc brwi. Nagle obrócił się do Trávisa.

— Czujesz na zewnątrz pustynię. Ja zaś czuję maszyny; spędziłem z nimi większość mojego życia. Wylądowaliśmy tu i nic nie wskazuje, abyśmy mieli znów wystartować. Nic oprócz mojego przeczucia, że jeszcze nie skończyliśmy swojej podróży — roześmiał się, na poły nieświadomie. — W porządku, teraz mi powiecie, że widzę duchy i będę musiał się zgodzić.

— Wręcz przeciwnie. Zgadza się z tobą całkowicie i nie zamierzam odchodzić zbyt daleko od statku — uśmiechnął się Ashe. — Myślisz, że to następna stacja benzynowa?

— Na zewnątrz nie ma robotów — zaoponował Ross.

— Mogły już dawno się rozpaść, zardzewieć — odparł Renfry. Żałował chyba teraz, że poruszył ten temat.

W końcu rozeszli się do swoich koi, ale nie udało się im zasnąć; zapadali jedynie w płytką drzemkę, z której szybko się budzili. Travis, leżący na miękkim posłaniu, które dopasowywało swój kształt do jego ciała, wietrzył zagrożenie. Póki statek był w drodze, miał poczucie pewnego bezpieczeństwa — teraz, za pancierzem, którego mógł dotknąć, rozciągało się obce terytorium, gdzie można się było spodziewać raczej niebezpieczeństw niż przyjaznego powitania. Coś mówiło mu, że ten świat nie był światem automatów zbudowanych do wypełniania swych zadań na długo przed pojawieniem się człowieka — może sprawiała to purpurowa poświata, a może suche, pustyńne powietrze. Nie, z całą pewnością było tu życie i oczekiwało ich, na zewnątrz.

Musiał się chyba zdrzemnąć, gdyż obudziła go ręka Rossa potrząsająca jego ramieniem. Poszli do mesy, gdzie Travis zjadł śniadanie w milczeniu, spięty i gotów do walki, przekonany, że niebezpieczeństwo czai się na zewnątrz.

Wyszli uzbrojeni. Z pasów zwisały im blastery, broń Obcych. Przywitał ich bezlitosny blask słońca, równie porażający swą jasnością, jak krwawe płomienie w nocy.

Ashe zasłonił oczy ręką. — Ubierzmy hełmy — rozkazał. — Może przyćmią choć trochę to światło.

Miał rację. Gdy założyli na głowy pozornie przezroczyste nakrycia, okazało się, że redukują one nieziemski blask do natężenia, które ich oczy mogły bez problemu wytrzymać.

Travis nie mylił się twierdząc, że znaleźli się w pustynnej okolicy. Wydmy z białego piasku, połyskujące maleńkimi, odbijającymi światło cząstkami, które oślepiły nieosłonięte oczy, pokrywały olbrzymią, pustą przestrzeń, na której wylądowali. W pobliżu nie lądowały żadne inne statki, tak jak widzieli to w pierwszym porcie galaktycznym — jak okiem sięgnąć rozciągały się tylko samotne piaszkowe pagórki, nieskalane najmniejszym nawet śladem roślinności.

W odległości może pół kilometra widać było budynki, niskie, przycupnięte przy ziemi budowle.

Czwórka kosmicznych wędrowców zatrzymała się niezdecydowanie u stóp drabinki. Nie tylko przecucie Renfry'ego, że ich podróż jeszcze nie dobiegła końca, kazało im się trzymać w pobliżu statku. Wymarły krajobraz z pewnością nie zapraszał do spacerów. Z drugiej jednak strony można było mieć nadzieję, że jakieś odkrycie pomoże im rozwiązać palącą kwestię powrotu na ojczystą planetę.

— Zrobimy tak — Ashe, najbardziej doświadczony z nich wszystkich, podjął decyzję — Renfry, zostaniesz tutaj, na górze w drzwiach. Na jakąkolwiek oznakę wskazującą, że statek znów wraca do życia, strzelaj z maksymalną mocą.

Strumień energii wydobywający się z wąskiej lufy nieziemskiej broni byłby widoczny jako błękitny płomień z odległości wielu kilometrów. Nie byli wprawdzie pewni skuteczności przysłon w hełmach, ale z całą pewnością strzał z blastera byłby świetnym sygnałem alarmowym.

— Nie ma sprawy! — Renfry już wspinał się po drabince, nie okazując rozczarowania, że nie będzie uczestniczył w patrolu.

Pozostała trójka skierowała się w stronę budynków. Ashe siedł z przodu, a jego dwaj towarzysze trzymali się krok za nim. Travis półświadomie wpatrywał się w piasek pod stopami. Nie wiedział, czego wypatruje, gdyż w sypkim piasku ślady na pewno nie utrzymałyby się długo. Ślady! Spojrzał za siebie, niewielkie wgłębienia znaczące jego przejście były już prawie niewidoczne. Z pewnością nic nie wskazywało, że ktoś — lub coś — przeszło tędy w ciągu ostatnich dni, miesięcy, lat, pokoleń.

Piasek jednak nie leżał wszędzie. Obszedł pęknięty kawał nawierzchni, który sterczał z ziemi pod kątem, tworząc niewielką kryjówkę — coś na kształt jamy. Travis zamyślił się, wpatrując się w owo zagłębienie.

Poprzedniej nocy nad tym pustkowiem wiał wiatr. Travis czuł go, stojąc we włazie statku. Teraz powietrze było nieruchome, nie czuł nawet najłżejszych podmuchów. W tej jamie zaś nie było piasku. Nie wiedział, dlaczego instynkt mówił mu, że coś tu jest nie w porządku. Ponieważ jednak nauczył się ufać swojemu szóstemu zmysłowi, ukląkł, aby zbadać wnętrze jamy tak, jak z pewnością uczyniłby myśliwy–tropiciel.

W ten sposób odkrył coś, czego inaczej by nie zauważył — wgłębienie odcisnięte w podłożu, gdzie piasek jeszcze nie został nawiany. Potarł mocno palcami ten ledwo widoczny ślad. Poczul lepkość, jakby grunt w tym miejscu był pokryty warstewką jakiejś cieczy. Unosząc na chwilę hełm, ostrożnie powąchał swe palce.

Silny, nieprzyjemny zapach potu jakiegoś żywego stworzenia — czegoś o brudnym ciele. Był tego pewien! To stworzenie musiało przez długi czas kuć w tym dobrze ukrytym miejscu, z którego pewnie przyglądało się statkowi, nie będąc samemu widzianym. Travis pomyślał, że mogło również być obdarzone swego rodzaju inteligencją. Zamykając z powrotem hełm, zgłosił swoje znalezisko przez komunikator.

— Mówisz, że musiało tam siedzieć przez jakiś czas? — usłyszał głos Ashe'a.

— Tak. I nie mogło stąd odejść dawno temu.

— Swoje domysły opierał na obserwacji lepkiej wydzielinie pozostawionej przez ciepłe ciało na ziemi w ukrytej jamie.

— Żadnych śladów?

— Nie utrzymałyby się długo na tym podłożu.

— Travis przeciągnął stopą po małym kopczyku piasku i patrzył, jak bruzda się wyrównuje. Nie, żadnych śladów. Mogło jednak być tylko jedno miejsce, z którego przyszedł tajemniczy obserwator — budynki na wpół zagrzebane wśród wydmi. Wstał i ruszył w ślad za swymi towarzyszami, trzymając rękę w pobliżu broni zwisającej mu z pasa. Instykt stanowczo ostrzegł go przed czającym się niebezpieczeństwem.

Ashe stał już przed środkową częścią budynku. Było już wyraźnie widać, że jest to tylko jedna budowla. Jej dwa boczne skrzydła łączyły się z główną częścią konstrukcji pozbawionymi okien przejściami. Travis znał skutki działania wiatru i niesionego nim piasku na skalne powierzchnie. Tutaj te same czynniki złobiły ściany i zaokrąglały krawędzie, co powodowało, że budowla nie różniła się zbyt od otaczających ją wydmi.

Nie było widać żadnych okien ani wejść do budynku. Na szczycie jednego ze skrzydeł Travis zauważył wgłębienie w piaszczystej wydmie, wyraźnie różniące się od powierzchni ukształtowanej przez wiatr. Wystarczyło to, aby przyciągnąć jego napiętą uwagę.

— Tutaj — rzekł niemal szeptem, zapominając, że jego głos dociera do pozostałych przez komunikator, a nie przez powietrze. Powoli, ostrożnie zaczął się zbliżać do dziwnego zagłębienia w piasku. Nie widział żadnych śladów, ale mimo to był pewien, że wgłębienie to powstało niedawno i to w wyniku świadomego działania, a nie kaprysu nocnego wiatru.

Okrążywszy wierzchołek innej wydmy, która wznosiła się przy murze na wysokość jego ramion, przekonał się, że miał rację. Widać było, że piasek został odrzucony i spiętrzony po obu stronach, jak gdyby jakieś drzwi w ścianie otwarły się, pchając piasek przed sobą.

— Oslaniaj go! — cień Ashe'a przeciął skąpą w słońcu powierzchnię wydmy; zaraz dołączył do niego drugi, rzucany przez Rossa. Ubezpieczony przez dwóch agentów, Travis rozpoczął dokładne badanie tego odcinka ściany.

Chociaż jego oczy nie dostrzegły żadnych różnic na zerodowanej powierzchni, gdy przesunął po niej dłońmi, okazało się, że nie jest ona jednorodna. Można było wyczuć zaczynający się na wysokości jego bioder pionowy pas niknący gdzieś pod piaskiem, różniący się nieco od reszty ściany. Travis próbował naciskać go, pchać, ciągnąć i napierać na niego całym ciałem w nadziei otwarcia hipotetycznych drzwi, jednak pobrużdżona powierzchnia nie ustąpiła. Mimo to był przekonany, że rzeczywiście odnalazł wejście do budynku.

W końcu opadł na kolana i próbował wepchnąć palce pod piach. W ten sposób znalazł przytrzaśnięty drzwiami kłębek sztywnych włosów. Używając noża i palców, zdołał go po dłuższej chwili uwolnić. Włosy były grube, grubsze niż futro znanych mu zwierząt, i z pięć razy dłuższe od włosów porastających ziemskie ssaki. Były szarobiałe, zlewające się z kolorem piasku tak dokładnie, że ich właściciel musiał być niemal niedostrzegalny na tle wydmi.

Dziwne włosy były też lepkie w dotyku i kleiły się do palców Trávisa, który nawet bez świadectwa swego nosa wiedział, że musiały wydzielać niemiły zapach. Zaniósł swe znalezisko Ashe'owi, z niesmakiem rosnącym po każdym kroku. Ashe ostrożnie schował je do jednej z kieszeni na swoim pasie.

— Czy są jakieś szanse, aby to otworzyć? — Ashe wskazał ukryte drzwi w ścianie.

— Nie sądzę — odparł Travis — prawdopodobnie są zamknięte od środka.

Uważnie przyjrzeni się budynkowi. Za nim, jak daleko sięgali wzrokiem, rozpościerało się bezkresne morze piasku, sięgające aż po widnokrąg, na którym poprzedniej nocy igrały płomienie. Jeśli mieli tu znaleźć rozwiązanie jakiejś zagadki, to powinni go szukać wewnątrz tego zamkniętego pudełka, a nie na bezkresnej pustyni.

— Ross, zostań tutaj. Travis, idź na drugi koniec skrzydła. Stój tak, abyś widział Rossa i mnie, bo będę się przesuwiał wzdłuż ściany.

Z takim samym skupieniem jak Travis, Ashe przesuwiał dłońmi po zniszczonej wiatrem

powierzchni, szukając śladów innych drzwi, które być może udałoby się otworzyć. Przeszedł wzdłuż całej ściany i wrócił w ten sam sposób. Niczego nie znalazł.

— Były tu kiedyś okna i drzwi, ale zostały zamurowane dawno temu. Moglibyśmy wydłubać jedno z nich, gdybyśmy mieli czas i odpowiednie narzędzia.

Głos Rossa dotarł do niego przez komunikator:

— A może by tak dostać się do środka przez dach?

— Jeśli się nie boisz — spróbuj!

Travis oparł się o ścianę, która tak zazdrośnie strzegła swych sekretów, i Ross wspinał się po niej jak po drabinie na dach. Gdy przeszedł przez krawędź, zniknął pozostałej dwójce z oczu, ale na polecenie Ashe'a na bieżąco mówił, co widzi, przez komunikator.

— Mało piasku... Myślałem, że będzie więcej... O! — w jego głosie zabrzmiało zdziwienie — tu coś jest! Okrągłe płytki poukładane w koła, wielkości mniej więcej ćwierćdolarówki. Są twarde i nie da się ich ruszyć.

— Metal? — zapytał Ashe.

— Nieee... — w głosie Rossa słychać było wahanie — wyglądają raczej jak szkło, ale nie są przezroczyste.

— Okna? — zasugerował Travis.

— Za małe — zaprotestował Ross — ale jest ich tu dużo... Są wszędzie... Czekać! — napięcie w jego głosie zaalarmowało obu mężczyzn na dole. — Czerwone! One się robią czerwone!

— Złaź stamtąd! Skacz! — ryk Ashe'a eksplodował w ich hełmach.

Ross posłuchał bez zastanowienia i wylądował wytrenowanym spadochroniarskim przewrotem na szczycie jednej z wydm. Inni podbiegli do niego, wciąż wpatrując się w dach niedostępnego budynku. Prawdopodobnie za sprawą jakichś właściwości swoich hełmów widzieli te promienie jako ledwo widoczne czerwone linie wznoszące się z dachu wysoko w niebo.

Skóra na odsłoniętych rękach Trávisa ścierpła i miał wrażenie, że w dłonie wbijają mu się setki szpileczek — zupełnie jakby ustało w nich krążenie. Ross szybko poderwał się z piasku i sprawnie się otrzepał.

— Co się dzieje? — w jego głosie przebijała ledwo uchwytna nuta obawy.

— Myślę, że... Chyba trochę fajerwerków, aby cię przestraszyć. Musimy założyć, że tego, kto mieszka wewnątrz, dla niespodziewanych gości nie ma w domu. Co więcej, ma kilka, być może nieprzyjemnych, gadżetów chroniących jego prywatność. Tym bardziej, że zastaliśmy jego, czy też jej, dom zamknięty.

Travis nie widział już cienkich, ognistych linii. Albo wyłączono zasilanie, albo promienie były teraz niedostrzegalne dla ludzkiego oka. Najpierw dziwne, twarde włosy, potem odpychający odór, a teraz to. Podświadomie czuł, że coś tu się nie zgadzało. Kłębek sierści mógł oczywiście zostać pozostawiony przez stróżującego psa, albo przez jego odpowiednik na tej planecie. Takie przypuszczenie potwierdzałoby dodatkowo niskie wejście do budynku. Ale jaki pies siedziałby przez wiele godzin w starannie wybranej kryjówce — najlepszej w całej okolicy — przyglądając się statkowi? Fakty nie pasowały do natury znanych mu zwierząt, lecz wskazywały raczej na działanie istot inteligentnych, a inteligencja oznaczała człowieka.

— Sądzę, że to są istoty nocne — rzekł nagle Ashe. — Pasowałoby to do wszystkiego, co dotychczas widzieliśmy. Blask tego słońca może być dla nich tak bolesny, jak byłby dla nas bez tych hełmów. Ale w nocy...

— Usiądziemy i poczekamy, co się stanie? — spytał Ross.

— Nic na zewnątrz. Przynajmniej dopóki nie wiemy więcej.

Travis w milczeniu kiwał głową. Fakt, że ktoś skrycie obserwował ich ostatniej nocy, nakazywał ostrożność. W jego mniemaniu ten świat był dużo bardziej groźny i przerażający niż stacja paliwowa. Jego pustka i niegościnnosć niosła z sobą grozę, której nigdy nie doświadczał na pustynnych terenach swej rodzinnej planety.

Trzej agenci wrócili do statku, wspięli się po drabinie i odetchnęli z ulgą, gdy pokrywa wjazdu zamknęła się nimi, odcinając ich od oślepiającego białego blasku, i mogli wreszcie zdjąć hełmy w niebieskawej poświacie wewnętrznego oświetlenia.

— Co widziałeś? — Ashe spytał Renfry'ego.

— Murdocka skaczącego z dachu, a potem jakieś czerwone linie, bardzo cienkie, strzelające z jego powierzchni. Co zrobiliście, nacisnęliście niewłaściwy dzwonek?

— Chyba kogoś obudziliśmy. Nie wydaje mi się, aby wizyta ta wyszła nam na zdrowie. Rety, co za smród! — zakończył Ross, pociągając nosem.

Ashe trzymał w palcach znaleziony przez Trávisa kłębek włosów, którego zapach był nie tylko wyraźnie wyczuwalny w zwykle bezwonnej atmosferze statku, ale wdzierał się do nozdrzy Ziemi.

Zanieśli znalezisko do małego pomieszczenia, które kiedyś mogło być kabiną dowódcy, a gdzie teraz Ashe zgromadził swoje materiały naukowe. Pomimo ohydny fetoru wszyscy zgromadzili się dokoła niego, gdy odrywał po jednym włosie i rozkładał je płasko.

— Te włosy... jakie grube! — zdziwił się Ross.

— Jeśli to są włosy. Ja bym się o to nie zakładał! Szkoda, że nie możemy tego zbadać. — Ashe nakrył je czystym kawałkiem papieru.

— Ten zapach... — Travis, pamiętając, jak trzymał cuchnące znalezisko, odruchowo wytarł rękę o udo.

— Tak? — zachęcił go Ashe.

— No... Wydaje mi się, że pochodzi po prostu z brudu, sir. A może częściowo dlatego, że włosy pochodzą ze stworzenia, którego nie znamy.

— Obcy metabolizm — kiwnął głową Ashe. — Każda ziemská rasa posiada specyficzny dla siebie zapach ciała, dużo łatwiej wyczuwalny dla człowieka innej rasy niż dla przedstawiciela tej samej. Ale do czego dążysz, Travis?

— Jeśli to pochodzi od jakiegoś... jakiegoś człowieka — użył tego słowa, bo nie miał innego — a nie od zwierzęcia, to powiedziałbym, że on żył w normalnym chlewie. To zaś oznaczałoby albo bardzo nisko rozwinięty, prymitywny gatunek, albo degenerata.

— Niekoniecznie — zaoponował Ashe. — Kąpiel wymaga wody, a nie widzieliśmy tutaj żadnego jej zbiornika.

— Pewnie, tu nie ma wody. Ale oni muszą jej trochę mieć. Myślę, że... — urwał, nie znajdując argumentów przemawiających za swoimi przecuciami.

— Możliwe. Mimo wszystko, dziś w nocy będziemy obserwować i zobaczymy, co wyjdzie z tej najeżonej pułapkami budowli.

Zdrzemnęli się podczas dnia, a Renfry jak zwykle czuwał w kabinie sterowniczej. Żaden z nich nie pojmował, dlaczego ich statek zatrzymał się na tej kupie piachu, a niegościnnosc tego miejsca podtrzymywała Renfry'ego w przeświadczeniu, że nie jest to jeszcze ich punkt przeznaczenia. Była to czysta logika: statek musiał pierwotnie wystartować z jakiegoś centrum cywilizacji, a to miejsce na takie nie wyglądało.

Blask słońca zgasł już i zmierzch zalegał nad ruchomymi wzgórzami piasku, gdy cała czwórka znów zebrała się przy włazie, aby obserwować budynek i przestrzeń pomiędzy nim a statkiem.

— Jak myślicie, jak długo będziemy musieli czekać? — zapytał Ross, przesuając się, aby lepiej widzieć.

— Wcale — odparł cicho Ashe. — Patrzcie! Zza wydmy zasłaniającej odkryte przez Trávisa niskie drzwi była bardzo słaba, czerwona poświata.

ROZDZIAŁ 11

Gdyby, tak jak poprzedniej nocy, po horyzoncie biegały krwawe płomienie, nie byłiby w stanie jej dostrzec. Teraz, o zmierzchu, wśród cieni wydm zasłaniających widok, blask był ledwo dostrzegalny. Ashe powoli liczył półszepcem. Gdy dotarł do dwudziestu, poświata nagle znikła, jakby zatrzaśnięto drzwi.

Travis wytrzymał wzrok, wpatrując się w wierzchołek zasłaniającej widok wydmy. Jeśli to coś, co szpiegowało ich poprzedniej nocy, wracało na swą poprzednią pozycję, najkrótsza droga wiodła przez ten punkt. Jak dotychczas jednak niczego nie zauważył.

Rozległ się bardzo cichy dźwięk, ale nadszedł on z przeciwnej strony, z otwartej pustyni. Potem podmuch suchego powietrza musnął mu policzek; wraz ze zmierzchem zrywał się wiatr. Szepczący dźwięk, który usłyszał, musiał pochodzić od przesypywania się piasku przy tym pierwszym podmuchu.

— Moglibyśmy schwytać jednego zwiadowcę — melancholijnie zauważył Ross.

— Ich zmysły mogą być czulsze niż nasze. Z pewnością, jeśli prowadzą nocny tryb życia, mają lepszy wzrok. Co więcej, możemy założyć, że są już podejrzliwi w stosunku do nas. Poza tym wolałbym wiedzieć nieco więcej o naturze stworzenia, na które mam zastawić pułapkę.

Travis tylko częściowo słuchał Ashe'a. Był pewny, że coś się poruszyło w piasku. Tak! Jego palce zacisnęły się na ramieniu starszego mężczyzny w geście ostrzeżenia. Plama cienia zsunęła się ze szczytu wydmy, kierując się prosto w stronę kryjówki. Czy szpieg usadowił się już na swym posterunku, skąd przez całą noc miał wpatrywać się w statek? A może tej nocy zamierzał — lub zamierzała — zbliżyć się bardziej do statku?

Zmierzch powoli przeszedł w noc. Wraz z nadejściem prawdziwej ciemności na widnokregu znów zatańczyły krwawe płomienie. Chociaż rzucane przez nie światło nie było jednostajne, rozjaśniało płaski teren na tyle, że ewentualny atak ze strony nieznanymi mieszkańcami planety zostałby zawczasu dostrzeżony przez obserwujących ludzi. Ziemianie wiedzieli jednak, że ze schowaną drabiną i włazem otwartym kilkanaście metrów nad ziemią nie muszą się obawiać ewentualnych prób zdobycia statku. Chyba że atakujący posiadali broń zdolną pozbawić ich tej przewagi wynikającej z odległości.

— Zamknijcie wewnętrzny właz śluzy — rzekł nagle Ashe. — Zgasimy światła statku i trudno im będzie wypatrzeć nas tutaj.

Zamknęli właz, błękitna poświata statku zgasła i czterej podróżnicy leżeli na podłodze śluzy, starając się nie przeszkadzać sobie nawzajem, oczekując na następny ruch szpiega — lub szpiegów — na dole.

— Tam — ostrzegł cicho Ross — na lewo, dokładnie na końcu ostatniej wydmy.

Zwiadowca był niecierpliwy. Ciemna plama, która mogła być jego głową, poruszyła się na tle białego piasku. Wiatr śpiewał dokoła statku, wzbijając w powietrze tumany pyłu. Aby ochronić się przed nim, ludzie nałożyli na głowy hełmy. Piaskowe wiry zdawały się jednak wcale nie przeszkadzać tubylcowi.

— Chyba jest ich więcej niż jeden — stwierdził Travis. — To poruszyło się zbyt daleko od miejsca, w którym widziałem pierwszy ruch.

— Może szykują się, aby rzucić się na nas? — zastanawiał się Ross.

O dziwo, nikt z Ziemian nie wyciągnął jeszcze blastera. Znajdowali się tak wysoko nad powierzchnią piasku, po której musieliby nadejść atakujący, a niemożność wspięcia się po gładkiej powierzchni statku była tak oczywista, że czuli się na swym posterunku całkiem bezpieczni.

Ciemny kształt rzucił się w kierunku kuli statku. Albo biegł zgięty niemal w pół — albo poruszał się na wszystkich czterech kończynach! Jeden z tańczących płomieni oświetlił go przez moment i obserwatorzy krzyknęli zdumieni.

Człowiek czy zwierzę? Stworzenie miało cztery długie odnóża, a jeszcze dwie dodatkowe kończyny sterczały mu z tułowia. Jego głowa była okrągła i biegnąc trzymał ją pochyloną, tak że nie byli w stanie dostrzec twarzy. Całe jednak ciało było pokryte włosami — ciemnymi włosami,

niepodobnymi do kłębka, który znalazł Travis. Nie dostrzegli ani śladu ubrania, ani żadnych oznak, że stwór jest uzbrojony.

Przez moment pędzący cień zastygł, wpatrując się w statek. Potem odwrócił się i pomknął z powrotem do swej kryjówki między wydmami. Ludzie dostrzegli następne, ledwo widoczne poruszenie, i tym razem biegnący stwór zlewał się barwą z otoczeniem.

— To od niego mogły pochodzić te włosy — stwierdził Ashe. — Z pewnością ten jest jaśniejszy od pierwszego.

— Mają różne barwy, ale są z grubsza tej samej wielkości — dodał Ross. — Czym one są?

— Z pewnością niczym z naszego świata. — Ashe był tego pewien. — Możemy jednak przyjąć, że są zainteresowane statkiem i próbują znaleźć jakiś sposób, aby dostać się do niego niezauważenie.

— Sposób, w jaki się poruszają... — rzekł Travis w zamyśleniu. — Jak gdyby bały się ataku... Muszą mieć jakichś wrogów.

— Wrogów kojarzących się z takim statkiem, jak nasz? — Ashe powiązał logicznie fakty z właściwą sobie szybkością. — Tak, to możliwe. Tylko wydaje mi się, że od bardzo dawna nie lądował tu żaden statek.

— Legendy przekazywane przez pokolenia...

— Legendy znaczyłyby, że oni są ludźmi! — dopiero po wypowiedzeniu tych słów Travis zdał sobie sprawę, jak bardzo myśli o ewentualnym pokrewieństwie z istotami z wydm napawała go odrazą.

— Mogą się uważać za ludzi — odparł Ashe — a my możemy uchodzić za potwory. Wszystko jest względne, synu. Tak czy inaczej nie sądzę, aby mieli o nas dobre zdanie.

— Czego bym nie dał za błyskawicę w odpowiednim momencie... — mruknął Ross melancholijnie. — Chciałbym się któremuś z nich naprawdę dobrze przyjrzeć...

Niestety, musiały im wystarczyć dostrzegane od czasu do czasu ruchy pomiędzy wydmami, ale nigdy nie mieli okazji dokładnie przyjrzeć się któremuś z krajowców.

— Wydaje mi się, że próbują obejść statek i zbliżyć się do niego za naszymi plecami — stwierdził Travis, zauważywszy co najmniej dwa dziwne stworzenia przemykające się w tamtą stronę.

— Nic im to nie da, to jest jedyne wejście do statku — stwierdził Ross autorytatywnie.

Jednak myśl o krajowcach podchodzących do statku z drugiej strony nie dawała Travisowi spokoju. Wszystkie odziedziczone po przodkach instynkty myśliwych i wojowników pustyni mówiły mu, że może to stanowić zagrożenie dla jego bezpieczeństwa, wszakże rozsądek przypominał, że do statku jest tylko jedno wejście i to bardzo łatwe do obrony. Wystarczyło zamknąć właz i nic nie byłoby w stanie ich osiągnąć.

— Czemu miał służyć ten postój? — zadał istotne pytanie Murdock w kilka chwil później. — Musiała być jakaś przyczyna, dla której statek tu wylądował. Czy powinniśmy coś znaleźć albo zrobić, zanim będziemy mogli znów wystartować?

Ta myśl kołatała im się w głowach już od dłuższego czasu, ale pytanie Rossa wydobyło ich obawy na światło dzienne. A jeśli rozwiązanie jest ukryte tam, w tym budynku, do którego nie było wejścia — chyba żeby zacząć się w nocy? Wejście w nocy, strzeżone przez te kudłate stwory, które widzą w ciemnościach i których terenem łowieckim jest ta planeta...

— Budynek?... — Travis postawił sprawę jasno. Poczul, jak Ashe drgnął za jego plecami.

— Być może — przyznał. — Jeśli zostaniemy tu dłużej, możemy spróbować przebić sobie drogę w dzień. Te blastery dają niezłą wiązkę energii, gdy się je ustawi na pełen gaz.

Nagle ręka Trávisa wystrzeliła do tyłu i zacisnęła się na ramieniu Ashe'a. Jego hełm był wprawdzie dociśnięty dla ochrony przed niesionym przez wiatr pyłem, ale ręka spoczywała na brzegu włazu; dzięki temu Travis poczuł ciche dudnienie niosące się po zewnętrznej powłoce statku. Pod wybrzuszeniem, które uniemożliwiała Ziemiąom bezpośrednie widzenie podłoża, coś rytmicznie uderzało w metalowe zewnętrzne poszycie statku — w jakim celu i z jakim skutkiem, tego nie mógł zgadnąć. Chwycił rękę Ashe'a i przycisnął jego dłoń płasko do metalu, aby on również poczuł dudnienie.

— Chyba stukają w statek — Travis zdał sobie sprawę, że słowa wypowiedane do komunikatorów nie docierają do uszu krajowców na dole. — Ale po co?

— Próbują zrobić dziurę?! — Ross nachylił się nad nimi. — Nie mają szans przebić się przez kadłub. A może? — Inni również podzielali jego obawę. Co w końcu wiedzieli o tubylcach i środkach, jakimi ci dysponują?

Za Travisem, oparta o ścianę śluzy, stała drabina. Apacz zastanawiał się, czy nie powinien wysunąć jej i zobaczyć, co nieznane istoty robią na dole. Uderzenia wydawały się przybierać zarówno na sile, jak i na częstotliwości. A gdyby jakimś cudem, albo przy użyciu jakiegoś nieznanego narzędzia, kudłatym stworom udało się przebić zewnętrzne pokrycie statku? Nie mieliby wówczas szansy ucieczki z tej zapomnianej pustyni.

Podjąwszy decyzję, zaczął wypychać drabinę na zewnątrz. Ashe chwycił go za rękę, ale Travis wyrwał mu się.

— Musimy zobaczyć! — krzyknął. — Musimy!

Ross i Ashe próbowali go naraz złapać i w wąskim pomieszczeniu zablokowali się wzajemnie na tyle, że Indianin zdołał przecisnąć się przez otwór i zejść jakieś dwa metry w dół po drabince. Wtedy poczuł, że drabinka znieruchomiała i zrozumiał, że pozostała dwójka trzyma ją, nie pozwalając jej opaść aż do ziemi.

Przywierając całym ciałem do drabinki i starając się trzymać jak najbliżej powierzchni statku, Travis spojrzął w dół. Tańczące na horyzoncie płomienie migotliwym światłem oświetlały rozgrywającą się tam scenę. Miał rację. Futrzaste stwory nie zauważone dostały się od tyłu pod statek i teraz stały stłoczone pod podstawą kuli. Nie był jednak w stanie stwierdzić, co też mogą one tam robić. I wtedy jeden z nich wstał ze swej zwykłej czworonożnej pozycji, po czym uniósł przednie kończyny. Wyrostki na jego tułowiu szarpnęły się, skrzyły w sposób, który sugerował, że są pozbawione kości i ciasno przylgnęły do statku.

Stwór podskoczył w powietrze i zawisł z tylnymi kończynami co najmniej dwadzieścia centymetrów nad ziemią. Najwidoczniej utrzymywały go macki przylegające do powierzchni statku, podczas gdy jego pięści, a być może pazury na przednich odnóżach, regularnie uderzały w statek. Nie przeszkadzało to stworzeniu piąć się powoli w górę, przesuwając macki po kulistym pokryciu statku. Dla Trávisa wyglądało to na zorganizowane szaleństwo.

Po chwili następny stwór uczepił się kadłuba mackowatymi wyrostkami i zaczął wolno piąć się w górę. Travis nie dostrzegł u tubylców nawet śladu broni — nic poza regularnie uderzającymi w statek pięściami. Nie miał zamiaru walczyć z nimi. Opisał całą sytuację Ashe'owi, który kazał mu wracać do środka. Wciągnęli drabinę, zamknęli właz, jakby przygotowywali się do odlotu i w końcu mogli zdjąć hełmy.

Nie docierały do nich ani odgłosy wspinaczki, ani nawet echo uderzeń pięści w kadłub. Travis nie wierzył jednak, aby obce istoty zaprzestały prób dostania się do statku, jakkolwiek ich wysiłki mogły się wydawać beznadziejne. Ziemianie wspięli się do sterówki, skąd dzięki kamerom mogli obserwować na ekranach teren na zewnątrz statku. Renfry wyglądał na zdziwionego.

— Nie rozumiem tego. Wciąż jestem przekonany, że to nie koniec naszej podróży. Nie umiem jednak powiedzieć dlaczego, ani dlaczego zatrzymaliśmy się akurat tutaj. Jeśli rozwiązanie znajduje się w tamtym budynku, będziemy musieli do niego wejść. Może użyjemy czegoś lepszego do otwarcia niż tych ręcznych blasterów.

Ross pierwszy zrozumiał, o co mu chodzi.

— Uzbrojenie statku!

— Może.

— Możemy go użyć? — chciał wiedzieć Ashe.

— No, jest mniej ściśle tajne niż reszta sprzętu dokoła. Pamiętajcie to? — pociągnął za dźwignię. Światła mrugnęły, a w powietrzu rozbrzmiało słowo z dawno zapomnianego języka. Było to wszystko, co udało im się odkryć podczas badania statku.

— Potrafisz z nich strzelać?

— Szef, mój szef, odkrył, że robi się to tym guzikiem — Renfry wskazał inny przycisk, którego jednak nie nacisnął. — Z tego co się domyślam, jeden z tych większych blasterów powinien po

prostu odciąć pokrywkę tego waszego sejfu. Możemy spróbować, kiedy tylko będziecie chcieli.

Ashe jednak drapał się po szczęce w ten roztargniony sposób, który znaczył, że nie podjął on jeszcze decyzji.

— Za dużo w tym wszystkim zgadywania. Nie wiemy, czy musimy rozwalić tę budowlę, aby móc wystartować. W sumie, jeśli ją rozwalimy i nie znajdziemy tego, czego nam potrzeba, nic nam to nie da. Życie tych istot musi zależeć od tego schronu. Jeśli go zniszczymy, zabijemy je tak samo, jakbyśmy wystrzelali je z blasterów. Być może nie są czymś lub kimś, z kim chcielibyśmy mieszkać, ale to jest ich świat, a my jesteśmy w nim intruzami. Wolałbym trochę poczekać, zanim spróbuję tak drastycznego rozwiązania, jak rozwalenie tego miejsca.

Nikt z nich nie zamierzał namawiać go do działania. Na zewnątrz płomienie tańczyły pod nocnym niebem, a do białego światła księżyca, który widzieli poprzedniej nocy, dołączył bardziej żółty blask mniejszego satelity podążającego w ślad za większym. Ekran nie dawał im jednak żadnych informacji o działalności mieszkańców wydm.

Ta przyszła nie ekranami, ale poprzez zaskakujące drgnięcie całego statku. Jak stworzenia na zewnątrz zdołały to osiągnąć? Być może, wyobrażał sobie Travis, dzięki masie wielu ciał uczipionych kadłuba z jednej strony. Kula statku odchyliła się od pozycji lądowania. I być może to włączyło systemy kontroli lotu, gdyż w powietrzu rozbrzmiały nagle znane im już ostrzeżenia o zbliżającym się starcie.

— Nie! — zaprotestował Renfry. — Nie możemy! Jeszcze nie... Jeszcze nie wiemy dlaczego...

Ale silniki, których Ziemia nie rozumieli i nie próbowali kontrolować, nie uległy temu beznadziejnemu sprzeciwowi. Być może ich postój był ograniczony tylko limitem czasowym — pełną dobą planetarnego czasu. A być może chodziło o dziwny atak włóchatych istot.

Te istoty... Czy odcepiają się w porę od statku i uciekną od niego ostrzeżone jego narastającym drzeniem? Czy też będą ślepo trzymać się powłoki, aby statek wyniósł je w czarną kosmiczną przestrzeń?

Ziemia niechętnie przygotowali się do startu: przypięli się pasami bezpieczeństwa do foteli, oczekując na zapłon silników i skok w hiperprzestrzeń. Znów wyruszyli w nieznane i nie znali nawet czasu trwania swej podróży.

Ten start różnił się jednak od poprzednich. Travis odczuł pierwszą zmianę w zwykłej procedurze. Start nie był tak gwałtowny, albo był już do niego przyzwyczajony, nie tak jak ostatnim razem. Obyło się bez większych sensacji. Po chwili usłyszał zdziwiony głos Renfry'ego:

— Chyba nie weszliśmy w hiper! Co się stało?

Odpięli się i wstali, wpatrując się w ekran ukazujący widok na zewnątrz. Renfry miał rację. Zamiast całkowitej ciemności, która zamykała się dookoła nich podczas dalekich skoków międzygwiazdnych, widzieli teraz malejącą kulę pustynnej planety, jej barwy zmieniały się, gdy się od niej oddalali.

— Musimy lecieć do innej planety tego samego układu — rzekł Ashe. Gdy upłynęło kilka godzin, przekonali się, że miał rację. Statek najwidoczniej kierował się w stronę trzeciej planety okrążającej to nieznane słońce.

— Czy odwiedzimy je wszystkie? — niefrasobliwie zastanawiał się Ross. — Jeśli tak, to po co? Dostawa mleka?

Minęło kilka dni. Jedli nieznane jedzenie i jak lunatycy snuli się po statku, nie mogąc nawet na chwilę skupić uwagi na czymś innym niż ekran monitora w kabinie sterowniczej. Szóstego dnia pojawiły się oznaki rychłego lądowania.

Na ekranie ich cel okazał się niebieskozieloną kulą o jaskrawym odcieniu, znaczoną tu i ówdzie oranżem lub czerwienią. Kontrastujące ze sobą żywe barwy przyciągały wzrok, stanowiąc miłą odmianę po wizycie na białoszarej pustyni. Ponieważ w sterowni znajdowały się tylko trzy fotele, pociągnęli losy, aby bezstronnie wybrać tego, który będzie musiał opuścić pomieszczenie i przeczekać lądowanie w innej kajucie, bez możliwości obserwowania ekranu. Dlatego Travis leżał teraz w swojej koi w centrum kuli statku i zastanawiał się, jakim kłopotom będą musieli stawić czoła.

Tym razem lądowali w świetle planetarnego dnia. Travis uwolnił się z przytrzymujących go

pasów i slaniając się pod wpływem obecnej znowu grawitacji, dotarł do drabinki i po niej do sterowni, gdzie jego towarzysze za pomocą kamery oglądali nowy świat.

— Nie!...

Zniszczone wieże stacji paliwowej sterczały prosto w niebo, ale ani trochę nie przypominały tej, którą zobaczyli teraz. W bezchmurne, lekko różowe niebo wznosiła się opalizująca kopuła, poznaczona łagodnie wijącymi się liniami, które pięły się spiralnie, tworząc delikatną, skrzącą się siateczkę. Wydawało się niemożliwe, aby konstrukcja ta została wzniesiona ręką człowieka.

Porwaną siateczkę... Przyjrzawszy się wznoszącym się hakom, Travis zauważył przerwy, które szpeciły idealny wzór. Mimo tych uszkodzeń fantastyczne piękno budowli oraz gra światła i kolorów zapierały dech w piersiach. Kopuła wznosiła się pośród roślinności o delikatnym, niebieskim odcieniu, wyraźnie różnej od flory jego ojczystej planety.

Ulistnione gałązki falowały łagodnie, jak gdyby poruszane delikatnymi podmuchami, a pomiędzy nimi tu i ówdzie wyzierały inne barwy. Owoce? Kwiaty?

Renfry odciągnął ich uwagę od scenerii, której piękno wydawało się wręcz nierzeczywiste, ku bliższym im sprawom.

— Spójrzcie!

Stał przed głównym panelem sterującym, ściskając oparcie fotela pilota tak mocno, że napięte mięśnie jego ramion drżały z wysiłku. Panel ożył! Na ich oczach rozbłysły światła sygnalizujące gotowość uzbrojenia statku. Było coś jeszcze: linia małych światełek, biegnąca nierówno przez rzędy dźwigni i przycisków. Na ich oczach rozbłyskały kolejne lampki, a dokoła nich wyskakiwały wciśnięte dotąd przyciski i opadały wzniesione dźwignie. Ostatni rozbłysk pochodził z punktu, który Travis mógłby nakryć kciukiem. Wówczas odskoczyła jakaś klapka, a spod niej wypadł mały, podobny do monety kawałek czerwonego metalu, który brzęcząc potoczył się po podłodze.

Renfry odzyskał przytomność umysłu i skoczył, aby go złapać. Podnosząc się z podłogi, trzymał go w dłoni jak coś niezwykle cennego.

— Koniec drogi! — obrócił się w ich stronę, a w jego oczach błyszczało podniecenie. — To port docelowy! A ja chyba trzymam taśmę z zapisanym kursem!

Nie mogło być innego wytłumaczenia wydarzeń, których byli świadkami. Trasa wytyczona przez umierającego człowieka osiągnęła swój kres. W niewielkim kawałku metalu, który Renfry trzymał w zaciśniętej pięści, był ukryty nie tylko sekret ich przybycia, ale także powrotu. Jeśli mieli kiedykolwiek znowu postawić stopę na swej ojczystej planecie, musieli wpierw odkryć zasadę działania tego dysku.

Wzrok Trávisa przesunął się z zaciśniętej pięści technika z powrotem na zewnętrzny ekran. Widniały na nim kołysane delikatnymi podmuchami ukwiecone gałęzie otaczające opalizującą budowlę wznoszącą się w niebo o różowawym odcieniu. Najbliższa przyszłość wydawała się w tej chwili bardziej fascynująca niż ta nieco bardziej odległa.

Ashe czuł chyba to samo, gdyż podszedł do wewnętrznej drabinki. Stanął nad studnią i, odwracając głowę do tyłu, rzucił przez ramię:

— Wychodzimy, teraz.

ROZDZIAŁ 12

Być może było to niegdyś szerokie lądowisko, ale już dawno pokryło się gęszczem roślinności. Z masy roślin zmiażdżonych przez lądujący statek unosił się zapach życia, częściowo korzenny, częściowo kwaśny.

Ziemianie nie założyli hełmów, gdyż nie było to konieczne. Powitał ich blask słońca nie bardziej jaskrawy, niż wczesnym latem w umiarkowanej strefie ich własnej planety, a lekki wietrzyk podrywający płatki kwiatów i liście spod ich stóp nie niósł suchego pustynnego piasku.

Teraz, gdy ich widoku nie ograniczało wąskie pole widzenia ekranu na statku, mogli łatwo dostrzec inne przerwy w dziewiczym gęszczu roślinności. Opalizującej wieży towarzyszył drugi budynek o kształtach tak różnych, jak różna była pustynna planeta i ten kipiący życiem świat. Masywne czerwone bloki o geometrycznych kształtach nie mogły być wytworem tej samej twórczej wyobraźni, ani tej samej rasy, ani wieku.

Za nim zaś stał jeszcze jeden, o kształtach ostrych jak noże i szarych ścianach udekorowanych gdzieniegdzie wąskimi oknami nadającymi całej konstrukcji wrażenie tajemniczości. Miała ona wysoko sterczący w górę dach wykonany z jakiegoś matowego materiału, po którym pięły się girlandy pnączy, a nawet niewielkie drzewa. Już na pierwszy rzut oka można było stwierdzić, że jest on wytworem zupełnie innego umysłu i epoki niż baśniowa kopuła czy masywne bloki.

— Dlaczego?... — Ross powoli obracał głowę, przenosząc wzrok z jednej budowli na drugą. Wszystkie one były wysokie, wznoszące się prosto w niebo, i wszystkie miały dolne piętra ukryte w porastającej je roślinności.

Travis cofnął się myślami w przeszłość, która po ostatnich wydarzeniach wydawała mu się nieco zamazana. W jego świecie również istniały miejsca, gdzie miniatura wioski Zuni stała obok chaty Siuksów czy wigwamu Apaczów.

— Muzeum? — było to jedyne wytłumaczenie, jakie nasuwało mu się na myśl.

Twarz Ashe'a była blada pod ustępującą już opalenizną. Myśląc intensywnie, patrzył na trzy niezwykle konstrukcje.

— Albo stolica, gdzie każda ambasada została wybudowana w stylu swej planety.

— A teraz wszystko to jest wymarłe... — dodał Travis. Była to niestety prawda. To miejsce było równie opustoszałe jak stacja paliwowa.

— Być może stolica galaktycznego imperium. Ile tu się można nauczyć! To skarbiec... — Ashe oddychał szybko. — Mogą tu spoczywać skarby tysięcy światów.

— A kto się kiedykolwiek o tym dowie albo przejmie się tym? — Ross wzruszył ramionami. — Co nie znaczy, że nie pójdę tam ich szukać — zastrzegł się prędko.

Travis zamarł. Coś poruszyło się w splątanej masie roślinności, gdzie przy lądowaniu statek przygniół kilka przypominających paprocie drzew, pociągając za nimi inne, splecione z nimi przez pnącza. Uważnie patrzył na chwiejące się, potrząskane gałęzie. Coś żywego próbowało się dostać z miejsca odległego może o dwadzieścia metrów od statku do ściany stojącej wciąż roślinności, a jego ruchy zdradzały kołyszące się i szeleszczące gałęzie. Sądząc po liczbie chwiejących się gałęzi, uciekająca istota musiała być dosyć duża.

Czy to czołgające się, niewidoczne stworzenie zostało zranione przez miażdżone drzewa? Czy próbowało teraz uciec jak najdalej, aby móc w spokoju umrzeć? Travis wyteżał słuch, pragnąc usłyszeć coś poza szelestem liści. Jeśli jednak uciekinier był ranny, nie uskarżał się na to. Zwierzę? A może coś innego? Coś równie obcego, jak podglądacze z wydm, coś więcej niż zwierzę, a jednocześnie różniące się od człowieka?

— Nie widać go — szepnął Ross. — Nie mogło zbyt mocno ucierpieć, nie ruszałoby się tak energicznie.

— Możemy chyba założyć, że ten świat nie jest tak pusty, jak mógłby wyglądać na pierwszy rzut oka — stwierdził Ashe oschle. — A co z tymi?

„Te” nadleciały cicho, unosząc się nad polaną utworzoną przez lądujący statek. Raz czy dwa poruszały cienkimi jak jedwab skrzydłami, aby utrzymać się w powietrzu, ale ich uwaga była

skupiona głównie na statku.

Czym były? Ptakami? Owadami? Latającymi ssakami? Travis niemal mógł uwierzyć, że cztery małe stworzenia stanowiły dziwną kombinację wszystkich trzech gatunków. Ich długie, wąskie skrzydła, niemal przezroczyste i mieniące się barwami tęczy przypominały skrzydła owadów. Ich ciała były jednak wyposażone w trzy nogi; dwie przednie, mniejsze, kończące się trzema pazurkami wyrostkami każda, i trzecią, dłuższą, z której wyrastały jeszcze lepiej wykształcone pazury. Ich głowy sprawiały wrażenie, że są umieszczone bezpośrednio na ramionach, bez dostrzegalnej szyi, i były okrągłe z wierzchu, zwężające się ku dziobowi. Ich oczy — czworo! — sterczały na krótkich wypustkach, dwoje ku przodowi, a dwoje w tył. Ich trójkątne ciała okryte były pluszowym futerkiem o chłodnym, bladobłękitnym odcieniu.

Powoli, w cichej, namaszczonej procesji, dryfowały w kierunku statku. Drugi w linii wyłamał się z szyku i zanurkował w kierunku ziemi. Jego tylne szpony zacisnęły się na złamanej gałęzi i tęcze skrzydła złożyły się za plecami, podobnie jak u ziemskiego motyla.

Dwa ostatnie w linii przeleciały dwukrotnie przed włazem, po czym zatoczyły koło i odleciały w stronę wierzchołków drzew. Przywódca jednak zbliżył się i zawisł, uderzając od czasu do czasu skrzydłami, aby utrzymać się w powietrzu, dokładnie przed wejściem do statku.

Jego szypułkowate, błękitne oczy pozbawione były wyrazu. Żaden z czterech Ziemian nie odczuwał zagrożenia, jak to było przy spotkaniu z nocnymi mieszkańcami pustyni. Czymkolwiek była ta latająca istota, nie mogli uwierzyć, aby była agresywna lub stanowiła dla nich zagrożenie.

Renfry pierwszy wyraził wrażenie, jakie na nich wszystkich wywarło uskrzydłone stworzenie:

— Śmieszny mały, co? Chciałbym go zobaczyć bliżej. Jeśli one wszystkie są takie jak ten tutaj, nie mamy się czego obawiać.

Trudno było stwierdzić, dlaczego technik mówił o skrzydlatej istocie „on”. Stworzenie było jednak wystarczająco atrakcyjne, aby przyciągnąć ich skoncentrowaną uwagę. Ross pstryknął palcami i wyciągnął rękę w jego stronę.

— Tutaj, mały — powiedział miękko. Błyszczące błękitne oczy mrugały w miarę jak szypułki poruszały się, gdy latający stwór wolno przybliżał się do włazu. Nie podleciał jednak tak blisko, aby Ziemianie mogli go dotknąć. Zawisł przed nimi na długą chwilę. Następnie, skrząc się wszystkimi kolorami tęczy, wzbił się w niebo, a jego partner wystartował z gałęzi i dołączył do niego. Po kilku sekundach oba stworzenia zniknęły, jakby nigdy ich nie było.

— Myślicie, że są inteligentne? — Ross spoglądał w ślad za znikającymi w oddali stworami, a na jego twarzy odbijało się rozczarowanie.

— Możemy tylko zgadywać — odparł Ashe. — Renfry — zwrócił się do technika — masz teraz taśmę z kursem. Potrafisz ją cofnąć na początek?

— Nie wiem. Chciałbym mieć instrukcję obsługi... Albo chociaż jakiś przewodnik. Myślisz, że można tu znaleźć coś takiego?

— Czemu tak się spieszymy, aby stąd odlecieć, szefie? Ledwo się tu dostaliśmy, a to mi wygląda na niezłe miejsce na wakacje. — Ross nieco uniośł głowę, aby spojrzeć na kopułę, która opalizowała w promieniach słońca.

— Właśnie dlatego — odparł Ashe cicho. — Tu jest zbyt dużo pokus.

Travis zrozumiał. Dla Ashe'a pociąg do tych czekających budynków, do wiedzy, którą mogły zawierać, musiał być niemal nie do przezwyciężenia. Mogli odkładać prace na statku w nieskończoność zafascynowani tym światem i jego sekretami. On sam odczuwał tę samą pokusę, choć z pewnością w mniejszym stopniu. Zanim pochłonie ich wszystkich, muszą walczyć z pragnieniem zanurzenia się w zielonej dżungli, wycięcia sobie drogi do opalizującej kopuły i przekonania się na własne oczy, jakie cuda zawiera.

Dla Ashe'a pokusa rzeczywiście była niesłychanie silna. Musiał się jej oprzeć, przekonany, że gdy raz całym sercem poświęci się eksploracji, nie zdoła jej przerwać. W dodatku teraz Renfry dostarczył im wymówki, aby uczynić to pod pozorem szukania pomocy w rozwiązywaniu zagadki ich trasy.

W godzinę później trzech Ziemian opuszczało statek; Renfry pozostał w nim na straży. Używając najmniejszej mocy swych blasterów, wycinali sobie drogę w gąszczu roślinności. Travis

zerwał kwiat o pięciu szerokich, żłobionych, nieco pomarszczonych na czubkach płatkach koloru ciemnokremowego, ku środkowi kwiatu przechodzącego w oranż. Po kilku sekundach trzymania w dłoni płatki drgnęły i na oczach Apacza zaczęły się zwijać, aż w końcu zamiast kwiatu trzymał w dłoni zamknięty pąk. Mimo to nie chciał go wyrzucić; jego kolor był zbyt piękny, a aromat zbyt fascynujący. Wetknął krótką łodyżkę do jednej z kieszeni przy pasie, gdzie kwiat nie czując już ciepła jego ręki ponownie się rozwinął. Nie wyblakł on ani nie zwiął pomimo krótkości swej łodyżki.

Teraz, gdy nie byli wystawieni na bezpośrednie promienie słońca, Ziemianie czuli, że powietrze jest chłodne, wilgotne, wypełnione ciężkim aromatem bujnie rozwijającej się flory. Nie, żeby zapachy te były nieprzyjemne. Przeciwnie, były miłe. Żywiczne wonie walczyły z zapachem kwiatów i ostrzejszą wonią ziemi, gdy ich stopy przedzierały się przez warstwy martwych liści.

— O rany! — Ross machnął dłonią przed twarzą, jak gdyby chciał wzbudzić zamarty ruch powietrza. — Co to jest? Fabryka kosmetyków?! Czuję się, jakbym przekopywał się przez jakąś tonę róż! Ashe rozpogodził się trochę, kiedy opuścili statek. — Czuję też — pociągnął nosem i kichnął — parę cebulek i może trochę gałki muszkatolowej.

Travis oddychał płytko. Kilka minut temu z przyjemnością zaciągnął się aromatycznym powietrzem. Teraz coraz bardziej pragnął podmuchu wiatru niosącego delikatną woń szaławii i sosnowych igieł zamiast tych ciężkich, przytłaczających zapachów.

Dżungla ciągnęła się aż do opalizującej budowli. Sama kopuła wznosiła się dużo wyżej, niż wydawało im się ze statku. Ziemianie przedzierali się wzdłuż ściany, szukając wejścia, które gdzieś musiało być, chyba że wszyscy mieszkańcy kopuły mieli skrzydła. Ku ich zaskoczeniu — gdyż na wyższych kondygnacjach widzieli wiele okien, z których niektóre wychodziły na niewielkie, otwarte balkony — najniższy poziom nie posiadał w ogóle żadnych otworów. Były tu tylko panele, osadzone w rzeźbionych ramach i wyraźnie odcinające się od jednolitych bloków opalizującego materiału. Każdy z tych paneli pokryty był świetlistą mozaiką, nie tworzącą żadnego rozpoznawalnego wzoru, na której jedna barwa płynnie przechodziła w inne.

Wycinając sobie drogę przez poszycie, Ziemianie dotarli do końca ściany. Budowla była duża; zajmowała powierzchnię przeciętnego ziemskiego bloku mieszkalnego. Za rogiem zaś znaleźli drzwi, otwierające się na szczycie kręconej rampy. Rzeźbiony portal zajmował prawie całą wysokość pierwszej kondygnacji i był otwarty. Wyglądał jak wykonany z zastygłej koronki, od której gdzieś odłupano małe kawałeczki.

Zatrzymali się niezdecydowanie. Oprócz westchnień wiatru, szmeru ocierających się o siebie liści i cichych świergotów i pisków niewidocznych mieszkańców zielonego świata rozciągającego się u stóp rampy, wszędzie panowała cisza — cisza zapomnienia.

Ashe powoli wstąpił na rampę; jego miękkie buty nie powodowały nawet najłżejszego szelestu. Wchodził po łagodnie nachylonej powierzchni niemal niechętnie, jak gdyby naprawdę nie chciał się dowiedzieć, co czeka na niego w środku.

Travis i Ross podążyli za nim. W zagłębieniach rampy zebrały się sterty martwych liści, a jeszcze więcej wiatr naniósł ich do wnętrza budowli przez otwarte wejście. Przedarli się przez nie i znaleźli się w hallu, którego wysokość zapierała dech w piersiach. Wznosił się nad ich głowami tak wysoko, że gdy próbowali podążać wzrokiem za wspinającą się po jego wewnętrznej ścianie spiralną galerijką, rychło zakreśliło im się w głowach. Całą zaś olbrzymią konstrukcję przykrywała potężna, opalizująca w słońcu kopuła. Przeświecające przez nią słońce malowało tęcze wzory na ścianach i galeryjce wspinającej się wzdłuż ścian, od której na każdej kondygnacji odchodziły korytarze.

Wewnątrz nie było śladu jaskrawych barw, którymi płonęły mozaiki na zewnątrz. Gama kolorów została tu ograniczona do miękkich, niewyraźnych cieni, przy gaszonego fioletu, miękkiej zieleni, przykurzonego różu, beżu...

— ...czterdzieści osiem, czterdzieści dziewięć, pięćdziesiąt! Co najmniej pięćdziesiąt korytarzy wzdłuż tej galerii — Ross mówił cicho, głosem niemal przechodzącym w szept, a mimo to dziwnie zniekształcone echo tego pomruku wróciło do nich. — Skąd zaczynamy? — Teraz jego głos był zdecydowanie mocniejszy, jakby wyzywał to echo i ciszę panującą dokoła.

Ashe pozostawił ich, przeszedł przez wielki hali i sięgnął obiema rękami do jakiejś niszy. Gdy podbiegli do niego, zobaczyli, że trzyma w dłoniach małą statuetkę wyrzeźbioną w szarofioletowym kamieniu. Podobnie jak błękitne latające stwory, była ona zaskakująco podobna do znanych im żywych istot, a jednocześnie jako całość tak zdecydowanie obca.

— Człowiek? — zastanawiał się Ross. — Zwierzę?

— Totem? Bóg? — dopowiedział Travis z własnej wiedzy i doświadczenia.

— Być może wszystko naraz — podsumował Ashe — ale na pewno jest to dzieło sztuki.

Tego każdy z nich był pewien od momentu, gdy zobaczyli obcą figurkę, nawet jeśli postać, którą ona przedstawiała, stanowiła dla nich zagadkę. Stała ona wyprostowana na dwóch szczupłych tylnych kończynach, które kończyły się stopami o długich, wąskich, zakrzywionych palcach. Ciało, również szczupłe, ale z wyraźnie zaznaczoną talią i szerokimi ramionami, dość wyraźnie przypominało ludzkie; dwie ręce obcej istoty wznosiły się ku górze, jak gdyby zamierzała ona skoczyć w górę. Uczyniłaby to z większym powodzeniem niż ci, którzy obecnie podawali sobie statuetkę z rąk do rąk. Z jej ramion sterczały miękko wyglądające, skórzaste skrzydła, niezbyt różniące się od tych, które mają ziemskie nietoperze.

Najmniej ludzka była głowa, w swej brzydocie wydająca się Ziemianom niemal groteskowa. Uwagę przyciągały wielkie, szpiczaste uszy i twarz jakby stłoczona na małej powierzchni. Oczy tkwiły głęboko w oczodołach pod masywnymi łukami brwiowymi, zaś nos był po prostu pionową szczeliną ponad ustami, których cienkie wargi odsłaniały użyteczny i przerażający garnitur kłów. Mimo swej brzydoty posążek nie wydawał im się ani odpychający, ani przerażający. Wyrzeźbione stworzenie nie było okryte czymkolwiek, co mogłoby uchodzić za ubiór istoty inteligentnej, a jednak żaden z nich nie wątpił, że obca rzeźba nie miała przedstawiać zwierzęcia.

Fioletowy kamień był gładki i chłodny w dotyku, gdy zaś Travis ustawił posążek w smudze światła padającej przez jakiś otwór w kopule, statuetka rozbłysła jak oszlifowany diament. Wyraziste rysy wyrzeźbionej postaci kontrastowały z abstrakcyjnymi wzorami pokrywającymi zewnętrzne ściany i przypominającymi żłobienia na kopule i dookoła wejścia.

Ross przeciągnął palcem wewnątrz niszy, w której Ashe znalazł figurkę, znacząc wyraźny ślad w pokrywającym jej dno pyłe. Jak długo uskrzydłona postać stała tam nietknięta?

Ashe przycisnął swe znalezisko do piersi i ruszyli dalej — nie w górę spirali, ale do pierwszych drzwi na najniższym poziomie. Leżące za nimi pomieszczenie okazało się jednak puste, oświetlone jedynie przez słońce przebijające gdzieś wysoko przez szczeliny w kopule. Szli więc dalej, przez kolejne puste pomieszczenia, bez śladu tych, którzy niegdyś tu mieszkali — jeśli był to budynek mieszkalny, a nie budowla publicznego użytku. Wyglądało to tak, jakby mieszkańcy opuszczając to miejsce ogołocili je ze wszystkich sprzętów i urządzeń, zapominając jedynie o małej statuetce w hallu.

Gdy wyszli z ostatniego pomieszczenia, Ross westchnął i oparł się o ścianę.

— Nie wiem, co wy o tym sądzicie — obwieścił — ale ja na wdychałem się przez ostatnią godzinę więcej kurzu, niż wynosi moja dzienna norma. Śniadanie też było już dość dawno. Chyba przerwa na kawę, gdybyśmy mieli kawę, dobrze by nam wszystkim zrobiła.

Nie mieli kawy, ale wyruszając ze statku wzięli ze sobą sporo owego pianistego napoju. Siedząc teraz obok siebie pod ścianą popijali go z pojemników i przegryzali „kukurydzianymi” ciastkami, zabranymi jako zapas żywności.

— Miło byłoby mieć coś świeżego do jedzenia — mruknął Travis rozmarzonym głosem. Ich raczej monotonna dieta z zapasów statku pozwalała zaspokoić głód, ale specjalnie nie odpowiadała gustom Ziemian. Wyobraził sobie stek skwierczący na patelni i wszystko, co towarzyszyłoby mu na ranczo.

— Może coś z kopytami, tam, na zewnątrz — Ross, mając obie ręce zajęte, wskazał brodą kłębowisko zieleni, które mogli dostrzec z ich obecnego miejsca pobytu. — A gdyby tak zapolować...

— Co ty na to? — podekscytowany Travis odwrócił się do Ashe'a. — Spróbujemy?

Starszy agent jednak nie wyglądał na zachwyconego tą propozycją. — Nie zabiłbym... Dopóki bym nie wiedział, co zabijam.

Przez chwilę Travis nie rozumiał, lecz w końcu znaczenie tego raczej dwuznacznego stwierdzenia do niego dotarło. Skąd mieli wiedzieć, czy ich zwierzyzna nie była... człowiekiem! Albo tutejszym odpowiednikiem człowieka? Wciąż jednak miał apetyt na stek, i gdy znów o nim pomyślał, jego żołądek niemal skręcił się w pół.

— Idziemy w górę? — Ross wstał. — Jeśli tak, zajmie to nam cały dzień. Wydaje mi się jednak, że ta szafka jest pusta.

— Być może. — Ashe ułożył nietoperzowatą figurkę na zgiętym przedramieniu. — Możemy rzucić okiem na parter tego czerwonego bloku na północ stąd.

Znów przedzierali się przez jednolitą ścianę mchu, trawy, drzew i pnączy, tym razem w kierunku monolitycznej, czerwonej budowli. Również tutaj zastali otwarte drzwi, nie szersze niż szpary pełniące rolę okien, jak gdyby zniechęcające do wejścia do środka.

— Chyba ci, którzy wybudowali to miejsce, nie za bardzo lubili sąsiadów — skomentował Ross. — Byłby to całkiem niezły fort, gdyby takiego potrzebować. Tamta kopuła była szeroko otwarta.

Travis dochodził już do drzwi, zawahał się przez chwilę, po czym przestąpił przez próg. Zaraz potem zamarł.

— Kłopoty!

Jednym ruchem wyszarpnął blaster i przygotował go do strzału. Przed nim rozpościerał się szeroki hall, podobny do tego wewnątrz kopuły. O ile tamten był pusty i czysty, ten wyglądał zdecydowanie inaczej.

Podłoga została podzielona wysokimi, może na dwa metry, przegrodami na wiele pomieszczeń o różnych kształtach i rozmiarach. Stojąc w jednym, nie widziało się wnętrza innych. Nie to jednak ostrzegło Travisa, a wiadomość, którą odebrał jego nos.

Woń nocnych stworzeń na pustyni nieco przypominała ten zapach. Był to fetor legowiska, i to długo używanego; woń rozkładu, odór obcego ciała, wyschniętej i gnijącej roślinności i zwierzęcych odchodów. Coś się tu gnieździło.

Dziwnego drapieznika zdradziła niecierpliwość. Poprzez cienie rozległ się niski, gardłowy pomruk, podobny do tego, jaki wydaje kot podchodzący nieświadomą niczego ofiarę.

Travis obrócił się w miejscu. Ujrzał skulony kształt balansujący na szczycie przegrody i wiedział, że zamierza on właśnie rzucić się na niego. Podrywając blaster, nacisnął spust, odskakując jednocześnie w bok.

Strzał dosięgnął napastnika w powietrzu. Prerażający wrzask wściekłości i bólu odbił się echem od masywnych ścian budowli. Młócaca wokoło kończyzna o ostrych pazurach wyrznęła Travisa w udo, odrzucając go od drzwi do środka mrocznego pomieszczenia. W tym momencie Ross i Ashe wpadli do środka, roznosząc pełną mocą blasterów kotłującą się i miauczącą istotę, usiłującą ponownie rzucić się na Apacza.

Czymkolwiek było, stworzenie obdarzone było niezwykłą żywotnością. Dopiero połączona siła ognia trzech blasterów sprawiła, że legło nieruchomo. Travis opuścił broń i drżąc podniósł się na nogi. Zdawał sobie sprawę, że gdyby nie ów ułamek sekundy, który zyskał dzięki owemu pomrukowi, byłby teraz martwy albo tak poszarpany, że błagałby o śmierć.

Pokuśtykał z powrotem do drzwi; jego noga i udo zdrętwiały od siły uderzenia, ale gdy je obmacał, okazało się, że kombinezon jest nietknięty, więc raczej nie było otwartej rany.

— Dostało cię? — Ashe podszedł do niego, chwycił za ramię i oglądał uważnie. Wciąż drżący Travis skrzywił się pod naciskiem badawczych palców tamtego.

— Tylko uderzyło. Co to było?

Ross podniósł się znad dymiących szczątków stwora.

— Po tej dawce, jaką otrzymało, możemy już tylko zgadywać. — Rzeczywiście, blastery nie zostawiły dużo do identyfikacji. Niewątpliwie jednak stworzenie było sześcionożne, pokryte futrem i mięsożerne, miało jakieś dwa metry długości, a kły i pazury proporcjonalne do swej wielkości.

— Szablożab, lokalna osobliwość — podsumował Ross.

Ashe wskazał głową na zewnątrz.

— Proponuję wykonać strategiczny odwrót. Może one polują w nocy, ale mimo to wolałbym nie spotkać się z takim w dżungli.

ROZDZIAŁ 13

— Myśleliście, że obejdzie się bez niemiłych niespodzianek? — Ross bębnił po stole pokrytą bliznami ręką, a z jego oczu wycierało rozbawienie, choć usta się nie uśmiechały. — Pozwólcie, że powiem wam coś z własnego doświadczenia: właśnie wtedy, gdy wszystko wydaje się łatwe i proste, za zakrętem czeka jakaś pułapka.

Travis potarł obolałe udo. Dobre samopoczucie Rossa go drażniło. Gdy przemyślał niedawną bitwę, doszedł do wniosku, że rzeczywiście był trochę zbyt pewny siebie, wchodząc do tego czerwonego budynku, ale nie uczyniło go to bardziej podatnym na ukrytą krytykę Rossa — jeśli to była krytyka.

— Wiecie — Renfry wyłonił się z korytarza i zwrócił się do Ashe'a — te niebieskie latające dziwadła wracały dwukrotnie, gdy was nie było. Podleciały prawie do służy, ale nie do środka.

Travis wzdrygnął się na wspomnienie ich szponów.

— To całkiem możliwe — stwierdził.

— Wtedy — ciągnął Renfry, nie zwracając uwagi na Apacza — tuż przedtem, zanim wróciliście, znalazłem to, w służy.

„To” z pewnością było czymś więcej niż tylko osobliwością miejscowej flory, jaką podmuch wiatru mógłby przynieść do wnętrza ich statku. Trzy zielone liście pokryte żółtymi żyłkami spięte razem mniej więcej trzycentymetrowymi kolcami w rożek wypełniony owalnymi, bladzielonymi przedmiotami wielkości paznokcia.

Może były to owoce, nasiona albo jakiś rodzaj ziaren. Instykt mówił Travisowi, że nadają się one do jedzenia. Jasne było też, że stanowią dar — gest przyjaźni — ze strony błękitnych, uskrzydłonych stworzeń. Ale dlaczego? W jakim celu?

— Nie widziałeś, jak któreś z nich to zostawia? — spytał Ashe.

— Nie. Poszedłem do służy i już tam było. Jeden z przypominających nasiona przedmiotów wypadł z paczuski i potoczył się po stole. Travis lekko przycisnął go palcem i kulisty kształt rozprysnął się gwałtownie, podobnie jak robi to zbyt dojrzały agrest po naciśnięciu. Niewiele myśląc, podniósł lepki palec do ust. Nieziemski owoc był kwaśny, a jednocześnie słodki i aromatyczny jak mięta lub podobne jej zioła.

— Jednak to zrobiłeś — stwierdził Ross. — Cóż, teraz będziemy się przyglądać, jak dostaniesz czerwonej wysypki albo zrobisz się cały zielony i zaczniesz się kurczyć. — Słowa te zostały wypowiedziane jego zwykłym, pełnym rozbawienia tonem, ale przebijał z nich żar, którego Travis nie rozumiał. Chyba, że jeszcze raz Ross uznał, że Apacz zaryzykował zbyt dużo, podejmując ten nieprzemyślany eksperyment.

— Miły zapach — odparł niewzruszony, sięgając po następny owoc. Włożył go do ust i dokładnie rozgryzł. Jagoda, nasiono, czy cokolwiek to było, nie zaspokoilo jego apetytu na świeże mięso, ale przynajmniej nie był to kolejny koncentrat ani potrawa z puszek Obcych, a dziwny smak nawet przypadł mu do gustu.

— Wystarczy! — Ashe wyrwał mu torbę z liści wraz z zawartością. — Nie będziemy więcej tak niepotrzebnie ryzykować.

Kiedy jednak Travis nie odczuwał żadnych ujemnych efektów swej próby, podzielili podczas kolacji resztę zawartości torby między siebie, delektując się świeżym aromatem po tygodniach spędzonych na kosmicznej diecie.

— Może udałoby się kupić tego trochę więcej — zaczął Ross rozmarzonym głosem. Po chwili gwałtownie podskoczył na swoim niewygodnym fotelu i wyprostował się.

Ashe wybuchnął śmiechem.

— Cały czas zastanawiałem się, kiedy w końcu to do ciebie dotrze.

Ross wyszczerzył zęby.

— Czy nie mogłeś po prostu zapytać. Myślisz, że już nie mam oleju w głowie? Dobra, jesteśmy więc znowu handlarzami. Nigdy nie miałem okazji wypróbować swoich umiejętności w epoce Beakerów, za dużo rzeczy wciąż nam przeszkadzało.

Travis cierpliwie czekał, aż mu wszystko wytłumaczą. Była to jedna z tych sytuacji, gdy ich wspomnienia z przeszłości uświadamiały mu, iż tylko przypadek sprawił, że jest tu z nimi.

— W tym całym bałaganie, który zrzuciliśmy na kupę, aby go później obejrzeć, powinno się znaleźć parę rzeczy, które mogłyby przyciągnąć ich uwagę. — Ross obszedł Ashe' a i wyszedł z kabiny. — Rozejrzę się w nich.

— Handel, tak? — pokiwał głową Renfry. — Słyszałem, że podczas podróży w czasie często się tym zajmujecie.

— To doskonały pretekst, jeden z najlepszych, jakie są. Handlarz może się swobodnie poruszać po świecie. Dziwny akcent w mowie, jego zwyczaje, jego ubiór mogą być doskonale wytłumaczone jego zawodem. Wiadomo, że przybywa on z daleka, więc nie może znać wszystkich członków plemienia. Poza tym handlarz szybko zbiera wiadomości. Tak, handel był kamuflażem, którego Projekt używał od początku.

— Byłeś handlarzem, gdzieś w przeszłości? — zapytał Travis.

Ashe chętnie opowiadał o swoich poprzednich przygodach, podchwycił więc pytanie:

— Słyszeliście kiedyś o plemieniu Beakerów? To byli handlarze w sam raz dla nas! We wczesnej erze brązu mieli placówki od Grecji po Szkocję. Tak wędrowałem przez dawną Brytanię i później nad Bałtykiem. To był interes! Mój pierwszy partner mógłby się wycofać jako milioner...

— Ashe urwał, a jego twarz znów stężała, ale Travis zadał następne pytanie:

— Dlaczego tego nie zrobił?

— Rosjanie namierzili nasz posterunek w tamtej epoce. Zrównali go z ziemią. Nabawili się przy tym kłopotów, bo jednocześnie ujawnili zamiary na swoją własną placówkę. — Można było odnieść wrażenie, że omawia jeden z suchych faktów w raporcie... Dopóki nie spojrzano się w jego oczy.

Travis wiedział, że Ross jest niebezpieczny; teraz przekonał się, że gdyby tylko zaszła taka potrzeba, Ashe mógłby prześcignąć swego młodszego podwładnego w bezwzględnym działaniu. Ross wszedł do mesy z pełnymi rękoma. Rozłożył na stole wybrane przez siebie przedmioty, aby mogli wspólnie się nad nimi zastanowić.

Był tam kawał materiału — pierwotnie przeznaczony może na szarfę — który znaleźli w jednej z kabin załogi. Zielona wstęga obrzeżona była wąskimi paskami żywej purpury; oba kolory były wystarczająco jaskrawe, aby przyciągnąć uwagę. Były tam też cztery kawałki rzeźbionego drewna, wyłożonego masą koralową i okrytego złotymi cętkami. Przedstawiały one stylizowane liście paproci albo ptasie pióra — przynajmniej to przypominały Ziemianom. Ashe przypuszczał, że mogą to być pionki do jakiejś gry, ale nie udało im się znaleźć planszy ani innych pionków. W końcu była też płytką, która w tak tajemniczy sposób mogła odtworzyć zamiary swego poprzedniego właściciela. Ashe odsunął ją na bok, kręcąc przecząco głową.

— Ona jest zbyt ważna. Poza tym za pierwszym razem nie powinniśmy być zbyt hojni. Mamy w końcu niewiele do zaoferowania. Spróbuj z szarfą i dwoma pionkami.

— Położyć je w szluzie? — spytał Ross.

— Chyba nie. Nie ma potrzeby ośmielać gości. Spróbuj wybrać jakieś miejsce na dole.

Wprawdzie Ashe przekazał inicjatywę Rossowi, ale poszedł z nim. Travis zamierzał iść za nimi, ale ostry ból w posiniaczonym udzie zmusił go do skorzystania z regenerującego siły żelu. Dokuśtykał do „kołyski”, zdjął ubranie, wyciągnął się w niej, krzywiąc się przy tym z bólu, i spróbował się odprężyć.

Musiał się chyba zdrzemnąć, gdy lecznicza galareta wchłaniała go w siebie, odczytując potrzeby jego organizmu, gdyż ocknąwszy się ujrzał Rossa próbującego go dobudzić.

— W czym problem?

Ross nie dał mu czasu na protesty.

— Ashe zniknął! — Jego kamienna twarz nie wyrażała żadnej emocji, ale w oczach błyszczały piekielne ogniki.

— Zniknął?! — otepienie spowodowane leczniczą kąpielą nie pomagało Travisowi w szybkim myśleniu. — Gdzie zniknął?

— Tego właśnie musimy się dowiedzieć. Ruszaj się!

Travis ubierał się szybko. Jego bóle i siniaki znikły. Ross wepchnął mu w dłonie pas z blasterem.

— Opowiedz mi wszystko — zażądał Apacz.

— Wyszliśmy na zewnątrz... Znaleźliśmy odpowiedni kamień. Było tam kilka tych latających stworzeń, obserwowały nas i poczekaliśmy chwilę, żeby zobaczyć, czy wylądują. Gdy nie chciały lądować, Ashe stwierdził, żebyśmy lepiej się ukryli, jak byśmy chcieli iść dalej do budynków. Ashe obszedł zwalone drzewo — widziałem, jak idzie. Mówię ci — widziałem go! Wtedy zniknął! — Ross był najwidoczniej zbyt wstrząśnięty, aby zachować swój zwykły spokój.

— Pułapka ziemna? — Była to pierwsza myśl, jaka przyszła Travisowi do głowy, gdy szybkim krokiem szli do śluzy. Był tam Renfry, który w pośpiechu przygotowywał dwie linki z jedwabistej plecionki; nie była ona grubsza od wełny do robienia na drutach, ale, jak już się przekonali, posiadała niewiarygodną wytrzymałość. Umocowani w ten sposób do statku mogli po cichu przeszukać otoczenie statku, pozostając jednocześnie w kontakcie z nim.

— Przeszukałem tam każdy centymetr ziemi — powiedział Ross przez zaciśnięte zęby. — Nic większego od dziurki po robaku. W jednej chwili był tam — a potem go nie było!

Przywiązali końce linek do uchwytów w śluzie, po czym, pozostawiając Renfry'ego na straży, zeszli na zdewastowany teren dokoła statku, gdzie zieleń blakła już w promieniach słońca chylącego się ku zachodowi. Ciemność utrudniałaby im poszukiwania. Musieli poruszać się szybko i znaleźć jakiś ślad, zanim zapadnie zmrok.

Ross poszedł pierwszy, balansując na pniu zwanego drzewa, aż dotarli do korony podobnej do gigantycznej kępy paproci, teraz połamanych i zmiażdżonych.

— Był dokładnie tutaj.

Travis miękko zeskoczył na usłaną zerwanymi liśćmi ziemię. Ostry zapach lepkiego soku w połączeniu z ciężkimi woniami kwiatów i liści przyprawiał go o mdłości. Ross miał rację. Na sporej powierzchni grunt został oczyszczony z roślinności i nic nie wskazywało na to, aby ziemia pod nią została naruszona. Dostrzegł ślad stopy o okrągłych palcach, ale był on identyczny z odciskiem jego własnej nogi w mchu i mógł go zostawić zarówno Ross, jak i Ashe. Ponieważ jednak był to jedyny możliwy trop, Apacz skierował się w kierunku, w którym prowadził.

Kilka sekund później, na skraju placu, Travis zauważył coś jeszcze: pień innego drzewa, pozostałość po prawdziwym leśnym gigancie. Nie został on powalony przez lądujący statek, ale leżał tam wystarczająco długo, aby przykryły go spadające liście i aby porósł czerwonym mchem i pleśnią.

W tym mchu odcisnęły się jeszcze dwa ślady: głęboko wryte bruzdy, jak gdyby ktoś się zapierał przeciw ciągnącej go sile. Ashe? Ale w jaki sposób został schwyty, tak że Ross ani nie widział, ani nie słyszał?

Travis przeskoczył przez zwalone drzewo. To, co ujrzał, utwierdziło go w jego przekonaniu. Następne ślady również były odcisnięte głęboko w pokrywie pleśni. Za nimi jednak nie było nic! Żadne żywe stworzenie nie byłoby w stanie przejść po tym miękkim podłożu, nie zostawiając śladu. Wydawało się, że w tym miejscu Ashe rozpląnął się w powietrzu.

Powietrze! To, czego szukali, musiało się znajdować nie na ziemi, a w powietrzu! Travis zawołał Rossa. Dokoła nich wznosiły się wysokie drzewa; drzewa, których pierwsze paprociowate gałęzie wyrastały z gładkiego pnia na wysokości co najmniej pięciu metrów. W gałęziach szumiał wiatr, ale nie udało im się dojrzeć żadnego szczególnego ruchu. Spomiędzy drzew wyłoniło się jedno z błękitnych latających stworzeń i zawisło nad Travisem, przypatrując mu się uważnie swoim czworgiem oczu. Te stworzenia... może one porwały Ashe'a? Nie mógł w to uwierzyć. Człowiek o wadze i sile Ashe'a, z całą pewnością opierający się ze wszystkich sił — tak przynajmniej wskazywały bruzdy w miękkim mchu — nie mógłby zostać uniesiony w powietrze, chyba że przez duże stado błękitnych stworzeń działających w zorganizowany sposób. Apacz był jednak przekonany, jakby to widział na własne oczy, że Ashe zniknął albo w powietrzu, albo w koronach drzew.

— Jak oni go unieśli? — zastanawiał się Ross. Wydawał się przekonany wyjaśnieniem Trávisa.

— A potem — ciągnął agent — gdzie go, do licha, zabrali?

— Te ślady prowadzą w stronę przeciwną niż ta, w której leżą trzy najbliższe budynki —

zauważył Travis. — Transportowanie więźnia mogło ich zmusić do podróży najkrótszą drogą do ich kryjówki... Szybkość znaczący więcej niż dyskrecja.

— A to oznacza wypad w głąb dżungli — Ross niechętnie obrzucił wzrokiem gąszcz drzew, lian i krzewów. — Jest jeszcze jedna sztuczka... Daj mi swój pas. Pokazywali nam to podczas szkolenia... Dobrze, stare podstawy. — Wziął pas Trávisa i spiął go ze swoim, a następnie spróbował opasać nimi pień drzewa, który jednak okazał się zbyt gruby. Ross odwiązał linkę łączącą go ze statkiem, uciął jej kawał i połączył go ze spiętymi pasami. Tym razem wystarczyło. Ross przypiął się do pnia i powoli zaczął się wspinać po gładkim pniu, na którym pozostały rysy i nacięcia, jakby ślady walki.

Wachlarzowate gałęzie zatrzęsły się, gdy do nich dotarł.

— Tu jest rozwiązanie! — krzyknął w dół. — Przez ten konar przerzucono linę... Wyrwała brudę w korze. Poza tym... No taak... Nie są tacy sprytni, albo nie sądzą, że my jesteśmy. Tu jest droga, którą możemy pójść, po gałęziach. Chodź sam i zobacz!

Pętla ze sznura i pasów spadła na ziemię i z kolei Travis przypiął się do pnia i zaczął wspinać. Szło mu to znacznie wolniej niż Rossowi, ale w końcu dotarł do pierwszych gałęzi. Dalej poszło już łatwiej i wkrótce dołączył do swego towarzysza stojącego wśród gałęzi. Murdock trzymał w dłoniach inną linę: miękką, zieloną, niemal nie do odróżnienia od rosnących dokoła pnączy.

— Udajesz Tarzana — Ross potrząsnął liną dla większego efektu — przeskakujesz na tamto drzewo, prawdopodobnie znajdziesz tam następną linę, i tak dalej. Cały czas jednak nie pojmuję, jak oni ciągnęli Ashe'a ze sobą. Chociaż — oczy zwężyły mu się — może poczekali, aż wrócę do statku po ciebie. Travis obejrzał linę.

— Jeśli ją tu zostawili, może to oznaczać tylko jedno...

— Chcą wrócić? — Ross skinął głową. — Mogą mieć jakieś mądre plany wyciągania nas po kolei. Kim jednak są ci „oni”? Na pewno nie te niebieskie latające...

— One mogą pełnić funkcję ich psów. — Travis próbował nie patrzeć na ziemię pod sobą, gdyż konary, na których stał, nie napępiały go pewnością siebie.

— A te owoce były przynętą — zgodził się Ross. — To pasuje. Owoce miały nas wywabić ze statku, a te ważki zameldowały, że wyszliśmy. Wtedy cap! i jednego już mają. Tylko że Ashe nie zamierza długo zostać więźniem.

— To też może być pułapka — przypominał mu Travis. Gdy jednak szarpnął za linę, przekonał się, że jest dobrze zamocowana gdzieś w gałęziach nad ich głowami.

— Zgadza się. Znajdziemy jakiś sposób.

— W nocy? — Słońce zaczynało już zachodzić. Travis bardzo chciał wyruszyć, ale również zdawał sobie sprawę, że zdrowy rozsądek przyda im się bardziej niż wypad na oślepa w dżunglę.

— Noc... — Ross zerknął na zachodzące słońce. — One poruszają się w dzień. I wysoko w koronach drzew.

— Co wskazuje, że istnieją ważkie powody, dla których nie należy wędrować po ziemi albo w ciemnościach — Travis czuł się już nieco zmęczony mówieniem. — Nasz przyjaciel z czerwonego domu może być jedną z tych przyczyn. Co proponujesz?

— Wracamy do kopuły... Na samą górę. Dokoła kopuły biegnie galeria. Stamtąd możemy się rozejrzeć.

Travis mógł się z tym zgodzić. Musieli jeszcze przekonać Renfry'ego. Jego żądanie, aby tym razem mógł im towarzyszyć, Ross odparował, wskazując, że z całej grupy tylko Renfry posiadał wiedzę, a przynajmniej część wiedzy, która mogła oznaczać przejęcie kontroli nad statkiem, a więc i nad ich przyszłością. Jeśli zaś chcieli wyruszyć na poszukiwanie Ashe'a przed nocą, trzeba było zlokalizować jakieś punkty odniesienia, którymi mogliby się kierować podczas wędrówki przez dżunglę.

Przedzierali się przez ścieżkę, którą wycięli rano. Gdy przechodzili przez niewielkie polanki, Travis spoglądał w niebo, oczekując podświadomie, że pojawi się któryś z błękitnych „lotników”. Żadnego jednak nie zauważyli.

Ross szybkim krokiem dotarł do wejścia do kopuły. Zwolnili jednak tempo, wspinając się pod górę, mijając pięć poziomów, potem szósty, siódmy, ósmy, dziewiąty i w końcu dziesiąty. Z całego

budynku nie dobiegł nawet najbliższy dźwięk; nic nie zakłócało głuchoj pustki fantastycznej budowli.

W końcu dotarli do zewnętrznej galerii; był to wąski parapet biegnący dokoła całej kopuły, osłonięty może półtorametrową, rzeźbioną balustradą. Przybierający na sile wiatr rozwiewał ich włosy i dziwnie gwizdał w otworach w kopule. Ross poszedł pierwszy. Skierował się do miejsca, z którego rozciągał się nie zakłócony niczym widok w kierunku, w którym skierowali się porywacze Ashe'a.

Ujrzeni jeszcze inne budynki, albo ich resztki, wznoszące się z bujnie rozrośniętej roślinności. Niektóre z nich były mniejsze od kopuły, na której stali, trzy lub cztery — bardziej oddalone — wydawały się wyższe. Te wyższe budowle były do siebie podobne, co sugerowało, że są wytworami tego samego stylu architektonicznego.

Ross wskazał na jedną z nich.

— Jeśli kierowali się ku najbliższemu budynkowi, musiał to być ten. — Murdock spojrział wzdłuż swojego wyciągniętego palca, jak gdyby to była lufa pistoletu.

Travis próbował zanotować w pamięci wszystkie możliwe punkty orientacyjne — chociaż prawdopodobnie z poziomu ziemi większość z nich nie byłaby widoczna.

— To będzie na prawo od tego przypominającego lejek dachu, a na lewo od tego zgrupowania bloków. Wygląda, że to parę kilometrów drogi stąd.

Można było wyciąć sobie drogę po ziemi — blasterami. Taka akcja jednak z pewnością obwieściłaby ich przybycie. Jeśli chcieli zlokalizować wroga — zakładając, oczywiście, że wróg rzeczywiście gnieździł się w budowli, którą wskazał Ross — musieli poruszać się powoli, skrycie i nie w prostej linii. Takie zaś podchody nie mogły odbywać się w nocy.

— Jest sposób, aby to sprawdzić — stwierdził Ross, jakby myśląc na głos. — Jeśli zostaniemy tu do zmroku, przekonamy się.

— Jak?

— Światła. Jeśli zobaczymy tam jakieś światła, będzie to dowód.

— Mała szansa. Musieliby być głupcami, żeby używać światła.

— Mogłaby to być następna pułapka — zaproponował Ross — kolejna przynęta, aby nas zwabić.

— To tylko domysły. Skąd możemy wiedzieć, jak działają ich umysły? Nie wiemy nawet, czym są. Nie podobali nam się ci, którzy pierwsi nosili te uniformy — Travis pociągnął za błękitny materiał opinający jego klatkę piersiową. — Jeśli to ich ojczysta planeta, czy nie byłiby w stanie igrać z nami, tak jak z tobą, dzięki kontroli umysłu?

— Spójrz tam! — Ross zatoczył ręką koło, wskazując morze niezakłóconej zieleni i sterczące z niego pojedyncze budowle. — Cokolwiek mieli, jest już martwe, od dawna. Może oni też już wymarli... albo cofnęli się do stadium prymitywnej egzystencji. Jeśli są prymitywni, Ashe potrafi nimi manipulować; był w tym szkolony. Widziałem go w działaniu. Daj mi tutaj godzinę po zachodzie słońca. Jeśli nie zobaczymy światła, pójdę...

Travis wyjął swój blaster. Ciemność, a nawet głęboki zmierzch, mogły obudzić do życia różne istoty śpiące dotychczas na ich trasie. Potrafił jednak zrozumieć punkt widzenia Rossa, a poza tym mieli dobrze wytyczoną powrotną drogę do statku.

— W porządku.

Powoli spacerowali wzdłuż galeryjki, czekając na nadejście nocy. Naliczyli jeszcze co najmniej pięćdziesiąt budynków wznoszących się z kipiącej życiem dżungli, fantastycznych, nieprawdopodobnych, niektóre z nich zdawały się przeczyć prawom grawitacji. Za nimi wznosiły się inne, wysokie, smukłe, podobne do siebie. Może to one były przedstawicielami stylu tej planety, zaś inne ambasadami, przykładami transgalaktycznej architektury, jak sugerował Ashe? Jeśli nie wszystkie z nich zostały ograbione, jakie bogactwo wiedzy leżało...

Okrzyk Rossa wyrwał Trávisa z zamyślenia. Za ich plecami wciąż widać było część tarczy słońca pogrążającego się za horyzontem. Mimo to podejrzenie Rossa się sprawdziło. Obaj wyraźnie dostrzegli błysk na pierwszej z odległych wysokich wież. Odległe światło mrugało nieregularnie.

Czy była to przynęta mająca ich wciągnąć w pułapkę?

ROZDZIAŁ 14

Narada wojenna odbyła się wewnątrz statku. Zewnętrzny właz został zamknięty na noc — prosty środek ostrożności, którego nauczyli się w pustynnym świecie.

— Ciężko będzie iść prosto w tamym kierunku przez tę płataninę — zauważył Renfry. — Spodziewają się, że to zrobicie.

— Czasami najszybsza droga wiedzie naokoło, nie prosto — zgodził się Ross. Wpatrywał się w rozłożoną przed sobą mapę, którą narysowali na kawałku materiału z zapasów Obcych, zaznaczając krzyżykami i kwadracikami różne budynki, jakie zauważyli z kopuły. — Spójrzcie. Tutaj zgromadzone są te wysokie wieże. Ale tu, i tu, i tu, są inne budynki. Przypuśćmy, że skierujemy się ku temu, który wygląda jak przerośnięta barylka na olej; za nim pozostaną te bloki. Ten, który nas interesuje, jest między nimi. A więc, do tego lejka, później za nim do grupy bloków i cofniemy się. Jeśli przekonamy ich, że po prostu przeszukujemy wszystkie budowle w tym kierunku, da nam to trochę czasu. Dojdziemy gdzieś tu — jego palec dotknął powierzchni zaimprovizowanej mapy — i wtedy zrobimy w tył zwrot i pognamy tak szybko, jak damy radę. — Rozejrzył się wyzywająco. — Macie jakiś lepszy pomysł?

Renfry wzruszył ramionami.

— To twoja impreza, ty masz doświadczenie w tego typu rzeczach. Tym razem ja jednak idę z wami.

— I pozwolimy jakiemuś dowcipnisiowi zająć statek za naszymi plecami? — dopytywał się Ross. — Mają na nas oko... Muszą mieć, skoro tak szybko wyciągnęli naszego przywódcę. On nie jest nowicjuszem, pamiętajcie o tym. Widziałem go w akcji.

— Przez wierzchołki drzew... — powiedział Travis w zamyśleniu. — Jeśli to ich zwykły sposób podróżowania, to może jest to następny punkt na naszą korzyść. Gdy już zagłębimy się w dżunglę, będziemy mieli cały czas osłonę przed nimi. Nie są w stanie obserwować nas cały czas przez gałęzie.

— Więc obaj się zdecydowaliście? — Renfry wciąż studiował mapę.

Ross wstał.

— Nie zamierzam pozwolić im na porwanie nam dowódcy i spokojne z nim odejście. A im prędzej wyruszymy, tym lepiej dla nas.

Ross zgodził się jednak poczekać do świtu, zanim wyruszą w dżunglę. Do tego czasu zdążyli przetrząsnąć cały statek w poszukiwaniu jakichś rzeczy, które mogłyby im się przydać. Obaj zapięli pasy z blasterami. Oprócz tego przez ramię przerzucili sobie po zwoju cienkiej linki, a ze swych łowieckich przebrań postanowili zatrzymać kamienne noże. Były wprawdzie kruche, ale dobrze obrobione ostrza mogły być zabójcze w bezpośrednim starciu. Dodatkowo nieśli po niewielkim plecaku wypełnionym jedzeniem i piankowymi opakowaniami.

Renfry nie zgadzał się, aby znów zostać na statku. Musiał jednak przyznać, że skoro nie można było zamknąć włazu z zewnątrz, to na statku powinien zostać strażnik. Nalegał jednak na odbezpieczenie uzbrojenia kosmolotu. Gdy więc dwaj pozostali ludzie zeszli po drabinie na ziemię w pierwszych promieniach wschodzącego słońca, z kulistej powłoki statku wysunęły się złowrogie, czarne paszcze miotaczy.

Dwaj wędrowcy zmieniali się w wycinaniu ścieżki. Gdy było to możliwe, starali się przeciskać przez zarośla, oszczędzając w ten sposób energię blasterów. Prowadził Travis, gdy przebili się przez paprocie do zielonego tunelu.

W ziemi wykopano tu płytkie koryto, wewnątrz którego grunt dokładnie ubito. Pierwszy rzut oka powiedział Travisowi, do czego służyło to przejście — szlak dla zwierząt, wiodący do wody albo ku ulubionym pastwiskom. Widać było, że jest często używany, i to od dłuższego czasu.

Były tu okrągłe tropy z wąskimi dziurkami po szponach dokoła nich, odciski kopyt z tak głęboką rysą, że same kopyta musiały chyba być prawie rozdzielone na dwoje, a ponadto mniejsze odciski, nie dające się zidentyfikować.

— Ten szlak prowadzi we właściwym kierunku. Pójdziemy nim? — Travis sam się nad tym

zastanawiał. Z jednej strony znacznie przyspieszyłoby to ich marsz, a szybkość mogła być istotna. Często używany szlak jednak zapewniał nie tylko drogę dla zwierząt, ale również przyciągał inne stworzenia polujące na takich podróżnikach.

Ross przeszedł kilka metrów po wąskim trakcie. Droga, choć wiała się i skręcała, to prowadziła w stronę lejkowatej budowli, będącej ich pierwszym celem.

— Pójdziemy — zdecydował.

Ruszyli szybkim krokiem przed siebie. Travis słyszał wokół odgłosy życia, jakie kwitło za zasłoną splątanej roślinności — świergoty, piski, czasem ostry skrzek. Nie ujrzał jednak ani jednego ze zwierząt, od których pochodziły te dźwięki.

Ścieżka zstępowała w płytki kanion. Na jego dnie strumyk leniwie szemrał na brązowozielonym żwirze, a nad ich głowami rozpościerało się otwarte niebo. Tam właśnie zaskoczyli rybaka.

Ręka Trávisa zacisnęła się na kolbie blastera, po czym znów opadła. Tak jak błękitne „ważki”, ten dziwny mieszkaniec nieznanego świata nie sprawiał wrażenia wroga. Stworzenie było wielkości dzikiego kota i w jakiś sposób przypominało ziemskiego kota. Miało przynajmniej okrągłą głowę z dość szeroko osadzonymi oczami. Jego uszy jednak były niewiarygodnie długie, ostro zakończone, ze sporymi kępkami... piór na czubkach. Pióra! Latające stworzenia okryte były futrem i posiadały owadzie skrzydła; ten rybak, najwidoczniej stworzenie naziemne, porośnięty był dla odmiany puchatymi piórami o tym samym niebieskozielonym odcieniu, co otaczająca go roślinność. Gdyby nie przykucnął na skałce na otwartym terenie, z pewnością nie zostałby zauważony.

Jego tylne kończyny wydawały się masywne, gdy na nich kucał. Dwie pary znacznie cieńszych i dłuższych przednich łap przytrzymywały bezwładną zdobycz, którą łowca metodycznie oskubywał z rzędów delikatnych kończyn przy pomocy zębów i pazurów. Kiedy zwierzę wyczuło obecność Ziemiań, zaczęło wpatrywać się w Trávisa z widocznym zainteresowaniem, nie wykazując ani śladu strachu ani złości spowodowanych jego nagłym pojawieniem się.

Apacz zbliżył się nieco, a stworzenie uwolniło jedną ze swoich przednich łap, wciąż trzymając łup pozostałymi trzema, aby gestem, bardzo przypominającym kocią toaletę, strzepnąć kilka oderwanych kończyn ze swego upierzonego brzucha. Następnie, przyciskając swój posiłek do brzucha środkową parą odnóży, efektywnym susem skryło się w odległych o dobrych kilka metrów zaroślach.

— Królik, kot, sowa, czy co tam jeszcze... — skomentował Ross. — Mimo wszystko się nie bało.

— Co znaczy, że nie ma żadnych wrogów, w każdym razie takich, którzy by nas przypominali. — Travis wpatrywał się w zieloną kępę, w której zniknął niezwykle rybak. — Tak, wciąż się nam przygląda, stamtąd — dodał półszepem.

Obecność upierzonego łowcy w jakiś sposób obiecywała bezpieczeństwo na drodze. Travis znalazł początek szlaku po drugiej stronie strumienia. Nie czuł się już osaczony, wchodząc do zielonego tunelu, chociaż paprociowate gałęzie znowu zamknęły się nad ich głowami, przesłaniając otwarte niebo.

Dokoła nich wciąż rozbrzmiewały odgłosy intensywnego życia zwierzęcego. Dwukrotnie natknęli się na ślady świadczące o tym, że jakiś myśliwy — lub myśliwi — wykorzystywali tunel jako swój teren łowiecki. Raz była to kępka puchatej, szarej sierści, zboczzonej lekko różową krwią, następnie sterta kremowych piór i poszarpane kawałki skóry.

W końcu wyszli na otwarty plac przed lejkowatym budynkiem. Otaczała go kamienna palisada w kształcie wachlarza, porośnięta wprawdzie czerwonym mchem, lecz nie wchłonięta jeszcze w całości przez dżunglę, która niknęła gdzieś za budowlą. Jeśli chcieli trzymać się planu Rossa, musieli teraz ponownie zanurzyć się w dżunglę i przebijać sobie drogę przez plątaninę gałęzi, liści i pnączy. Przedtem jednak, na użytek ewentualnego obserwatora, przeszli przez omszone ogrodzenie i skierowali się do budynku, jak gdyby zamierzali przeszukać jego wnętrze. Dostanie się do środka okazało się nie takie proste. Wejście zagraadzała krata z tego samego niezniszczalnego materiału, z jakiego wykonane było ogrodzenie. Przez jej pręty dostrzegli część wnętrza budowli. Budynek ten był skąpo umeblowany, gdyż na podłodze widać było stertę najróżniejszych przedmiotów, niegdyś okrytych rozpadającymi się teraz opakowaniami.

Ross, z twarzą przyciśniętą do kraty, zagwizdał cichutko z podziwem.

— Powiedziałbym, że przygotowywali się do przeprowadzki, tylko że ciężarówki nigdy nie przyjechały. Szef będzie chciał się tu włamać, może tu być coś wartego zabrania.

— Lepiej najpierw zabierzmy jego — Travis stał na szczycie czterech szerokich schodów prowadzących do zagrodzonych kratą drzwi. Widział teraz wieżę, która była ich ostatecznym celem, choć przypominające paprocie drzewa zasłaniały jej pierwsze kilka pięter. Nie dostrzegł żadnych oznak życia wokół niej, nic nie poruszało się w żadnym z otworów okiennych. Pamiętał jednak mrugające światło o zmierzchu.

— W porządku. Dostaniemy się tam! — Ross odszedł od kraty. Zamaszystym gestem wskazał nie cel, do którego zdążali, a prostopadłościenny budynek za nim.

Musieli teraz wycinać sobie drogę, używając blasterów i rąk do odrzucania na bok odciętych gałęzi. Co pewien czas napotykali polanki świadczące o tym, że niegdyś runęło tam jakieś większe drzewo, oczyszczając kawałek przestrzeni z gałęzi i krzewów. Ciężko dysząc i powłócząc nogami, doszli w końcu do piątej takiej polanki.

— Dobra — stwierdził Ross. — Tutaj skręcimy.

Na szczęście szczyt wieży prześwitywał tu i ówdzie przez gałęzie, pełniąc rolę ich drogowskazu. Zbliżali się do niej od tyłu i jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności poszycie było tu rzadsze. Musieli więc szukać osłony, wypatrując cały czas, czy gdzieś nad nimi nie zaczął się jakiś wywiadowca albo wartownik. W tych warunkach nie dostrzegliby nawet całej armii oczekującej ich w zasadzce, jak uzmysłowił to sobie Travis, przeskakując od jednej kępy krzewów do następnej i będąc przez cały czas przygotowany na atak nieznanego wroga.

Przebyli może połowę odległości dzielącej ich od podstawy wieży, gdy przeraźliwy wrzask sprawił, że zamarli w miejscu, niezdolni do najmniejszego ruchu. Okrzyk bojowy stwor, który gnieździł się w czerwonym budynku! Dźwięk był tak zniekształcony przez otaczającą ich dżunglę, że Travis nie potrafił stwierdzić, czy jego źródło leżało przed nimi, czy też za ich plecami.

Ów rozdzierający uszy Ziemiań krzyk był pierwszym odgłosem toczącej się gdzieś bitwy. Zaraz po nim z gałęzi przed nimi wypadło jakieś stworzenie podobne do ptaka i na oślep runęło w stronę dwójki ludzi, by za sekundę zniknąć gdzieś za ich plecami. Zgrabne, szczupłe stworzenie o cętkowanej skórze i pojedynczym zakrzywionym rogu przemknęło obok nich, zanim Travis upewnił się, czy na pewno je widział.

Wrzaski wściekłości i żądy mordu rozbrzmiewały jednak nadal. Drapieżników musiało być kilku — może nawet całe stado! Sądząc po odgłosach, toczyły one gdzieś regularną walkę. Travis pomyślał o Ashe'u osaczonym w wieży i walczącym z takim wrogiem. Apacz rzucił się naprzód. Ross zrównał się z nim, zanim jeszcze wpadli w najbliższą kępę krzaków, kierując się w linii prostej ku podstawie wieży.

Travis potknął się, zamachał rękoma, próbując odzyskać równowagę i upadł na czworaka na otwartej przestrzeni. Przed nim wznosiło się wejście do wieży, długi, wąski otwór. Z wnętrza dobiegał bitewny zgiełk. Ross z blasterem w ręku rzucił się do środka.

Apacz natychmiast poderwał się na nogi i pomknął za nim. Gdy wbiegali do wnętrza budynku, był już tylko dwa kroki za Rossem. W środku znaleźli się u stóp wznoszącej się rampy. Jeden z potwornych wrzasków nad ich głowami urwał się nagle, przechodząc w zdławiony charkot. Kłęb czerwonego futra, z młóćącymi wokoło kończynami i kłapiącą szczękami łasicowatą głową stoczył się w dół rampy wstrząsany agonijnymi konwulsjami. Ross odskoczył w bok.

— Ten zginął od blastera! — krzyknął. — Szefie! Ashe! Jesteś tam?

Jeśli nawet jego okrzyk wywołał jakąś odpowiedź, utonąła ona w jazgocie zwierząt. We wnętrzu budynku panował półmrok, co jednak wystarczyło, aby Ziemiań dostrzegli zaporę wzniesioną w poprzek rampy. Ziała w niej spora dziura, zagrodzona przez dwa czerwone stwory przepychające się nawzajem, aby precyzyjnie się przez otwór do środka. Za nimi miotał się trzeci stwór.

Travis oparł lufę blastera na przedramieniu i dobrze wymierzonym strzałem rozplątał łasicą głowę ostatniego stwora. Ten nawet nie jęknął, tylko zwałił się bezwładnie w tył i potoczył w dół rampy. Obaj mężczyźni odskoczyli i ciało przetoczyło się między nimi.

Jedno ze stworzeń przy otworze zauważyło dwójkę ludzi i cofnęło się, pozwalając swemu

towarzyszowi precyzyjnie się do środka, zaś samo runęło na Rossa. Wiązka energii z blastera uderzyła je między ramiona i napastnik upadł, skrzecząc przeraźliwie i próbując rozpaczliwie stanąć na tylnych kończynach. Ross ponownie nacisnął spust i zwierzę znieruchomiało. Za zaporą jednak wciąż toczyła się walka.

— Ashe! — ryknął Ross. Travis, łapiąc z trudem powietrze, dołączył do niego. Z pewnością żaden z nich nie marzył o tym, aby przejść przez otwór w zaporze i oberwać blasterem od przyjaciela.

— Hop hoop! — okrzyk był dziwnie zniekształcony przez echo i nie przypominał ludzkiego głosu; wydawał się dochodzić z pewnej odległości przed nimi bądź nad ich głowami. Obaj jednak usłyszeli go i teraz precyzyjnie się przez barykadę do szerokiego korytarza.

Był on jasno oświetlony białymi płomieniami dymiących szczap drewna, które leżały w odległym końcu, jak gdyby zostały tam zrzucone z wyższych pięter. Jedna z czerwonych bestii leżała martwa i przeskoczyli przez jej ciało. Inna, ciągnąc za sobą bezwładne tylne kończyny, czołgała się po posadzce w ich kierunku z żądzą mordy płonącej w oczach. Travis dobił ją, ale wiązka z jego blastera znikła, zanim zdjął palec ze spustu. Następna próba potwierdziła jego obawy — energia jego broni została wyczerpana.

Coś poruszyło się na następnej rampie na drugim końcu korytarza, Ross wyprostował się z uniesionym do strzału blasterem. Travis pochylił się, podniósł jedną z pochodni i zakręcił nią dokoła głowy, rozpalając żarzący się koniec.

Ross wycelował w zbliżający się łasicowaty łeb, nie trafił i odskoczył w bok rampy i w dół na podłogę, chcąc uciec napastnikowi. Ten jednak skręcił i wychylił się w dół, próbując dosięgnąć człowieka. Travis jeszcze raz zakręcił pochodnią dokoła głowy i wyrzucił jej płonącym końcem w łeb nacierającego stwora.

Jedna ze szponiastych łap śmignęła w powietrzu i podstępnie wyrwała pochodnię z uchwytu Apacza. Przez ten czas jednak Ross zdążył zerwać się na nogi z blasterem gotowym do strzału, więc czerwona bestia zniknęła. Travis cofnął się na lekko drżących nogach i podniósł kolejną pochodnię.

— Hop hoop! — jeszcze raz rozbrzmiało nad ich głowami. Ross wrzasnął w odpowiedzi:

— Ashe! Tu na dole!...

Na rampie nic więcej się nie poruszyło. Mimo to Travis zastanawiał się, czy więcej bestii nie czai się gdzieś bez ruchu. Z bezużytecznym blasterem w dłoni nie zamierzał wspinać się w nieznaną. Kamienny nóż nie był bronią, z którą chciałby stawiać czoła tym stworom.

Czekali więc, nasłuchując, u stóp drugiej rampy. Gdy jednak z góry nie nadchodził kolejny atak, Ross powoli ruszył naprzód i Travis poszedł za nim, zaciskając dłoń na nowej pochodni. Nagle jego ręka wystrzeliła do przodu i zacisnęła się na ramieniu Rossa, osadzając go w miejscu. Coś czekało na nich w górze. Travis cisnął płonąca pochodnię w cień panujący na szczycie rampy, ujrzał blaster Rossa gotowy do strzału...

— Chodźcie! — słowo zabrzmiało normalnie, choć głos Ashe'a wydawał się zdławiony i nieco wyższy niż zazwyczaj. Jednak to był Ashe, cały i wyglądający jak zwykle, gdy wszedł w krąg światła rzucanego przez płonąca pochodnię i czekał, aż do niego dołączą. Nie był on jednak sam. Za jego plecami poruszały się ledwo dostrzegalne cienie. Ross nie opuścił blastera, a dłoń Trávisa powędrowała ku rękojeści noża.

— Wszystko w porządku, szefie?

Ashe roześmiał się w odpowiedzi na żądanie zawarte w pytaniu Rossa.

— Teraz, gdy kosmiczny patrol wylądował, tak. Odegraliście odpowiednią rolę w odpowiednim momencie. Chodźcie, poznacie resztę bandy.

Pochodnia zaskwierczała, gdy owe cienie zbliżyły się do Ashe'a. Potem wysoko nad podłogą rozbłysło nowe światło i Travis zamrugał z niedowierzaniem na widok istot, które ukazały się jego oczom.

Ashe miał metr osiemdziesiąt wzrostu, był niższy od Trávisa o dobre trzy centymetry. Górował on jednak wśród tych istot, z których najwyższa sięgała mu nieco powyżej ramienia.

— One mają skrzydła!

Istotnie, jedno ze stworzeń nagłym ruchem rozłożyło skrzydła — nie upierzone, a skórzaste jak u nietoperza — sterczące mu z ramion. Gdzie oni widzieli takie skrzydła?... U figurki w kopule!

Jednak twarze, które przyglądały się Ziemianom, nie były tak groteskowe, jak u tamtej rzeźby. Ich uszy nie były tak wielkie, zaś rysy nieco bardziej przypominały ludzkie, choć ich nosy pozostały pionowymi szczelinami. Albo statuetka była karykaturą, albo przedstawiała dużo prymitywniejszego osobnika.

Krajowcy cofnęli się, a z ich wąskich, kanciastych ust wydobył się niski pomruk, wznoszący się i opadający, w którym Travis nie potrafił wyróżnić oddzielnych dźwięków ani słów.

— Oni tu mieszkają? — Ross wciąż trzymał w dłoni swój blaster. — To oni cię porwali, szefie?

— W pewnym sensie. Rozumiem, że zajęliście się miejscową fauną na dole?

— Wszystkim, co zauważyliśmy — odparł Travis, wciąż przyglądając się uskrzydłonym ludziom, byli to bowiem ludzie, o tym był przekonany.

— Więc możemy się stąd wynosić — Ashe odwrócił się do czekających cieni i wepchnął blaster do kabury. Dwóch spośród skrzydlatych ludzi skinęło dłońmi i reszta rozstąpiła się, pozwalając Ashe'owi, Rossowi i Travisowi przejść i pójść w górę trzeciej rampy. Na jej szczycie Ziemianie dostrzegli blask słońca i weszli do szerokiego hallu z łukami, nie drzwiami, ciągnącymi się wzdłuż ścian.

Nozdrza Trávisa rozszerzyły się, gdy uderzyła w nie mieszanka woni; niektóre z nich były przyjemne, inne wręcz przeciwnie. Widać tu było oznaki aktywności, wskazujące, że było to miejsce stałego zamieszkania. Zwieńczone łukami przejścia obwieszane były zielonymi siatkami, w które tu i ówdzie powtykane były kwiaty, często takie same jak ten, który znalazł pierwszego dnia po wylądowaniu. Pod ścianami ustawione były pnie drzew wydrążone jak koryta. Rosły w nich najróżniejsze rośliny, wyginające się w kierunku światła słonecznego wpadającego przez okna i tworzące ścianę zieleń od podłogi do sufitu.

Krajowcy nie byli już cieniami. W tym jaśniejszym świetle ich ludzkie cechy były łatwiej dostrzegalne. Złożone skrzydła okrywały ich plecy niczym płaszcze; nie nosili żadnych strojów poza ozdobnymi pasami, kołnierzami lub naramiennikami. Ich bronią były krótkie włócznie — wątle zabezpieczenie przeciwko czerwonym zabójcom, którzy zaatakowali ich na dole.

Skrzydlate istoty przyglądały się dokładnie Ziemianom, mrużąc cały czas do siebie w swym języku, ale nie wykonując żadnych groźnych gestów. Ponieważ zaś Ziemianie nie byli w stanie odczytać żadnych uczuć z ich twarzy, Travis nie wiedział, czy trzej podróżnicy są traktowani jako więźniowie, czy po prostu jako dziwne, interesujące istoty.

— Tutaj... — Ashe zatrzymał się przed jednym z okrytych zasłonami łukowatych przejść i złożył wargi, wydając delikatne mruknięcie.

Zasłona rozsunała się i Ashe wszedł do środka, sygnalizując pozostałym, aby szli za nim.

Pod ich stopami rozpościerała się gruba warstwa plecionych lian i liści. W pomieszczeniu wzniesiono niskie ścianki działowe, po których pięły się rośliny, dzieląc komnatę na szereg mniejszych, prostokątnych komórek otaczających odsłonięte centrum pomieszczenia.

— Nie zwracajcie uwagi na nic pod ścianami — powiedział szybko Ashe. — Wpatrujcie się w tego na stole.

Na stole wznoszącym się jakieś pół metra nad podłogą przykucnął jeden ze Skrzydlatych. Ci, których Ross i Travis widzieli w korytarzu na zewnątrz, mieli skórę koloru zbliżonego odcieniem do kamienia, w którym wyrzeźbiono statuetkę. Ten jednak był ciemniejszy, prawie ciemnopurpurowy. W jego sztywnych ruchach było coś, co sugerowało podeszły wiek, a gdy spojrzął w oczy Ashe'a, Travis zrozumiał, że nie tylko był to człowiek, ale w dodatku człowiek wielki wśród swoich, przywódca. Dało się to zauważyć w jego oczach, w jego dumnej postawie i w braku pośpiechu, gdy lustrował wzrokiem trzech Ziemian.

ROZDZIAŁ 15

— Co za śmietnik! — Ross rozglądał się wokoło w osłupieniu.

— Skarbiec! — jego dowódca poprawił go niemal ostro.

Travis po prostu stał między nimi i gapił się. Oba określenia wydawały mu się po części słuszne.

— Porwali cię, abyś im to przejrzał? — Ross domagał się odpowiedzi, jak gdyby nie mógł uwierzyć w nasuwający się nieodparcie wniosek.

— O to, z grubsza rzecz biorąc, chodziło — przyznał Ashe. — Pytanie brzmi: od czego zaczniemy, kiedy i jak wytłumaczymy im przeznaczenie czegoś, co znajdziemy, jeśli, oczywiście, sami je odkryjemy?

— Od jak dawna oni to zbierali? — zastanawiał się Travis. Pomiedzy stosami niszczących przedmiotów pozostawiono ścieżki, aby można było przejrzeć zawartość stert. Ilość nagromadzonych przedmiotów nie zachęcała jednak do systematycznego przeszukiwania.

Ashe wzruszył ramionami.

— Jeśli twój sposób porozumiewania się składa się niemal wyłącznie z gestów, to jak można się czegoś dowiedzieć?

— Ale dlaczego ty? To znaczy... Dlaczego spodziewają się, że będziesz wiedział, jak to wszystko uruchomić czy używać? — zapytał znów Ross.

— Przybyliśmy statkiem. Może mają jakąś mglistą tradycję... legendy... że ludzie ze statku wiedzą wszystko.

— Dobrzy Bogowie — podsunął Travis.

— Tylko że my nie jesteśmy Cortezem i jego ludźmi — odparł sucho Ashe.

— Oni nie są tymi Łysymi ani Futrzastymi z ekranu statku, który znaleźli Rosjanie. Gdzie więc mogą pasować?

— Sądząc po statuetce, ich przodkowie byli znani budowniczym kopuły — odparł Ashe. — Myślę jednak, że są prymitywni, nie zdegenerowani.

Nagle wyobraźnia Trávisa podsunęła mu rozwiązanie:

— Zwierzęta domowe?

Obaj pozostali spojrzeli na niego. Ashe wziął głęboki oddech.

— Może masz rację! — stwierdził z emfazą. — Dajcie naszemu światu dziesięć tysięcy lat i odpowiednie warunki, a zobaczycie, co może się stać z naszymi psami czy kotami!

— Czy jesteśmy więźniami? — Ross wrócił do podstawowego zagadnienia.

— Już nie. Dzięki naszej walce z łasicami. Wspólny wróg to świetny argument za przymierzem. Mamy tu również wspólne cele. Jeśli chcemy znaleźć coś, co pomogłoby Renfry'emu, możemy to zrobić właśnie w takim składowisku.

— Przejrzenie samej tylko górnej warstwy tego składu zajęłoby rok — wyraził swe pesymistyczne stanowisko Ross.

— Wiemy, czego szukamy; mamy wzory na statku. Wszystko, z czego nasi skrzydlaci przyjaciele mogą mieć pożytek, oddamy im. A kto wie, co możemy znaleźć?

Ashe miał rację, jeśli chodzi o stosunek Skrzydlatych do nich. Ich wódz czy też przywódca, który pierwszy raz przyjął ich w pokoju o porośniętych pnączami ścianach, po czym przyprowadził ich do tej wielkiej komnaty zawierającej znaleziska gromadzone przez jego lud, nie zamierzał im przeszkadzać w powrocie na statek. Mimo to ich powrót, po powierzchni ziemi, nie zaś napowietrznymi drogami krajowców, był obserwowany przez dwa niebieskie, skrzydlate stworzenia, które łączyła ze Skrzydlatymi jakaś więź — być może podobna do tej pomiędzy człowiekiem i psem.

Będąc więźniem, Ashe dowiedział się, że czerwone łasice stanowiły główne zagrożenie i że Skrzydlaci próbowali odgrodzić niższe kondygnacje wież, które zamieszkiwali, aby w ten sposób powstrzymać drapieżniki. Te jednak były podstępne — co wskazywało również na ich pewną inteligencję — i długo pracowały nad przełamaniem zapory. Dopiero jednak zdecydowany atak całego stada zdołał przebić pracowicie wzniesioną ścianę i utorować drogę do pomieszczeń

zamieszkanym przez latających ludzi. Gotowość Ashe'a do użycia blastera w obronie swoich porywaczy i niespodziewany atak Rossa i Trávisa całkowicie rozgromiły plądrujące stado, a jednocześnie wywarły silne wrażenie na Skrzydlatych. Tak jak stwierdził Ashe, wspólny wróg stanowił silny fundament, na którym można było zbudować przymierze.

— Ale przecież oni umieją latać — zaprotestował Ross. — Dlaczego po prostu nie wylecieli przez okna, pozwalając tym sześcionożnym łasicom zająć wieżę?

— Z powodu, który w końcu ich wódz zdołał mi wytłumaczyć. Najwidoczniej o tej porze roku rodzą się młode. Samce mogły uciec, ale samice i młode nie dałyby rady.

Na statku zastali Renfry'ego obgryzającego ze zdenerwowania paznokcie w oczekiwaniu na ich powrót. Szczęśliwy, że widzi ich całych i razem, powitał ich wiadomością, że udało mu się odkryć, jak zapisuje się przebieg podróży na taśmę z tablicy sterowniczej. Tego, czy zdoła zaprogramować nową taśmę albo przewinać starą, jeszcze nie wiedział.

— Nie wiem, co z przewijaniem tej — postukał palcem w krążek wielkości monety, który został wyrzucony z panelu sterowniczego tego ranka, gdy wylądowali. — Jeśli drut pęknie... — wzdrygnął się i nie musiał kończyć.

— Chciałbyś więc inną, aby na niej potrenować — kiwnął głową Ashe. — W porządku, wszyscy wiemy, czego szukać, gdy jutro zaczniemy przekopywać się przez te zwały skarbów.

— Jeśli jakieś inne jeszcze istnieją — Renfry był sceptyczny.

— Wniosek numer jeden — Ashe pociągnął długi łyk z piankowej puszkii — wydaje mi się, że większość tych rzeczy, które zgromadzili Skrzydlaci, pochodzi z wież takich jak ta, której używają jako siedziby dla swego plemienia. A jest ich tu sporo. Inne budynki o całkowicie odmiennej architekturze nie powtarzają się. Prowadzi to do wniosku, że te budowle w kształcie wież pochodzą z tej planety, zaś inne zostały tu z jakichś powodów sprowadzone.

— Gdy pilot ustawiał taśmę, aby przyprowadzić tu statek, ustawiał kurs albo do swojego domu, albo do głównej kwatery swej służby. Tak więc nie jest całkiem nieprawdopodobne, że możemy tu w tej zbieraninie różnych śmieci, jakie udało im się zebrać, znaleźć coś związanego z taśmami, które odszukaliśmy na statku.

— Dużo w tym „jeśli” i „może” — stwierdził Renfry z rezerwą w głosie.

Ashe roześmiał się:

— Człowieku, większość mojego dorosłego życia upłynęła wśród takich „jeśli” i „może”. Szperanie w przeszłości wymaga najpierw zgadywania, a potem ciężkiej pracy, aby udowodnić, że dobrze zgadłeś. Są pewne podstawowe reguły, które się poznaje i które obowiązują niezależnie od okoliczności.

— Ludzkie reguły — przypomniał Travis. — Tutaj nie mamy do czynienia z ludźmi.

— Nie, nie mamy. Chyba że poszerzymy definicję człowieka na wszystkie stworzenia obdarzone inteligencją i potrafiące jej używać. Co, jak sędzę, powinniśmy zrobić, teraz gdy nie jesteśmy już uwiązani do planety ani galaktyki. Niezależnie od tego, przejrzanie pozostałości po cywilizacji wież jest pierwszym konkretnym zadaniem, jakie teraz przed nami stoi.

Następny rano zastał ich wszystkich, włącznie z Renfry'm, z powrotem w wieży. W promieniach słońca wpadających do pełnego skarbów pomieszczenia, zadania, które wyznaczili im Ashe i wódz Skrzydlatych, wydawały się jeszcze bardziej beznadziejne.

Wydawały się beznadziejne, dopóki szczenięta czy też pisklęta, czy też dzieci krajowców nie pojawiły się, proponując pomoc swych szybkich rąk i bystrych oczu. Travis znalazł się w centrum grupki uskrzydłych maluchów, wpatrujących się w niego z pełną uwagą, gdy próbował rozebrać stertę niszczących przedmiotów. Para małych dłoni wyciągnęła się, aby złapać toczący się pojemnik, inna pomogła wyciągnąć pudełko. Trzecia wydobyła zwój giętkiego tworzywa, częściowo przysypany warstwą innych przedmiotów. Apacz roześmiał się i kiwnął głową, mając nadzieję, że oba gesty zostaną odczytane jako podziękowanie i zachęta. Najwidoczniej tak się stało, gdyż maluchy z ochotą rzuciły się na stosy przedmiotów, a ich zręczne palce docierały do miejsc, do których on sam nie zdołałby sięgnąć. Dwukrotnie jednak musiał odciągać zbyt ambitnych szperaczy sprzed walącej się lawiny ciężkich przedmiotów.

Większość z tego, co udało im się odkryć, zbadać i odłożyć na bok była zbyt uszkodzona przez

czas, aby móc funkcjonować, albo też nie miała dla Ziemian żadnego znaczenia. Travis zmagał się z pokrywkami rozpadających się pudełek i pojemników. Czasem rozsypywały się one w proch i pył pod dotykiem jego palców; innym razem ich wnętrza wypełnione były jedynie pyłem, który niegdyś mógł być jakimś tworzywem.

Wykonane z jakiegoś stopu rurki odkładał na jedno miejsce. Były nietknięte i mogły się przydać Skrzydlatym albo jako materiał na broń skuteczniejszą od włóczni, albo jako narzędzia. Później znalazł owalne pudełeczko, które wprawdzie się rozsypało, ale zostawiło mu w dłoni błyszczący klejnot osadzony w metalowym półpiersienu, równie doskonały i nietknięty, jak w dniu, w którym został wykuty. Asystujący mu pomocnicy zamruczeli z podziwem, więc dał klejnot najbliższemu z nich i patrzył, jak przekazują go sobie z ręki do ręki, a w końcu niechętnie mu go oddają.

Południe już minęło, a żaden z czterech Ziemian pracujących w przeciwległych kątach pomieszczenia nie znalazł jeszcze nic, co mogłoby się okazać dla nich użyteczne. Spotkali się pod oknem, aby zjeść posiłek z dala od kurzu pokrywającego sterty śmieci.

— Wiedziałem, że to robota na rok — narzekał Ross. — I co dotychczas znaleźliśmy? Parę blach, które nie zdążyły jeszcze kompletnie zardzewieć, kilka klejnotów...

— I to — Ashe pokazał okrągłą szpulkę. — Jeśli się nie mylę, jest to taśma. I, być może, nietknięta. Trochę przypomina te, które znaleźliśmy na pokładzie statku.

— A oto i sam wielki szef — stwierdził Ross, spoglądając w górę. — Chcesz go o nią poprosić?

Wódz, który przyprowadził ich do tego magazynu, wszedł przez odległe drzwi w otoczeniu eskorty. Powoli przeszedł brzegiem pomieszczenia, przyglądając się stosom nagromadzonych tam przedmiotów, które badacze ledwo zaczęli przeglądać. Gdy dotarł do Ziemian, ci wstali, górując zarówno nad wodzem, jak i nad jego świtą. Nie mieli wspólnego języka i jedynym sposobem porozumiewania się były gesty, toteż Ashe zaczął pokazywać najcenniejsze znaleziska i proponować sposoby ich użycia. Klejnoty natychmiast doceniono, metalowe rurki zaś zostały obejrzone uprzejmie, ale bez większego zainteresowania.

Ashe zapytał Renfry'ego ponad ramieniem wodza:

— Można to przerobić na włócznię?

— Mając czas... i narzędzia... może i tak. — Technik nie był tego zbyt pewny.

Na końcu Ashe pokazał szpulkę, i wtedy po raz pierwszy wódz wydał się poruszony. Wziął ją w rękę i mruknął coś do jednego ze strażników, który oddalił się biegiem. Wódz wskazał palcem czerwoną taśmę, a następnie kilkakrotnie wyprostował wszystkie palce, kończąc szerokim, zamaszystym gestem ramienia.

— Co on chce nam powiedzieć, Ashe? — Renfry uważnie przyglądał się całemu przedstawieniu.

— Chyba mówi, że to tylko jedna z wielu taśm. Być może udało nam się naprawdę coś odkryć.

Strażnik wrócił z drugim, mniejszym osobnikiem, będącym jego wierną kopią. Nowo przybyły był wyższy od dzieci, zbliżał się prawdopodobnie do wieku dorosłego. Pozdrowił wodza kłaśnięciem skrzydłami i stanął w oczekiwaniu; wódz pokazał mu szpulkę, po czym sięgnął i złapał Ashe'a za rękę, wsuwając w jego dłoń nowo przybyłego, a następnie odesłał obu skinieniem głowy.

— Idziesz? — chciał wiedzieć Ross.

— Tak. Chyba chcę nam pokazać, skąd to pochodzi. Renfry, chodź lepiej ze mną. Może uda ci się rozpoznać jakieś urządzenia lepiej niż mnie.

Gdy cała trójka wyszła, a wódz ze swą świtą podążyli za nimi, Ross rozejrzał się z nie skrywanym rozczarowaniem.

— Nie ma tu nic wartego zabrania!

Travis podniósł jedną z rurek, aby obejrzeć ją w świetle słońca wpadającym przez okno. Miała ona ponad metr długości i nie było na niej widać ani śladu rdzy czy zniszczenia. Stop, z którego została wykonana, był lekki i gładki. Przesuwał palcami po jej gładkiej powierzchni. Nagle w jego umyśle narodziła się pewna idea.

Skrzydłacy potrzebowali lepszej broni niż ich krótkie włócznie. Wykonanie takiej broni z kawałków metali, jakie znaleźli w tym śmietniku, wymagało umiejętności kowalskich, jakich chyba żaden z Ziemian, nawet Renfry, nie posiadał. Można jednak było zrobić z nich pewien rodzaj broni;

być może nawet amunicja do niej znalazłaby się w zwalach zaścielających podłogę. Nie była to broń, jakiej używali jego współplemieńcy, ale nieco dalej na południe przedstawiciele tej samej rasy uczynili z niej narzędzie precyzyjne i zabójcze.

— Co jest takiego wyjątkowego w tej rurze? — zapytał Ross.

— Dla tych ludzi może być wyjątkowa — Travis uniósł ją w górę i przytknął jednym końcem do ust. Tak, była odpowiednio lekka, aby można jej było w ten sposób używać.

— W jaki sposób?

— Słyszałeś kiedyś o dmuchawkach?

— O czym?!

— Ich główną częścią jest rurka taka jak ta. Używają ich głównie Indianie południowoamerykańscy. Stosuje się je do wyrzucania małych strzałek. To niesłychanie groźna broń: bezgłośna, precyzyjna i zabójcza. Czasem używa się zatrutych strzałek, ale wystarczą i zwykłe, jeśli trafi się w czuły punkt, na przykład w oko tego łasicowatego potwora... albo w gardło.

— Ej, to zaczyna mieć sens! — Ross podniósł identyczną rurkę. — Chcesz dać tym purpurowym stworzeniom broń, którą mogliby zabijać łasice. Umiesz im to pokazać?

— Zawsze możemy spróbować. — Travis odwrócił się ku zbitym w gromadkę dzieciom i za pomocą rąk próbował im pokazać, że kawałki rurek są bardzo ważne. Mali pomocnicy rozbiegli się po całym pomieszczeniu, pomrukując z podekscytowaniem, jak gdyby ktoś wpuścił do pokoju rój pszczół.

Tak jak Travis się spodziewał, udało się znaleźć również odpowiedni materiał na strzałki. Po półgodzinnym poszukiwaniu miał już całą garść cienkich jak igła, metalowych drzazg zrobionych z tego samego stopu, co rurki. Nigdy w życiu nie używał dmuchawki, a jej działanie znał tylko z książek, czekały więc go jeszcze próby i błędy. W końcu jednak udało im się znaleźć w stosach śmieci coś, co nadawało się do jakiegoś użytku. Nie skończyli jeszcze szukać, gdy młody Skrzydlaty, który odszedł z Ashe'em, wrócił i zaczął ciągnąć Rossa za rękaw, aby ten za nim poszedł. Porzucili więc szperanie i wyruszyli za nim.

Przechodzili z jednej rampy na drugą, aż dotarli do miejsca, gdzie łasice przebiły się przez zaporę. Nie opuścili jednak wieży, gdyż ich przewodnik skierował się do tyłu korytarza wejściowego. Oparł się o ścianę — na pierwszy rzut oka gładką i jednolitą — i zaczął na nią napierać. Travis i Ross obserwując jego wysiłki, dołączyli do niego i nagle część ściany zapadła się w głąb.

Przed nimi nie znajdował się pokój, a kolejna rampa, stromo opadająca w ciemność; stojąc na górze, nie mogli dostrzec jej końca. Uskrzydłony chłopiec pobiegł w dół, rozkładając skrzydła, aż uniósł się nieco nad posadzkę i niknął przed siebie lotem ślizgowym z prędkością, o której żaden z Ziemian nie mógł nawet marzyć.

Gdy dotarli do podnóża rampy, ujrzeni w oddali kopcący płomień jednej z pochodni tubylców. Skierowali się biegiem w jej stronę, mknąc korytarzem, w którym ich kroki wzbijały w powietrze kłęby pyłu. Składowisko łupów w wieży nad nimi mieściło stosy wymieszanych ze sobą części i detali. W pomieszczeniu, do którego dotarli, i gdzie czekał na nich Ashe, królowała precyzja i skuteczność.

Stały tu maszyny, pulpity sterownicze, ciemne teraz i matowe ekrany. W miarę jak Ziemianie się zbliżali, światło pochodni wydobywało z cienia kolejne rzędy pojemników, w których znajdowały się nie tylko taśmy, ale również dyski z zapisami kursów w przestrzeni. Setki, tysiące tych przypominających guziki szpilek, które przywiodły ich tu przez kosmos, zgromadzone były w cylindrycznych pojemnikach o przezroczystych pokrywkach i nieznanym symbolach obcej rasy wypisanym na etykietkach.

— Centrum kontroli portu... Tak nam się wydaje... — Ton głosu Ashe'a mówił, że jest o tym absolutnie przekonany. Renfry wypełniał swój kombinezon próbkami zarówno z pojemników z dyskami, jak i ze stojaków, na których ustawione były taśmy.

— Magazyn... — dorzucił Travis. Ashe kiwnął głową.

— Gdybyśmy tylko wiedzieli, co warto zabrać! Może wszystko, czego potrzebujemy — nie tylko teraz, ale i w całej przyszłości — jest właśnie tutaj!

Ross poszedł w ślady Renfry'ego.

— Możemy spróbować je uruchomić na czytniku na statku. Jeśli weźmiemy ich dużo, jest szansa, że przynajmniej jedną czy dwie da się odczytać.

To logiczne podejście do problemu wydawało się sensowne. Zaczęli wybierać po kilka taśm z każdego stojaka.

— Tu jest pewnie przechowywana cała galaktyka wiedzy... — wzdychał Ashe, gdy jego palce zdejmowały jeden zwój po drugim.

W końcu wyszli w wypchanymi kombinezonami i pełnymi dłońmi. Zanim opuścili wieżę, Travis wziął jeszcze kilka rurek i metalowych drzazg. Gdy zaś wrócili na statek i wysypali na jeden stos znalezione rolki i dyski, a Renfry zaczął przygotowywać czytnik, Apacz zabrał się do przygotowywania broni, którą miał nadzieję wręczyć Skrzydlatym z wdzięczności za podzielenie się z nimi nagromadzoną wiedzą.

Renfry, z rozłożoną przed sobą garścią małych narzędzi znalezionych w pomieszczeniach załogi, zajął się jednym z dysków, podobnym do tego, na którym zapisana została trasa, którą tu przylecieli. Delikatnie podważył jego wieczko i ostrożnie odwijął cienki drucik zwinięty wewnątrz w spiralę. Dwukrotnie ogarniało go z wątpienie, gdy cieniutka metalowa nić, która prowadziła statek między gwiazdami, pękała z cichym brzękiem pod delikatnym dotykiem jego palców. Gdy zdarzyło się to po raz drugi, podniósł głowę i spojrzał na swoich towarzyszy oczami pełnymi napięcia.

— Nie sądzę, aby to się dało zrobić.

— Spróbuj z tym — Ashe sięgnął po kolejny dysk. — Te, z którymi pracujesz, są stare. Ten z naszym kursem jest nowy.

Uwaga Ashe'a ośmieliła Renfry'ego. Obejrzał pozostałe dyski, odsuwając na bok wszystkie te, które wyglądały na naruszone zębem czasu. Następnie wybrał jeden nie różniący się na oko zbyt od tego, w którym zapisana była ich przyszłość. Po raz trzeci delikatnie podważył wieczko.

Nie było im jednak dane dowiedzieć się czegoś istotnego tej nocy. Taśmy z nagraniami, które zabrali z wieży, ukazywały tylko serie obrazków, wprawdzie fascynujących, ale w tym momencie pozbawionych dla nich jakiegokolwiek wartości. Inne zaś wyświetlały jakieś symbole — może wzory, może zapiski. W końcu Ashe wyłączył czytnik.

— Nie możemy oczekiwać, że cały czas będziemy mieli szczęście.

— Tam są jeszcze tysiące rzeczy — dodał Ross. — Jeśli znajdziemy coś użytecznego, to tylko przez przypadek.

— No cóż, właśnie na przypadek musimy liczyć podczas tej imprezy — głos Ashe'a był zmęczony, suchy. Poruszał się on powoli, pocierając dłońmi oczy. — Jeśli przestaniemy wierzyć w szczęście, przepadliśmy!

ROZDZIAŁ 16

Travis przytknął koniec rurki do ust i dmuchnął. Cienka błyszcząca drzazga zakończona kępką miękkiego puchu pomknęła w kierunku środka jego zaimprovizowanej tarczy strzelniczej, przybijając pokryty czerwonymi żyłkami liść jeszcze mocniej do pnia drzewa odległego o jakieś dziesięć kroków. Apacz cieszył się jak dziecko z celności próbnych strzałów. Cofnął się o kolejne cztery kroki i przygotował do następnego strzału. Przez cały czas nad polanką niesło się niskie pomrukiwanie towarzyszących mu krajowców.

Gdy udało mu się umieścić drugą strzałkę tuż obok pierwszej, jego satysfakcja jeszcze wzrosła. Kiwając palcem, przywołał do siebie tego Skrzydlatego, który pomógł mu przynieść świeżo wykonane dmuchawki na „strzelnicę” i wręczył mu swoją rurkę, podnosząc z ziemi następną, nieco dłuższą.

Młody wojownik odłożył swą włócznię na poduszce liściastego mchu i niezgrabnie ujął dmuchawkę. Unosząc broń do ust, dmuchnął potężnie. Jego strzał nie był tak celny jak Trávisa i drzazga wbiła się w pień nieco nad liściem. Dwaj inni krajowcy pobiegli do drzewa, łopocząc skrzydłami, aby sprawdzić skuteczność strzału, a Travis roześmiał się i zaklaskał w dłonie, pragnąc w ten sposób wyrazić swoje uznanie.

Krajowcy nie potrzebowali dalszej zachęty. W mgnieniu oka rozdzielili między siebie pozostałe rurki i przekazywali je z rąk do rąk, co wywołało nieco zamieszania. Następnie każdy z nich miał okazję wypróbować nową broń, z różnym powodzeniem. Co jakiś czas przestawali strzelać, aby wyjąć strzałki z „tarczy” albo przymocować nowy liść na miejsce smętnych resztek poprzedniego.

Kilku spośród uczniów Trávisa miało doskonałe oko i Apacz był przekonany, że dzięki treningowi będą w stanie osiągnąć znacznie lepsze wyniki od niego. Gdy południowe słońce dało mu się we znaki, zostawił dmuchawki w rękach zachwyconych strzelców i ruszył na poszukiwanie swoich towarzyszy. Renfry wciąż studiował taśmy i obwody statku. Gdy Travis wspiał się do sterówki, znalazł tam również Ashe’a. Czytnik stał na stole, a obaj mężczyźni kucali przed nim, to wpatrując się w ekran, to doskakując do głównej tablicy pilota i coś tam oglądając. Jej obudowa została zdjęta, odsłaniając skomplikowaną płataninę przewodów. Od czasu do czasu Renfry wodził palcem wzdłuż któregoś z tych drutów i albo uśmiechał się, albo marszczył brwi.

— Co się tu, do cholery, dzieje? Odpowiedział mu Ashe:

— Chyba mamy coś przełomowego! To nagranie jest rodzajem instrukcji obsługi. Zawiera ono kilka schematów obwodów, które Renfry zdołał zidentyfikować w tym gnieździe węży na górze.

— Kilka obwodów... — Renfry nie był tak entuzjastycznie nastawiony. — Mniej więcej jeden na dziesięć! To tak, jakbyśmy chcieli złożyć głowicę bojową klasy Nike, posługując się zaszyfrowaną instrukcją po chińsku! Taak... czerwony przewód wchodzi tu do płyty... ale czy jest coś o tych białych zwojach po lewej?

Ashe zerknął jeszcze raz na białe zwoje i porównał je z obrazem na czytniku.

— Tak! — Renfry był momentalnie z powrotem na kolanach, chcąc samemu obejrzeć schemat na ekranie.

— Czy jest ktoś w doooooomuuu? — zawył Ross gdzieś na dole i Travis poczuł drżenie statku spowodowane jego krokami, gdy wspinał się po drabince.

Jego głowa i ramiona wyłoniły się ze studzienki wejściowej. Twarz miał pokrytą kurzem, który potwierdza! jego zaangażowanie w przeszukiwanie skarbcza w wieży Skrzydlatych.

— Miałeś szczęście? — zapytał Travis współczująco. Ross wzruszył ramionami.

— Garść różnych rzeczy, które mogą się do czegoś przydać. Nie potrafię niestety z kłębka drutu, gwoździ i paru puszek złożyć odrzutowca atomowego gotowego do startu. Widziałem za to twoich Robin Hoodów z tymi ich plujkami. Jeden z nich zdążył już nawet ustrzelić coś na obiad, co nie znaczy, że jego ofiara wyglądała mi na jadalną. Nie gustuję w stworzeniach o pięćdziesięciu zaciskających się naraz odnóżach. Co nie znaczy, że nie zjadłbym teraz czegoś bardziej cywilizowanego.

Travis zerknął na Ashe’a i zaabsorbowanego Renfry’ego.

— Wygląda na to, że jeśli mamy dziś cokolwiek zjeść, to ty i ja musimy się tym zająć. Oni znaleźli nagranie pokazujące wnętrze płyty sterowniczej.

— Noooo, to już niezłe! — Ross wdrapał się cały do sterówki i spojrzął nad ramieniem Ashe'a na niewielki ekran. — Powiedziałbym, że bardziej przypomina mi to plany zaprojektowanej przez złośliwego gнома czteropasmowej autostrady — stwierdził zgryźliwie. — Lepiej jednak pójdę poszukać puszek z pieczenia.

Renfry i Ashe zostali siłą odciągnięci od czytnika i zjedli posiłek w roztargnieniu cechującym ludzi, którzy myślami są zupełnie gdzie indziej. Gdy skończyli jeść i wrócili do sterówki, Ross wyprostował się i spojrzął na Trávisa.

— Co byś powiedział na małą wycieczkę na własną rękę? — spytał z obojętnością, która obudziła podejrziwość Apacza.

— W którą stronę?

— Do tego lejkowatego domku. Pamiętasz... przedni korytarz jest zarzucony różnymi sprzętami, jak gdyby mieszkańcy chcieli się wyprowadzić, ale w pośpiechu musieli zostawić bagaż? Chciałbym się mu przyjrzeć.

— Jeśli dobrze pamiętam, jest tam też dosyć solidna krata w wejściu — przypomniał mu Travis.

— Mam sposób, żeby ją ominąć. Chodź. Sposób, w jaki Ross chciał obejść zagrodzone drzwi, był dziecinnie prosty. Jeden z krajowców podleciał do okna na pierwszym piętrze, trzymając w dłoniach zwój linki ze statku. Zagroziła mu drogę okiennica zasłaniająca okno, ale za pomocą włóczni zdołał podważyć mocującą sztabę i po chwili lina przywiązana do zawiasu okiennicy zwiśla wzdłuż ściany budowli w jawnym zaproszeniu do wspinaczki.

Galeryjka, na którą się w ten sposób dostali, nosiła wiele śladów pospiesznej ewakuacji. Porwane strzępy delikatnej siateczki, rozpadające się w proch po dotknięciu, wciąż zwiślały ze ścian. Stały tam również meble o dziwnych kształtach, teraz pokryte całunem kurzu. Na zakurzonej podłodze widniały gdzieś tam jakieś ślady, na widok których Skrzydlaty silniej ścisnął włócznię i, z oczami utkwionymi w przyglądających mu się Ziemianach, energicznie pchał ostrzem swojej broni w te ślady, jakby atakował przeciwnika.

Następne gniazdo łasic? W panującym w budowlu półmroku Travis przyjrzał się owym śladom i uznał, że nie. Ślady zadziwiająco przypominały odciski ludzkich stóp. W jego umyśle pojawiła się wizja jednego z dawnych władców tego świata, żyjącego wciąż i dzielącego swą samotność z tym miejscem.

Tutaj po raz pierwszy ujrzeli schody, chociaż ich stopnie były tak wąskie i tak stromo ułożone, jak gdyby miały uzmysłowić Ziemianom, że wybudowane zostały dla istot o innych kształtach niż oni. Ross pierwszy ruszył w dół, szukając hallu, który widzieli przez kratę, ale jego pasję odkrywcy mocno hamowało przecucie czającego się gdzieś niebezpieczeństwa.

Travis pociągnął nosem. W powietrzu unosił się słaby, nieprzyjemny zapach, różny jednak od woni kurzu i starości, rozkładających się liści naniesionych wiatrem do wnętrza budynku; był to zapach legowiska jakiegoś małego zwierzęcia. Wydał się on Travisowi znajomy.

Odór legowiska łasic? Raczej nie. Ten zapach nie był tak ostry i świdrujący w nosie jak fetor panujący w czerwonym budynku, który te stworzenia zajęły na swe gniazdo. Nie była to również obca, chociaż nie tak przykra woń siedziby Skrzydlatych.

Zauważył, że szczelina w twarzy ich towarzysza, pełniąca rolę nosa, rozszerzyła się, a głęboko osadzone oczy błyszczały, omiatając spojrzeniem otoczenie. Nie po raz pierwszy Apacz żałował, że nie znają sposobu szybkiego porozumiewania się z tubylcami. Ziemianie nie byli w stanie naśladować pomruków składających się na mowę krajowców, ci zaś, pomimo wielokrotnie ponawianych prób, nie wydawali, się zdolni do wymówienia jakiegokolwiek ludzkiego słowa.

Wnętrze budynku było pogrążone w półmroku, choć do hallu, do którego zeszli, wpadało nieco więcej światła przez przegrodzone kratą drzwi. Ross ostrożnie obszedł stos pudełek i oparł lewą rękę na leżącym na samej górze, trzymając wciąż prawą dłoń na kolbie blastera.

Travis pozostał w miejscu. Ten zapach... jakieś wspomnienie kołatało mu się pod czaszką. Cała trójka zamarła w bezruchu, bo także ich skrzydlaty przyjaciel zdawał się na coś czekać. Wtedy nagły podmuch wiatru, który wpadł do środka przez jakąś szczelinę, przyniósł ciepły, świeży odór i

nagle Travis przypomniał sobie...

— Ludzie z pustyni! — te słowa wypowiedział niemal szeptem, ale w panującej wokół ciszy rozbrzmiały one jak krzyk. Co te nocne stworzenia mogły tu robić?

— Jesteś pewny? — Ku jego zdumienia Ross nie zamierzał kwestionować tej opinii.

— Takiego smrodu nie zapomina się nawet w biegu. — Travis lustrował wzrokiem cienie w kątach pomieszczenia i za stosami zwalonych na ziemię przedmiotów. Czy coś się tam poruszyło? Czy byli obserwowani przez oczy widzące w tym półmroku lepiej niż ich własne?

Dłoń krajowca dotknęła jego ramienia, nakazując ostrożność. Travis wolno obejrzał się i ujrzał, że ten trzymał włócznię w pogotowiu. Apacz wsunął strzałkę do swojej dmuchawki.

— Tam coś jest... po lewej — rozległ się szept Rossa. Lufa jego blastera skierowana była w pograżony w ciemności róg.

I wtedy mroczny hall ożył. Ciemne postacie wysunęły się ze wszystkich miejsc ukrytych dotąd przed ich wzrokiem i runęły do ataku, poruszając się szybko na czworakach jak zwierzęta. Ich ciche natarcie było tym bardziej przerażające, że te zwierzęta — albo ich dalecy przodkowie — były niegdyś ludźmi!

Strzał z blastera ściał z nóg trzy spośród nacierających istot. Z mroku wystrzeliła macka i wtedy czwarty napastnik upadł na posadzkę ze strzałką sterczącą z owłosionego gardła. Za plecami Trávisa krajowiec cofnął się kilka schodków w górę i łopocząc skrzydłami, wzbił się w powietrze. Krążąc nad wrogami, dźgał wysuwające się ku niemu, pozbawione kości macki, z zapamiętaniem każącym się domyślać głęboko zakorzenionej wrogości pomiędzy tymi dwoma gatunkami.

Ross krzyknął. Z cienia wystrzeliła macka, owinęła się dokoła jego kolana i zaczęła ściągać go ze schodów. Skierował lufę w tę stronę i nacisnął spust. Rozległ się wrzask bólu i macka cofnęła się. Strzałka Trávisa zwała z nóg stworzenie wznoszące się już na tylne łapy i wyciągające szpony ku ramionom Rossa. Apacz strzelał tak szybko, jak mógł wkładać strzałki do dmuchawki. W końcu cofnął się nieco, młócąc dokoła metalową rurką dmuchawki, oczyszczając przestrzeń dokoła siebie na tyle, że obaj mogli się cofnąć.

Włócznia została już dawno wyrwana z rąk tubylca przez wijące się macki. Wylądował on więc na szczycie jednej ze stert pudeł i kiwał się tam, machając skrzydłami, pragnąc rozkołysać stos pojemników. Uniósł się w powietrze dokładnie w momencie, gdy dziesiątki pudełek runęły w poprzek schodów, odrzucając na moment napastników.

— Blaster... wyczerpał się... — wydyszał Ross. Złapał bezużyteczną już broń za lufę i roztrzaskał kolbę na okrągłej czaszce stwora gramolącego się przez zwalone pudła.

Wycofywali się w górę schodów. Travis kopnął następne włochate stworzenie, trafiając je w krtani i odrzucając do tyłu, gdzie podcięło nogi innemu. Krajowiec zwałił na schody następny stos pudeł i latał teraz nad głównymi siłami nieprzyjaciela, bombardując go mniejszymi przedmiotami zabieranymi z wznoszących się przed drzwiami stert.

Na moment Ziemianom udało się odepchnąć napastników. Wykorzystali tę chwilę i rzucili się do okna nad galeryjką, przez które weszli do tego budynku, który o mały włos mógłby się okazać pułapką. Skrzydlaty przemknął nad ich głowami i usiadł na framudze okna, wzywając ich w podnieceniu, aż zwykłe dla jego mowy pomruki przechodziły w skrzek.

Travis pchnął Rossa ramieniem w kierunku okna.

— Mam jeszcze tylko dwie strzałki. Zjeżdżaj stąd, szybko!

Przez moment Murdock chciał zaprotestować, potem jednak zdrowy rozsądek wziął w nim górę, skoczył więc do okna. Travis wycelował w wygięte ramiona i głowę wylaniające się właśnie z nad schodów. Strzałka jednak musnęła tylko upierzone przedramię stwora i kły wystające z otworu nie będącego już ludzkimi ustami. Małe, czerwone z wściekłości, a jednocześnie nie pozbawione pewnej inteligencji oczka spoglądały na przybysza z Ziemi.

Apacz cofnął się do okna. Okryte purpurową skórą ramię sięgnęło nad jego barkiem i dłoń krajowca zacisnęła się na dmuchawce, próbując ją wyrwać z jego uchwytu. Krajowiec wciąż zajmował swój posterunek na framudze okna; teraz chciał też dostać broń.

Travis zaś, wiedząc, że tamten ma możliwość ucieczki na skrzydłach, puścił dmuchawkę, przerzucił swe ciało przez okno i zaczął najszybciej jak potrafił zsuwać się po linie. Cały czas

widział jednak lawendowe plecy przyjaciela. Ten rozłożył skrzydła na zewnątrz okiennego otworu, lekko je unióś... i runął w tył, wykonując dziką figurę w powietrzu. Jego skrzydła rozpostarły się szeroko, hamując spadek i Skrzydlaty wrzasnął tryumfalnie, wznosząc się znów po spirali w górę. Z okna wysunęła się pierwsza kudłata głowa; włochate pięści zacisnęły się na oczach, które najwidoczniej zostały oślepione jaskrawym światłem słońca. Ross stał już na ziemi, a Travis nie był już od niej daleko, gdy lina szarpnęła się ostro w górę, szorując nim po ścianie budynku. Z przerażeniem zrozumiał, że włochate stwory chcą go wciągnąć z powrotem.

Apacz puścił się i runął na ziemię. Pozbawiona obciążenia lina wystrzeliła w górę i zniknęła w oknie. Byli bezpieczni, a Travis był pewny, że nocne stworzenia nie będą chciały ich ścigać w świetle dnia. Mimo to w drodze powrotnej obaj z Rossem używali wszystkich swych umiejętności, aby sprawdzić, czy nie są śledzeni. Wszystko wskazywało na to, że nie byli.

Ashe wysłuchał ich opowiadania ze zmarszczonymi brwiami.

— Mogłoby być gorzej... Gdybyśmy tu zostali.

Ross wyrzucił w dżunglę bezużyteczny blaster.

— A więc odlatujemy? Kiedy?

— Za dzień, może dwa. Renfry jest już gotowy, aby przewinąć taśmę.

Po raz pierwszy Travis zdał sobie sprawę, jak wiele zależy od właściwego obchodzenia się z tym cieniutkim drucikiem, że jedno małe pęknięcie skazałoby ich na dożywotnie wygnanie. Albo gdyby jakieś uszkodzenie, którego nie są w stanie dostrzec, rozwinęło się w przestrzeni i zerwało wątłą nić łączącą ich z ojczystą planetą, pozostawiając statek dryfujący bezwładnie między gwiazdami jak wieczny rozbitek. Czy Renfry'emu uda się przewinąć taśmę? A jeśli zostanie przewinięta — czy będzie działać od początku? Nie będzie lotu próbnego. Gdy uda im się oderwać od tej planety, ich życie zawisnie na nici składającej się głównie z nadziei i irracjonalnej wiary w szczęście.

— Rozumiesz teraz? — spytał Ashe. — Pamiętaj, że możemy tu zostać.

Byliby wtedy zesłańcami do końca swych dni, ale pozostaliby przy życiu. Byli tu wrogowie, ale mogliby zawrzeć sojusz ze skrzydlatymi krajowcami, przyłączyć się do nich. Nagle Travis wstał i udał się do kabiny, w której leżał ten dziwny ekran, który potrafił dostroić się do ludzkiego umysłu i pokazać mu jego dom. Musiał się przekonać, czy przeszłość pociąga go wystarczająco silnie, aby zdecydował się dla niej zaryzykować życie.

Ujął płaską płytę w obie ręce i zajrzał w jej mętne wnętrze. Wkrótce ujrzał czerwone zbocza wznoszące się z zielonego dywanu sosen... błękitne niebo... ojczyste wzgórze... Czuł niemal w ustach alkaliczny pył niesiony wiatrem, czuł grzbiet konia pomiędzy swymi udami. I wiedział, że musi zaryzykować...

W końcu wszyscy podjęli tę samą decyzję. Ross podsumował ich uczucia:

— Podróże w czasie, to coś innego... Pozostajemy przecież w naszym świecie. Jeśli coś nie pójdzie, jak trzeba, i zostanie się bez szansy powrotu w jakimś okresie przed początkiem historii — pewnie, nie byłoby to miłe. Kto chciałby łapać mamuty, jeśli jest przyzwyczajony do atomowych odrzutowców? Wciąż jednak miałby świadomość, gdzie jest, i że ludzie, których spotka, będą należeli do jego własnego gatunku. Ale zostać tutaj... Nie, nawet jeśli zatrudnilibyśmy się u Skrzydlatych jako bogowie! Oni nie należą do naszego gatunku... jesteśmy gośćmi, nie imigrantami. Ja zaś nie chcę być nigdzie gościem do końca życia!

Ostatni raz poszli do magazynu, zabierając na statek i upychając w każdym możliwym miejscu wszystkie taśmy, które wydawały się im nietknięte. Wódz krajowców, zachwycony dmuchawkami, pozwolił im wybrać, co chcieli z plemiennego skarbcza. Prosił tylko, aby kiedyś wrócili, przynosząc ze sobą nową wiedzę, którą mogliby się z nimi podzielić. Nie zobaczyli już więcej nocnych stworów z lejkowatego budynku, mimo to na wszelki wypadek zamknęli na noc właz do statku.

— Wrócimy tu? — spytał Ross, gdy Ashe wrócił z ostatniego spotkania z wodzem.

— Dostańmy się najpierw do domu z tym całym majdanem — odparł Ashe sucho — a na pewno ktoś tu wróci. Możesz być tego pewny. Co jest, Renfry?

Technik wyglądał jak swój własny duch. Głębokie zmarszczki spowodowane napięciem, prawdopodobnie nie mające już nigdy zniknąć, otaczały jego usta, rozbiegały się od jego

zmęczonych oczu. Ręce mu drżały i nie był w stanie podnieść kubka do ust, nie zaciskając na nim wszystkich dziesięciu palców.

— Taśma jest przewinięta — powiedział bezbarwnym głosem. — Drut nie pękł. Jutro przygotowuję ją do użytku. Jeśli chodzi o resztę... Możemy tylko liczyć na szczęście. To wszystko, co mogę wam powiedzieć.

Travis leżał tej nocy na koi. Jego koja, ich statek... Kula statku wraz z zawartością wydawały im się coraz mniej obce w porównaniu ze światem na zewnątrz. Jego nadgarstek opasywała ciężka bransoleta z czerwonego metalu wysadzana małymi, okrągłymi kamieniami koloru morza układającymi się w załamujące się fale — prezent, który wódz Skrzydlatych wręczył mu przy oficjalnym pożegnaniu. Był pewien, że to nie latający ludzie koloru lawendy wykonali tę ozdobę. Jak stary był ten wzór? Z jakiego świata pochodził, jakiego dawno wymarłego i zapomnianego ludu był wytworem?

Jakże niewiele spenetrowali z tego, co można było znaleźć w tym starożytnym porcie. Czy to pochłonięte obecnie przez dżunglę miasto było niegdyś stolicą galaktycznego imperium, jak przypuszczał Ashe? Nie mieli czasu na dokładniejsze badania. Tak, na pewno ktoś tu kiedyś wróci. Ludzie z jego świata będą szukać, spekulować, uczyć się i zgadywać — być może źle. Wtedy, po niedługim czasie, gdzieś — może na jego rodzinnej planecie — zacznie rosnąć nowe miasto, służące jako magazyn wiedzy zbieranej od jednej gwiazdy do następnej. Czas będzie płynął i to miasto także umrze. Dopóki jakiś przedstawiciel nie narodzonej jeszcze rasy nie przybędzie, aby szukać i spekulować... i zgadywać... Travis zasnął.

Obudził się napięty. Nad swoją głową usłyszał westchnienie kogoś w sterówce.

— Wszystko gotowe — powiedział głos Renfry'ego, cichy, wyschnięty. Technik musiał najwidoczniej pracować całą noc, nie mogąc doczekać się sprawdzenia swych teorii.

— Wszystko gotowe.

Wciąż mieli czas, aby powiedzieć „nie” tej szalonej próbie, aby wybrać znane zagrożenia zamiast nieznanych. Travis poczuł narastającą w nim panikę. Jego ręce wsparły się na brzegach koi, unosząc tułów. Musi zatrzymać Renfry'ego — nie mogą wystartować w przestrzeń!

Po chwili osunął się znów na posłanie i, zaciskając zęby, zapiął pasy przytrzymujące ciało podczas startu. Niech Renfry naciśnie właściwy guzik — jak najszybciej! Zawsze najbardziej dawało się człowiekowi we znaki oczekiwanie. Poczul znane drżenie niosące się wzdłuż ścian, przenikające jego ciało. Nie było już powrotu. Travis zamknął oczy i starał się rozluźnić swoje ciało protestujące przeciw oczekiwaniu.

ROZDZIAŁ 17

— Wyszliśmy... Cali.

— Jak dotąd, nieźle — odparł na to inny głos w komunikatorze.

Travis otworzył oczy i zastanawiał się, czy ktokolwiek z nich myślał przed startem o niewygodach związanych z oderwaniem się od planety. Podczas dni spędzonych na planecie zapomnieli, z czym wiązało się wznoszenie się poza zasięg grawitacji. Przynajmniej jednak taśma działała na tyle, że zdołali bezpiecznie opuścić planetę Skrzydlatych.

Ich lot trwał dalej, aż w końcu zaczęli lżej oddychać i patrzeć w przyszłość z optymizmem spowodowanym czymś więcej niż tylko irracjonalną nadzieją.

— Jeśli po prostu będziemy powtarzać wszystko od końca — stwierdził po namyśle Ashe wieczorem piątego dnia — powinniśmy jutro wylądować na tej pustynnej planecie.

— Lepiej by było, gdybyśmy mogli wyeliminować ten postój — odparł Travis. W jałowej pustyni i jej nocnych mieszkańcach było coś wyjątkowo odpychającego.

— Zastanawiałem się... — Ross zerknął nad obrotowym fotelem na stanowisko pilota, gdzie Renfry spędzał większość czasu — tankowaliśmy, lecąc w tamtą stronę, na pierwszym postoju. Przypuśćmy, tylko przypuśćmy, że wyczerpaliśmy tamtejsze zapasy.

Renfry wyszczerzył zęby, co w połączeniu z jego szkieletowatym wyglądem sprawiło upiorne wrażenie. Wskazał kciukiem posadzkę w odwiecznym geście oznaczającym porażkę.

— Wtedy przypadlibyśmy, chłopie. Miejmy nadzieję, że nasze szczęście w połączeniu z pomysłowością pozwoli nam jakoś przebrnąć przez tę niedogodność.

Tym razem wylądowali na pi as/czystym lądowisku wczesnym rankiem, gdy tańczące na horyzoncie płomienie blakły już, aby rozpląnąć się w blasku dnia. Pierwsze promienie wschodzącego słońca ślizgały się po bezkresnych polaciach błyszczącego piasku.

— Mamy tu jakieś dwa dni — jeśli wszystko odbędzie się tak samo.

Czekać dwa dni, będąc uwięzionym w statku, bez pewności, że statek znów wystartuje... Na myśl o tym Travis niecierpliwie poruszył się na krześle. W dodatku widmo klęski, o której wspomniał Ross, nie dawało nikomu z nich spokoju ani na chwilę.

— Może mały spacer? — Ross musiał także czuć to palące pragnienie zajęcia się czymś, aby zapomnieć o trapiących ich wątpliwościach.

— Nie ma to większego sensu — odparł Ashe spokojnie. — Wyjdziemy na zewnątrz, ale w dzień. Nie wydaje mi się, by było tam coś wartego zobaczenia.

Po pewnym czasie nałożyli osłabiające blask słońca hełmy i otworzyli właz. Ich oczom ukazała się otwarta przestrzeń, na której być może wiatr wyrzeźbił nowe wzory, ale oni nie widzieli żadnej istotnej zmiany od czasu swej poprzedniej wizyty. Tajemniczy, zamknięty bunkier wciąż widniał w oddali, nie zdradzając jakichkolwiek śladów życia.

— Co oni tu robili? — ręce Rossa przesuwwały się po krawędzi włazu bez żadnego konkretnego celu. — Ten postój miał jakąś przyczynę... Musiał mieć. I dlaczego te same stworzenia — ludzie, zwierzęta czy cokolwiek innego — żyły na tamtej planecie, w tym budynku przypominającym lejek?

— Które z nich są zesłańcami? — zastanawiał się Ashe. — Czy to jest ich ojczysta planeta, a tamte od pokoleń żyją w oddaleniu, bo nie zostały w porę stamtąd zabrane? A może te są wygnańcami, a tamte mieszkają we własnym domu? Czy kiedyś poznamy odpowiedzi na te dręczące nas pytania? — Spojrzał na przycupniętą pomiędzy ruchomymi wydmami budowlę. — One muszą żyć pod ziemią, a ten bunkier chroni wejście. Być może na tamtej planecie także mieszkają pod ziemią. Niegdyś musiały tu obsługiwać statki... Prowadzić jakąś niezbędną placówkę.

— A potem — rzekł powoli Travis — statki przestały przybywać.

— Tak. Nie było już więcej statków. Może całe pokolenia czekały... czekały na statki, które by ich zabrały z powrotem. Później albo pogrążyły się w stagnacji i apatii, staczając się ze wzgórza ewolucji, albo świadomie dostosowały się do swego otoczenia.

— W sumie efekt i tak był ten sam — zauważył Ross. — Nie sądzę, aby te tutaj różniły się w jakiś sposób od tamtych w budynku. Tamte jednak miały przyjaźniejsze otoczenie, do którego mogły się dostosować.

— Czekajcie! — Travis z uwagą przyglądał się otoczonej wydmami budowli. Odniósł wrażenie, że to, co teraz widział, nie pokrywało się z obrazem, jaki podsuwała mu pamięć. — Czy ten wzgórek po lewej był tu poprzednio?

Ross i Ashe nachylili się, przyglądając się uważnie wybruszeniu na dachu budowli, które wskazywał Travis.

— Masz rację, to jest nowe! — krzyknął Ross pierwszy. — Nie wydaje mi się, żeby to było z kamienia, tak jak reszta.

Wzgórek, który tak dziwnie pojawił się na rogu odległego budynku, nie błyszczał w promieniach słońca jak metal. Nie był również matowy. Posiadał subtelny połysk, jaki cechuje mleczne szkło lub obsydian. Nie było widać żadnych otworów. Jego przeznaczenie pozostawało dla nich taką samą zagadką, jak cała reszta tej dawnej układanki.

Miało ono pozostać tajemnicą jeszcze tylko przez chwilę. Potem wydarzyło się coś, czego obserwatorzy ze statku nie przewidywali. Widzieli oni już promienie chroniące dach budynku przed niepożądanymi gośćmi, teraz zaś mieli okazję ujrzeć w działaniu jedną z broni zaczepnych, wynalezionych przez rasę, która wzniosła ten bunkier.

Co wystrzeliło z wieżyczki i z trzaskiem smagnęło powłokę statku? Strumień ognia? Wiązka energii? Siła, której istoty z Ziemi nie potrafiły ani sobie wyobrazić, ani nazwać?

Travis wiedział tylko, że energia tego ciosu wrzuciła go do środka statku i przycisnęła do wewnętrznych drzwi wraz z Rossem i Ashe'em. Ich ciała rozpląszczyły się na metalowej ścianie statku, wyciskając im oddech z płuc, aż cały świat dokoła nich stał się czarną otchłanią.

Travis leżał na podłodze, z całych sił walcząc z bólem ściskającym mu żebra. Przed jego zamglonymi oczyma widniał otwarty właz. Ten prostokątny kawałek otwartej przestrzeni był teraz najważniejszy, ważniejszy niż ból jego ciała. Przeczucie mówiło mu, że właz musi zostać zamknięty — to, co znajduje się za nim, oznacza ich zagładę.

Oparł się o ciało leżące na jego kolanach, powoli odwrócił się, centymetr po centymetrze wysunął się spod niego i czołgał się ku zewnętrznej pokrywie włazu. W uszach mu szumiało, co potęgowało cierpienie. W końcu wystawił głowę na zewnątrz, w blask słońca.

Z początku sądził, że ma omamy — to, co ujrzał, nie mogło być rzeczywistością. Nie było bowiem wiatru, a mimo to piasek unosił się z ziemi jak kartki papieru i uderzał o ścianę statku. Tumany pyłu unosiły się pionowo, nie poruszane najłżejszym podmuchem! To było niewiarygodne... To nie mogło się stać, a mimo to działo się właśnie przed jego oczyma.

Uniósł się na kolana i napał na drzwi, zostawiając za nimi zasłony piasku, palące promienie słońca, scenę, która nie mogła być prawdziwa. Gdy zaś drzwi odbiły wrogie promienie, jego ból zmniejszył się; znów mógł oddychać, nic już nie unieruchamiało jego płuc. Obrócił się do pozostałej dwójki.

Wygląd ich sinych twarzy, przypominających kolorem kilkudniowe zwłoki, pchnął go do szybkiego działania. Uniósł obu mężczyzn do pozycji siedzącej. Niebieskie oczy Ashe'a otworzyły się.

— Co... — wypowiedział tylko to jedno słowo, gdy Travis zajął się Rossem.

Z kącika rozchylonych ust młodszego agenta wypływała strużka krwi. Jęknął, gdy Travis nim potrząsnął. Ashe poruszył się i skrzywił się z bólu, łapiąc się rękoma za pierś.

— Co się stało? — tym razem zdołał wypowiedzieć całe pytanie.

— Kosmiczni... marines... wylądowali... — Ross wymawiał słowa po kolei, lekko się przy tym uśmiechając — ...na mnie. Tak mi się wydaje.

— Eeej taam, na dole! — Okrzyk doszedł przez komunikator, ale dało się w nim słyszeć zdenerwowanie. — Co się dzieje?

Chociaż kadłub odgradzał ich od słońca, dźwięku, świata na zewnątrz, przez jego ochronny pancerz wyraźnie poczuli ruch. Odnosiło się wrażenie, jakby statek był podważany przez jakąś siłę. Te ściany piasku? Travis doczłapał do drabinki i zaczął się wspinać, chcąc dotrzeć do ekranu w

sterówce, który był teraz ich jedynym łącznikiem ze światem zewnętrznym.

Zastał Renfry'ego stojącego przed nim i wpatrującego się z niedowierzaniem w gęste zwały piasku, wznoszące się z ziemi, regularnie obsypujące burty i zmierające najwidoczniej do wchłonięcia całego statku. Stanęli przed realnym niebezpieczeństwem pochłonięcia przez morze piachu i nie było powodu przypuszczać, że nie było to zaaranżowane i kierowane przez świadomy umysł obdarzony dużą inteligencją.

— Możemy się stąd wydostać? — Travis osunął się na najbliższe krzesło. — Jest jakiś sposób, aby podnieść statek?

Gdyby pozostawili sprawy swojemu biegowi, według planu podróży zapisanego na taśmie, musieliby tu pozostać przez cały dzień i noc. Do tego czasu kula statku zostałaby tak głęboko zakopana w piasku, że nie byłoby nadziei przebić się przez tony piasku dzielące ich od powierzchni. Nie mieliby szans się stąd wydostać. Zostaliby żywcem pogrzebani w metalowej trumnie!

Dłonie Renfry'ego dotknęły klawiatury kontrolnej, tam zatrzymały się. Renfry zawahał się, przygryzając wargi.

— To spore ryzyko, ale mogę spróbować.

— Pozostanie tu byłoby chyba większym ryzykiem. — Travis przypomniał sobie o dwóch towarzyszach, których zostawił w służbie. Muszą wydostać się z niebezpiecznego miejsca przed zapłonem silników. — Daj mi pięć minut — rzekł do technika. — Potem odpalaj... Jeśli dasz radę!

Znalazł Ashe'a na nogach, wyciągającego Rossa na korytarz. Pospieszył mu z pomocą.

— Renfry spróbuje wystartować — poinformował go. — Jesteśmy zasypywani piaskiem.

Zaciągnęli Rossa do jego koi. Ashe wcisnął się w sąsiednią, a Travis ledwo zdążył dobiec do następnego pomieszczenia i zwalić się na czekające posłanie, gdy przez komunikator rozległo się ostrzeżenie. Potem nadeszło drzenie rozgrzewanych silników, ale tym razem trwało ono o wiele dłużej niż zazwyczaj. Travis leżał spięty, oczekując na szok startu, odliczając sekundy...

Wibracje narastały — silniej niż kiedykolwiek przedtem. Statek drżał w posadach, dźwięk i ruch stawały się jednością, przerażającą mieszanką, która skręcała żołądek i rozpraszała myśli, ale nie strach.

Potem zaś przyszła agonია, ciągnące się czerwone cierpienie. Po nim nastąpiła ciemność, absolutna nicość...

Wibracja znikła, dźwięk ucichł, ale dziwne uczucie pozostało. Rozchodził się czysty, aromatyczny zapach leczniczej galaretki, która w razie potrzeby wypełniała ich koje. Travis otworzył oczy. Czy udało im się wydostać z pustynnej planety?

Usiadł, strząsając z siebie leczniczy żel. Odpadł bez śladu od jego skóry, od kombinezonu, pozostawiając po sobie zwykły, doskonały stan ciała i duszy. Pewność siebie, która została z niego wytrząśnięta podczas zapłonu silników, powróciła. Wstał i udał się do sąsiedniej kabiny, gdzie, jak pamiętał, znajdowali się jego towarzysze.

Ross i Ashe wciąż leżeli bezwładnie, zanurzeni w trzęsącej się masie substancji, której twórcy tego statku powierzyli pierwszą pomoc. Zostawił ich więc i wspiął się do sterówki.

Renfry siedział przypięty do fotela pilota, ale głowa bezwładnie opadała mu na piersi. Jego biała twarz przeraziła Trávisa. Pod palcami wyczuł powolne bicie serca, odpiął więc technika i w jakiś sposób, zapewne dzięki nieważkości, zdołał go zaciągnąć na jedną z koi. Zewnętrzny ekran ukazywał jedynie nieprzeniknioną czerń, co świadczyło, że znajdują się w hiperprzestrzeni. Nie tylko udało im się wystartować, ale także statek samoczynnie podjął następny etap długiej podróży, która w końcu mogła zaprowadzić ich do domu.

Jak długo trwał ten etap podróży poprzednim razem? Według obliczeń Renfry'ego dziewięć dni — dziewięć dni pomiędzy piaskiem a stacją benzynową. Dziewięć dni, zanim się przekonają, czy start Renfry'ego nie wytrącił taśmy z kursu.

Po wyjściu z szoku Ashe przejął dowodzenie.

Wykorzystał taśmy zabrane z magazynu w piwnicach wieży do odciążenia ich uwagi od ich aktualnej sytuacji. Marząc o znalezieniu kolejnej instrukcji obsługi, zapędził ich do pracy przy przeglądaniu wszystkich taśm, jakie rzutnik był w stanie odczytać. Niejeden z obiecujących zwojów

pękł, skręcając się i tworząc płataninę, której nie odważyli się rozsypywać. Nawet one musiały zostać zatrzymane, aby mogli je zbadać eksperci na Ziemi. Ashe bowiem nigdy po starcie z pustynnej planety nie okazał śladu niepewności, czy rzeczywiście zdążają do domu. Zamiast tego przypominał, ile rzeczy udało im się już osiągnąć wbrew zdrowemu rozsądkowi oraz przekonywał, że nie ma powodu, aby szczęście, które dotychczas wiernie im towarzyszyło, nagle ich teraz opuściło.

Jednak nawet Ashe, pomyślał Travis, musiał odczuwać wątpliwości i to samo zdenerwowanie, co reszta załogi, gdy nadszedł dziewiąty dzień lotu, a nie usłyszeli ostrzeżenia o lądowaniu na stacji paliwowej. Podczas południowego posiłku wszyscy udawali tylko, że jedzą. Tego ranka Travis przeliczył pozostałą im jeszcze żywność. Zmniejszone do minimum racje żywnościowe wystarczyłyby im prawdopodobnie do lądowania na ich ojczystej planecie — gdyby podróż się nie przedłużyła. Powiedział o tym Ashe'owi, ale w odpowiedzi usłyszał tylko nieartykułowane mruknięcie.

I wtedy — jak gdyby dla rozwiania ich najgorszych obaw — rozległo się ostrzeżenie o lądowaniu. Travis przypiął się do koi, tym razem dzieląc kabinę z Rossem. Ten wyszczerzył się do niego.

— Szef znów miał rację! Wpadniemy tylko zatankować trochę benzyny — i do domu!

Niewygody związane z lądowaniem zostały natychmiast zapomniane, gdy ujrzeni wznoszące się dokoła nich wałace się wieże wyznaczające poszczególne lądowiska oraz turkusowe niebo pierwszego portu galaktycznego. Byli już niemal w domu!

Rzucili się biegiem do włazu i otwarli go niecierpliwie, spodziewając się ujrzeć wijący się wąż z paliwem i obsługującego go robota. Mijały jednak minuty, a przy najbliższej wieży nic się nie poruszyło. Travis zlustrował wzrokiem najbliższe otoczenie statku. Czy wylądowali w tym samym miejscu, co poprzednio? Czy tak nieistotna zmiana mogła być odpowiedzialna za panujący tu bezruch?

— Może to z powodu czasu — głos Ashe'a rozbrzmiewał wewnątrz jego hełmu, zupełnie jakby starszy agent czytał w jego myślach. — Wystartowaliśmy z pustyni znacznie wcześniej, niż było to zaplanowane.

Uczepili się tej myśli, gdy minęła godzina, a następnie druga, a nic się nie poruszyło pod wieżą. Z tego, co zapamiętali z poprzedniego postoju, tym razem wylądowali dokładnie w tym samym punkcie stacji. Starali się nie myśleć o innej możliwej przyczynie panującego dokoła bezruchu — że mechanizmy tego starego portu zostały już ostatecznie zużyte i wyczerpane, niewykluczone, że przez nich samych, gdy ich statek po raz pierwszy wylądował w tym miejscu.

W końcu Renfry przemówił.

— Nie wiem, ile paliwa mamy na pokładzie. Nie znam nawet natury tego paliwa. Kwestia, czy mamy radę wystartować bez tankowania jest również otwarta. Nawet gdyby nam się to udało, nie wierzę, abyśmy zdołali ukończyć podróż. Być może będziemy walczyć z czasem, ale musimy sprawdzić, czy nie uda nam się zmusić tych maszyn, aby jeszcze raz wykonały swoje zadania. I musimy to zrobić szybko!

Wyszli ze statku, a Renfry wpełzł pod niego i w ten sposób odkrył awarię. Z otworu na poziomie ziemi rozlewało się paliwo.

Głos Renfry'ego zabrzmiał głucho.

— No to po problemie, panowie. Zbiornik jest pusty. Jeśli nie dacie rady uruchomić przewodu z paliwem, będziemy tu tkwić do śmierci.

— Czemu to się otwarło? — zastanawiał się Ross w osłupieniu człowieka, dla którego maszyny są czymś odkrytym tajemnicą z wyjątkiem ich najprostszych funkcji.

— Może to jakiś mechanizm uruchomiony przez to — Ashe tupnął w posadzkę. — Szkoda czasu, panowie, chodźmy poszukać robota i jego rury.

Ruszyli ku wieży. Oglądana z poziomu ziemi wydawała się jeszcze bardziej wysmukła i ostra. W jej podstawie widniał otwór, właz, z którego poprzednio wyszedł robot. Ashe podszedł do niego i zajrzał do środka.

Okrągły robot, który obsłużył ich podczas poprzedniej wizyty, wciąż tam stał, tuż przy włazie.

Za nim zaś, doskonale widoczna w rdzawym, żółtawym świetle, stała eskorta złożona z jego towarzyszy. Wszyscy, podobni do siebie, stali oparci plecami o przeciwległą ścianę, jak gdyby oczekując na inspekcję.

Ze studni w centrum pomieszczenia wystawał masywny metalowy kształt, który Travis rozpoznał jako „głowicę” rurowości. Ashe prawie niechętnie wyciągnął rękę i popchnął robota. Ku ich zaskoczeniu maszyna, która wydawała się tak masywna i niemożliwa do ruszenia, zareagowała na to. Niestety, nie tak energicznie, jak zrobiliby to nakręcony i nagle wstrząśnięty budzik — robot pochylił się i dziwnie bezwładnie runął na posadzkę. Jedno z jego ramion zaklekotało i opadając uderzyło w nasadę stalowego węża. — Rusza się! Patrzcie, rusza się! Ross miał rację. Ciężka końcówka ruchomej rury drgnęła i, podczas gdy Ziemianie wstrzymali oddech, uniosła się, posunęła do przodu o jakieś trzydzieści centymetrów, aby w końcu znów bezsilnie opaść na ziemię.

— Walnij go jeszcze raz — poradził Ross.

Ashe precyzyjnie przesunął się obok rozciągniętego na ziemi robota i zbliżył się do wysuniętej nieco rury, pragnąc nieco lepiej jej się przyjrzeć. Ta jej część, którą mógł dostrzec, nie wydawała się w żaden sposób uszkodzona. Zapał się więc, objął głowicę obiema rękami i szarpnął. Po czym gwałtownie odskoczył w bok, a Ross z Travisem szybko odciągnęli robota z drogi pełzającego węża. Pół metra... metr... Giętka rura dotarła do wyjścia z wieży i skierowała się w stronę ich statku. Renfry ujrzał, że nadchodzą i pomachał im ręką, wpełzając pod statek, aby przygotować go na przybycie rury.

Cieszyli się jednak za wcześnie. Jakies półtora metra od wieży głowica ponownie upadła na ziemię. Ashe spróbował ożywić ją ponownie wypróbowaną już metodą, ale bez rezultatów. Próbowali więc po kolei, razem i osobno, ale nie udało im się przywrócić rury do życia.

Renfry wyszedł spod statku i zbliżył się do nich. Ujrawszy, Co się stało, poszedł do wieży, aby przyjrzeć się studzińce, z której wypełzał metalowy wąż, ale wrócił stamtąd z miną równie zdziwioną, jak przedtem.

— Możemy ją ciągnąć siłą? — chciał wiedzieć Travis.

— Nie ma innego wyjścia, musimy spróbować — zmarszczył brwi Renfry.

Przynieśli więc ze statku lekki, wytrzymały sznur, obwiązali go dokoła „głowy”, tworząc cztery uchwyty i na komendę Ashe’a szarpnęli. Uparta rura poddała się i posunęła nieco do przodu, ale nie korzystając z własnego napędu. Zdołali przeciągnąć ją metr, półtora, ale wysiłek konieczny do ruszenia martwej masy metalu szybko ich wyczerpywał. Odcinki, o jakie posuwała się rura, były coraz krótsze, a ich siła wciąż słabła.

Ross potknął się i upadł, podniósł się znów z twarzą wykrzywioną grymasem. Znów złapał za linę, jak gdyby był to żywy przeciwnik, z którym się zmagał, i na komendę pociągnął wraz z innymi. Tym razem rura ani drgnęła, a ich stopy ślizgały się na popękany, tysiącletnim, kamienistym podłożu.

ROZDZIAŁ 18

Travis przysiadł na piętach w charakterystycznej pozycji jeźdźca pozbawionego wierzchowca. Pozostała trójka, z twarzami purpurowymi z wysiłku, osunęła się na ziemię dokoła głowicy. Renfry jęknął, pochylił głowę i zaczął odpinać swój hełm. Odrzucił przezroczystą kulę i zaczął szybko oddychać, łapiąc powietrze jak tonący człowiek.

— Wkładaj hełm, idioto! — Ashe podniósł głowę; jego głos rozlegający się przez komunikator przerywany był gwałtownymi wdechami.

Renfry jednak pokręcił głową, a jego usta poruszyły się, wypowiadając słowa, które zostały wyciszone przez hełmy na głowach pozostałych. Palce Trávisa dotknęły zapięcia jego własnego hełmu.

— Nie wydaje mi się, byśmy tego potrzebowali — ściągnął kulisty hełm i uniosł głowę, wciągając w płuca nieco kwaśny podmuch wiatru. Powietrze przypominało ziemską jesień, a wiatr rozwiewający mu włosy dodał mu energii. Ponownie sięgnął po linę, gotów spróbować jeszcze raz.

— Nie ma sensu zamęczać się na śmierć — głos Ashe'a nie był już zniekształcony przez komunikator.

— Źródło naszych kłopotów może leżeć w wieży. Renfry na kolanach oglądał dokładnie rurę, obmacując gdzieniegdzie jej powierzchnię. W końcu wstał i wszedł do wieży, a pozostali podążyli za nim.

Gdy weszli, technik klęczał u wylotu studni, z której wypelzał metalowy wąż. Badał on obramowanie otworu, próbując skrócić giętką rurę w jedną lub drugą stronę.

— Musi być zablokowana... Pod tym — walnął pięścią w obramowanie.

— Możemy zdjąć tę pokrywkę i zobaczyć? — chciał wiedzieć Ross.

— Możemy spróbować.

Jednak taka operacja wymagała solidnych narzędzi — dźwigni, klinów... Ten rząd czekających robotów... Może części z nich dadzą się wykorzystać w bardziej praktyczny sposób? Ross podniósł luźne „ramię” poprzednio należące do robota, który się rozpadł, próbując zgiąć je całą siłą swych ramion, ale było zbyt twarde.

Travis przyglądał się pokrywie studzienki. Nie było szczeliny, żadnej rysy, w którą można by włożyć koniec narzędzia. Renfry przesunął dłońmi po pierścieniu, z którego wynurzała się rura, pragnąc dotykiem wyczuć to, czego żaden z nich nie mógł dostrzec. Postukał w nią prętem, z początku lekko, a potem coraz silniej, robiąc kilka wgnieceń i zadrapań, ale nie wywołując żadnego innego efektu. — Może to się odkręca? — zasugerował Ross. Renfry zmarszczył brwi i wyrzucił z siebie kilka krótkich, mocnych słów. Jego uwaga przeniosła się teraz z bezpośredniego sąsiedztwa rury na zewnętrzny brzeg pokrywy. Tam właśnie odkrył coś obiecującego. Szybko wygarnęli nagromadzony przez stulecia pył z czterech zagłębień, w których skryte były wyrzuszenia, które mogły być główkami śrub. Wtedy odwrócili się do zepsutego robota i rozbierali go, dopóki nie uzyskali sporo metalowych części, przydatnych do ruszenia tych śrub. Travis wrócił na statek i przyniósł kilka pojemników tej galarety, która zatrąła go, gdy sprawdzali, co z prowiantu zgromadzonego na statku nadaje się do jedzenia. Rozsmarowali lepką maź dokoła główek śrub w nadziei, że przy uderzeniu w nie maź przemknie do środka i ułatwi odkręcenie. Po dłuższym uderzaniu w śruby jedna z nich drgnęła i Renfry wyciągnął ją pokrytymi pęcherzami palcami. To małe zwycięstwo dodało im sił.

Zapadał już mrok i pracowali, kierując się głównie dotykiem, gdy Ashe'owi udało się uwolnić drugą śrubę.

— Na razie wystarczy — powiedział do pozostałych. — Bez oświetlenia nie ma sensu próbować odkręcić pozostałych. Przez ostatnie pół godziny częściej uderzałem się w palce niż w tę cholerną śrubę.

— Taśma z naszym kursem odmierza czas — powiedział cicho Ross. Wyraził w ten sposób jedną z dwóch obaw, które kołatały im się po głowach przez wszystkie te godziny wyczerpanej pracy.

— Cóż, bez paliwa i tak nie wystartujemy — Ashe wstał i rozprostował bolące plecy. — Nie

możemy dalej pracować po ciemku, bez jedzenia i odpoczynku. To wiemy, całej reszty tylko się domyślamy.

Wrócili więc na statek. Dopiero po przerwaniu walki z opornymi śrubami zdali sobie sprawę, jak bardzo są zmęczeni. Travis wiedział, że Ashe ma rację. Nie mogli rozwiązać problemu, przekraczając granicę własnej wytrzymałości.

Zjedli trochę i bezwładnie poosuwali się na koje, półprzytomni ze zmęczenia. Travis wciąż czuł się zmęczony, gdy rankiem obudził go Ross, szarpiąc go za ramię.

— Wracamy do kopalni soli, bracie! — Ross przytknął szerniały i nadłamany paznokieć spuchniętego palca do ust. — Przydałby mi się teraz palnik... Wyłaż ze swojego legowiska i dołącz do pozostałych niewolników!

Zbliżało się południe, gdy udało im się odkręcić czwartą, ostatnią śrubę. Renfry wyrzucił ją za siebie triumfalnym gestem i przez długą chwilę siedzieli nieruchomo, wpatrując się w obramowanie studzienki, opierając podrapane, pokryte pęcherzami ręce na podkurczonych kolanach.

— W porządku — przerwał milczenie Ashe. — Zobaczmy, czy teraz to zdejmujemy!

Aby uzyskać dźwignię, którymi mogliby podważyć pokrywę, musieli rozebrać jeszcze dwa roboty. Rozkładali je na części z dziwną satysfakcją; w jakiś sposób niszczenie przypominających ludzi urządzeń stało się ujściem dla ich frustracji i dręczącej ich niepewności. W końcu, trzymając w dłoniach solidne pręty, podeszli do studzienki.

Później nigdy nie mogli się zgodzić, jak długo zmagali się z pokrywą. W końcu jednak, gdy wszyscy razem naporli na lewary, kolistą pokrywa pękła na dwoje, odsłaniając czarną dziurę, z której wyłaniała się rura.

Choć na zewnątrz panował dzień, a słońce świeciło równie jasno jak poprzedniego dnia, wewnątrz wieży nie było zbyt dobrze oświetlone, oni zaś nie mieli żadnej pochodni, którą mogliby sobie przyświecać podczas badania tego szybu.

Renfry wychylił się i opuścił obie ręce w dół studni, obmacując nimi powierzchnię rury tak daleko, jak zdołał sięgnąć.

— Znalazłeś coś? — Ashe kucnął za nim, spoglądając mu przez ramię.

— Nie... — a po chwili usłyszał szybkie i podekscytowane — tak!

— Ledwo mogę to dotknąć... Wygląda na to, że ta łuskowata powierzchnia rury się zakleszczyła. — Obrócił się i Travis złapał go za nogi, aby w razie czego powstrzymać go przed upadkiem w głąb szybu.

W końcu Renfry wykonał całą robotę, co chwilę zatrzymując się dla odpoczynku. Wisiał głową w dół w szybie, przytrzymywany za nogi przez pozostałych. Pracował, kierując się głównie dotykiem, gdyż jego własne ciało zasłaniało trzy czwarte przyćmionego już światła wpadającego do studzienki.

Gdy za czwartym razem wyciągnęli go na odpoczynek, przetoczył się na plecy i leżał tak, dysząc ciężko.

— Uwolniłem ją tak daleko, jak mogłem sięgnąć. — wypowiadał słowa pojedynczo, jakby mówienie wymagało od niego zebrania wszystkich sił, jakie mu jeszcze pozostały. — A ciągle jeszcze jest zaklinowana niżej.

— Może uda nam się ją uwolnić, ciągnąc stąd, z góry — dłonie Ashe'a objęły zakrzywioną powierzchnię rury w miejscu, gdzie zgięła się, wychodząc z szybu.

— Możecie spróbować. — Renfry otarł czoło przedramieniem, a Travis z cichym sieknięciem odciągnął ciało technika od studzienki i ujął rurę tuż za Ashe'em.

Wspólnie próbowali poruszyć pionowy odcinek rury wewnątrz szybu, on jednak tkwił jak przyklejony. Krople potu, jakie pojawiły się na czole Trávisa, spływały w dół na jego wargi. W półmroku widział zaciśnięte szczęki Ashe'a i mięśnie nabrzmiałe pod elastycznym kombinezonem.

Ross przyłączył się do nich.

— Wy tylko ciągniecie — powiedział do Ashe'a. — Spróbujmy jednocześnie pchnąć ją w waszą stronę. Jeśli w ogóle mamy ją uwolnić, to w ten sposób powinno się udać.

Przez długą, bardzo długą chwilę wydawało się, że rura nie zamierza ustąpić, że została zbyt mocno uszkodzona gdzieś na dole. I wtedy Ashe poleciał nagle do tyłu, gdy gruby wąż uderzył go

w pierś po tym, jak gdzieś na dole udało się zlikwidować przeszkodę blokującą jego ruch. Ross i Travis stracili równowagę i zatoczyli się pod ściany.

Natychmiast zerwali się na nogi i Ross wyciągnął Ashe'a spod ciężkiej rury. Cała czwórka wyszła z wieży na zewnątrz, na lądowisko. Jeszcze raz chwycili za głowicę i zaczęli ciągnąć ją w stronę statku. Okryta łuską rura wypełzała z wieży powoli, ale posuwali się do przodu, krok za krokiem.

Wtedy, podczas jednego z częstych postojów, Ross obejrzał się w stronę wieży i krzyknął. Przebyli już trzy czwarte odległości dzielącej wieżę od ich statku, ale spod brzucha węzowatej rury rozlewała się plama cieczy, błyszcząca w popołudniowym słońcu. Ostatnie szarpnięcie za rurę musiało uszkodzić jej ściankę i teraz nieznane paliwo wyciekało z niej, rozlewając się po ziemi.

Renfry pobiegł do plamy, uklęknął przy niej i zanurzył palec w błyszczącej cieczy, zaraz cofając go z okrzykiem bólu.

— Jest żrąca, jak kwas — ostrzegł. — Nie dotykajcie jej.

— I co teraz? — Ross kopnął jakiś śmieć, patrząc, jak rozplywa się w śluzowatą masę w zetknięciu z dziwnym paliwem.

— Możemy dociągnąć rurę do statku... i ludzi się, że mimo uszkodzenia wystarczająco dużo paliwa będzie nią dopływać — odpowiedział Ashe bezbarwnym głosem. — Nie wydaje mi się, abyśmy byli w stanie naprawić rurę.

Nie mieli innego wyjścia, wrócili więc do ciągnięcia głowicy, próbując nie spoglądać za siebie na paliwo wyciekające z węza. Renfry przyciskał poparzoną dłoń do piersi, aż w końcu wepchnęli ciężką głowicę pod statek i musiał wpełznąć tam, aby połączyć ją z otworem w dnie.

— Płynie? — Ross wypowiedział na głos dręczące ich wszystkich pytanie.

Renfry, jak gdyby bojąc się odpowiedzi, przyłożył zdrową dłoń do pokrytej łuską rury i trzymał ją tam przez długą chwilę, podczas gdy pozostali wpatrywali się w niego, czekając na wyrok o swojej przyszłości.

— Tak.

Nie mieli pojęcia, jak wiele paliwa potrzebowali ich statek, ani czy wymagana ilość jest dostępna. Połyskująca plama wciąż się powiększała. Renfry trzymał jednak dłoń na rurze, kiwając do nich od czasu do czasu głową, aby przekazać, że paliwo wciąż płynie.

W końcu, z hukiem przypominającym wybuch petardy, ciężka głowica rury oddzieliła się od statku i upadła na ziemię. Renfry postukał palcem w pokrywkę, która zamknęła otwór w dnie statku, a następnie zaciągnął na nią drugą płytkę chroniącą ją z zewnątrz. Gdy ta zaskoczyła, wyczołgał się spod statku.

— To wszystko. Dostaliśmy wszystko, co mieliśmy dostać.

— Czy to wystarczy? — chciał zapytać Travis, ale zdał sobie sprawę, że pozostali wiedzą równie mało jak on.

Wgramolili się po drabince do statku i zataczając się ze zmęczenia, dotarli do swych kabin. Zrobili, co mogli — teraz ich przyszłość znów zależała od ślepego losu.

Gdy Travis ocknął się, poczuł znajome drżenie ścian. Nie stali już na powierzchni planety, znów byli w przestrzeni! Czy jednak lecieli do domu? A może to nieznane paliwo tylko wyrzuci ich w międzygwiazdną pustkę, gdzie będą wiecznie dryfować pomiędzy odległymi słońcami?

Travis znów zasnął. Śniły mu się czerwone zbcza porośnięte szalwią, sosny i śpiew ptaków w kanionie. Śnił o pustynnym wietrze rozwiewającym mu włosy i końskich mięśniach uciskających uda — o świecie, który istniał, zanim ludzkość sięgnęła do gwiazd. Był to tak piękny sen, że nawet gdy Travis się obudził, przez długą chwilę leżał z zamkniętymi oczami, jakby chciał go przywołać z powrotem.

Dokoła siebie czuł jednak sterylny zapach statku. Jego dawny, klaustrofobiczny lęk przed zamkniętą kulą kosmicznego pojazdu powrócił z siłą, o jakiej dawno zapomniał. Zmusił się do otwarcia oczu.

— Wciąż jesteśmy na kursie — Ross usiadł na koi naprzeciwko; w niebieskawym świetle jego napięta twarz sprawiała upiorne wrażenie. — Zupa na stole — dodał po chwili milczenia.

Tego dnia ponownie przeliczyli puszki z jedzeniem. Zawartość pozostałych kilku pojemników

musiała im teraz wystarczyć. Ashe podzielił resztę prowiantu na dzienne racje.

— Ledwo nam wystarczy, o ile czas przelotu pozostanie bez zmian. Musimy spędzać jak najwięcej czasu w kojach; im mniej energii będziemy zużywać, tym lepiej.

Człowiek nie może jednak spać całą dobę. Chociaż starali się spać jak najwięcej, w końcu nadchodził moment, gdy można było tylko leżeć, wpatrując się w sufit, gdy minuty oczekiwania rozciągały się w godziny, i próbować nie rozmyślać o trapiących ich wątpliwościach.

— Myślałem... — głos Rossa zabrzmiał nagle w ciszy kabiny, którą dzielił z Travisem — przed lądowaniem, po wejściu w przestrzeń, pojawimy się na ekranach radarów. Jakiś mądry chłopiec może wtedy, po prostu dla treningu, odpalić w nas parę rakiet. Nie będziemy w stanie zasygnalizować, że jesteśmy tylko kosmicznymi włóczęgami wracającymi do domu.

— Jesteśmy uzbrojeni. — Travis zastanawiał się jednak, w jaką broń rzeczywiście wyposażony był ich statek. Rakiety były ściśle tajne. Ich rząd — inne rządy — mogą mieć w pogotowiu kilka niespodzianek na powitanie lądującego statku, który trudno poprawnie zidentyfikować.

— Pomyśl — ciągnął Ross gorzko — nie bardzo wyobrażam sobie nas roznoszących w proch i pył Nike Cztery i wszystkich jej braci i siostry tym miotaczem. Nie wiemy nawet, jak nim celować!

Wyszli z hiperprzestrzeni, a ich osłabienie spotęgował jeszcze towarzyszący temu wstrząs. Pomimo swej słabości wszyscy zgromadzili się w sterówce, aby wpatrywać się w niebieskozieloną kulę widoczną na zewnętrznym ekranie. Travis poczuł, że drży na całym ciele; czuł się prawie tak chory, jak wówczas, gdy próbował zjeść obcy prowiant nie przeznaczony dla ludzkich żołądków. Czy ta zielona piłka była ich domem? Czy mogli w to wierzyć — a może to tylko złudzenie, któremu wszyscy ulegli, bo tak mocno pragnęli w to uwierzyć? Tak jak płytka obcych, która potrafiła ukazać każdemu jego dom, aby ulżyć jego cierpieniom?

W końcu jednak znajome kształty kontynentów stały się widoczne nawet gołym okiem. Ross opuścił głowę, kryjąc twarz w dłoniach. Ashe zamruczał coś pod nosem, Travis jednak ledwo zwrócił na to uwagę. Renfry pieszczotliwie gładził dłonią brzeg tablicy kontrolnej.

— Zrobił to! Przyprowadził nas do domu!

— Jeszcze nie wylądowaliśmy! — Ross nie podniósł głowy, a jego słowa zabrzmiały ostro, świadcząc, że nie jest on całkiem przekonany, czy rzeczywiście uda im się cało wylądować.

— Skoro przywiózł nas aż tutaj — mruknął Renfry — dowiezie nas aż do końca trasy. Czyż nie, staruszkę?

Poculi, jak statek dotarł do górnej krawędzi ziemskiej atmosfery i zanurzył się w niej. Ross puścił fotel, o który się opierał i skierował się ku drabinie.

— Idę na dół — unikał spojrzenia na ekran, jak gdyby obawiał się tego widoku.

Nieoczekiwanie Travis poczuł ten sam brak zaufania do obrazu, któremu się przyglądali. Odwrócił się i poszedł za Rossem, schodząc po drabinie do ich kabiny i rzucając się na koję, aby leżeć tam w oczekiwaniu na lądowanie — jeśli będzie miękkie lądowanie.

Delikatna vibracja pochodząca od silnika hamującego była niemal niewyczuwalna na tle świstu powietrza przecinanego przez statek. Cała ich podróż wydawała im się teraz niczym w porównaniu z tymi kilkoma ostatnimi chwilami, które zdawały się rozciągać w nieskończoność. Podświadomy strach, że w tym ostatnim momencie może się coś zdarzyć, niwecząc wszystkie ich wysiłki, powodował, że ledwo mogli usiedzieć w miejscu.

Travis słyszał, jak Ross mruczy coś po drugiej stronie kabiny. Gdzie teraz byli? Może ścigali się z dniem i nocą, okrążając planetę w poszukiwaniu miejsca, z którego obca taśma oderwała statek wiele tygodni temu?

Mijały sekundy... minuty... godziny... Odmierzały je jedynie nierówne oddechy, przychodzące im z coraz większym trudem w miarę, jak grawitacja znów chwytła ich w swój uścisk. Może widnieli na ekranach radarów, zarówno u przyjaciół, jak u wrogów, ściągając na siebie sieć rakiet odcinających ich od bezpieczeństwa twardego gruntu planety? Travis widział niemal taki pocisk ciągnący za sobą ognisty warkocz... zbliżający się...

Skulił się, leżąc na posłaniu, które uniosło się dokoła jego ciała.

— Schodzimy.

Czy te słowa dobiegły z komunikatora? A może były jedynie wytworem jego wyobraźni?

Poczuł, jak przemożna siła wtłacza go w posłanie i wyciska mu powietrze z płuc. Był zbyt słaby, aby się bronić. Nie stracił jednak przytomności.

Poczuł wstrząs, po którym statek pochylił się i znieruchomiał. Travis sięgnął do pasów przytwierdzających go do posłania. Dokoła panowała absolutna cisza. Bał się ją zakłócić, nie poruszył się więc, nie wierząc jeszcze, że udało im się wylądować, że ich statek spoczywa już na brunatnym piasku jego własnej Ziemi.

Ross poderwał się z posłania, odpiął krępujące go pasy i rzucił się do drzwi. Poruszał się jak chory albo lunatyk prowadzony blaskiem Księżycy.

Do uszu Trávisa dotarł jego zduszony szept.

— Muszę... to... zobaczyć...

I wtedy Travis zrozumiał, że też musi to zobaczyć. Nie mógłby uwierzyć w nic bez świadectwa własnych oczu. Ruszył za Rossem przez korytarz, do wjazdu. Murdock zmagął się z wewnętrznymi drzwiami, więc Apacz pomógł mu je otworzyć.

Przeszli przez służę i niemal jednocześnie dotknęli drzwi zewnętrznych. Ross drżał, a jego twarz była szara i mokra od potu.

Travis otworzył drzwi. Otworzyły się na wschód; pora musiała być wczesna, gdyż pod statkiem zalegał nieprzenikniony cień, a na horyzoncie widniała złota poświata. Osunął się na kolana, z oczami utkwionymi w tym złotym blasku.

— Mamy towarzystwo — Ross wyciągnął rękę. Nad ich głowami przetoczył się grzmot. Cztery samoloty w szyku przecięły poranne niebo.

Dokoła statku rozbłyskały światelka, rozpraszając cień. Travis dostrzegł teraz powyginane rusztowania — ślady katastrofy. Wśród zniszczeń poruszali się ludzie, zbliżając się do statku kosmicznego. Za nimi jednak wschodziło słońce. Jego słońce, wschodzące nad jego światem! Pomimo wszystkich przeciwności, udało się im! Dłoń Trávisa pogładziła zewnętrzną powłokę statku, tak jak mógłby on głaskać swego pstrokatego konia po całodniowej jeździe.

Żółte słońce wschodziło nad odległymi wzgórzami. Tym razem jednak były to wzgórza jego ojczystej planety!